

STRAŻNICY CZELUŚCI

**MICHAŁ
ROGOWSKI**



Od autora

Strażnicy Czeluści powstali bez profesjonalnej korekty i redakcji, więc pomimo moich starań tekst może zawierać błędy. Jeżeli drogi Czytelniku takowe znajdziesz, lub zwyczajnie zechcesz podzielić się ze mną swoimi uwagami, to zachęcam do kontaktu – dane znajdują się na dole strony.

Książkę dedykuję jak zawsze mojej najwierniejszej czytelniczce, kochanej żonie, bez której wsparcia i zachęty moja przygoda z pisaniem nigdy by się nie zaczęła.

To dla Ciebie, Malenstvo!

Wersja 1.1

Data wydania 15.02.2022 r.

© Copyright by Michał Rogowski

Kontakt:

autor@mrogowski.pl

<https://mrogowski.pl/kontakt/>

Straznicy Czułści

W CIEMNEJ ALEJCE

ŚWIEŻA KREW

NOWY PARTNER

PODWÓJNY PROBLEM

SYK PARY I BRZĘK STALI

COŚ SIĘ ZACZYNA

CHAOS NA ULICACH

NOWY PORZĄDEK

POWSTANIE

WIELKOŚĆ MA ZNACZENIE

STARCIE TYTANÓW

W JEDNOŚCI SIŁA

W ciemnej alejce

Goblin pędził tak szybko, że zaczynało brakować mu tchu. Zanim skręcił w kolejną uliczkę obejrzał się przez ramię. Ta krótka chwila wystarczyła, by w blasku ulicznej lampy dostrzegł przemykający w oddali cień. Zaczął biec jeszcze szybciej, chociaż siły miał już na wyczerpaniu, a pot obficie kapał po jego spiczastych uszach i długim nosie.

Z każdym krokiem zagłębiał się coraz bardziej w labiryncie zabudowań, aż w końcu zupełnie zgubił drogę. W dzielnicy goblinów każda ulica, skrzyżowanie i dom były do siebie podobne. Wszędzie stały ciasno poupychane, pokrzywione chaty, które wyglądały, jakby zbudowano je przy użyciu tego, co akurat znalazło się pod ręką. Patrząc na te konstrukcje ciężko było oprzeć się wrażeniu, że w każdej chwili mogą się zawalić i tylko jakaś niewidzialna siła wciąż trzyma je w kupie.

Na kolejnym rozwidleniu goblin skręcił w ciemny przesmyk. Nie było tam lamp, więc musiał gnać na oślep. Miał nadzieję, że zaraz dotrze do jednej z głównych ulic. Już po chwili wpadł jednak na ścianę, prawie łamiąc sobie nos. Zachwiał się przy tym i byłby przewrócił, ale przejście było na tyle wąskie, że jego plecy znalazły oparcie.

Zaczął badać rękoma otoczenie, lecz w końcu dotarło do niego, że droga kończy się ślepo. Nie wiedział, co ma teraz zrobić. Próbować zawrócić? Na to mogło już być za późno. Przykucnął w kącie i czekał. Starał się oddychać powoli i głęboko, żeby uspokoić łomoczące w piersi serce.

Udało mi się? – pomyślał z niedowierzaniem, gdy przez dłuższą chwilę nic się nie działo. – *Uciekłem jej?*

Wtedy na końcu alejki coś błysnęło w ciemności. Małe światełko, które zamigotało niczym gwiazda na nocnym niebie. Powietrze przeciął krótki świst i w deskę nad głową goblina wbiło się świetliste ostrze sztyletu. Rzucił się do panicznej ucieczki.

Dopadła mnie! – myśli kołatały się chaotycznie w jego głowie. – *Jakim cudem? Nie ważne! Biegnij, durniu! Biegnij!*

Zmęczenie ustąpiło natychmiast, wyparte przez oszałamiający strach. Serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi, a krew buzowała w tętnicach. Przebierał zmęczonymi nogami, które trzęsły się już tak, jakby były zrobione z waty.

Gdy tylko wybiegł z przesmyku poczuł gwałtowne szarpnięcie. Powietrze dookoła wypełnił swąd spalenizny. Spróbował złapać oddech, ale nie był w stanie. Zrobił jeszcze kilka kroków, nim nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Światło ulicznej lampy zaczęło gasnąć, a po chwili nie widział już nic.

Zakapturzona postać przyglądała się, jak goblin, którego właśnie zabiła, upada płasko na ziemię. Jego mała, zielona głowa oddzieliła się od ciała i potoczyła dalej po piaszczystej drodze.

Zabójczyni rozejrzała się spokojnie. o tej porze na ulicach nie było żywego ducha. Ukryła miecz pod połą płaszcz a i podeszła do leżącego na ziemi trupa. Przykucnęła, żeby dobrze go przeszukać. Wiedziała, że musi się śpieszyć. w Czeluści wkrótce nastanie nowy dzień i wąskie uliczki zaroją się od zielonoskórych.

Biały, roboczy kitel, który miał na sobie goblin, pokryty był kurzem i cały umorusany we krwi. Zabójczyni to nie przeszkadzało. Nawykła do obcowania ze śmiercią. Jej ukryta w skórzanej rękawicy dłoń w końcu odnalazła przy ciele to, czego szukała. Obejrzała dokładnie przedmiot, po czym schowała go do kieszeni.

Zanim odeszła, rzuciła ostatni raz okiem na swoje dzieło – rozciągnięte na ziemi, bezgłowe zwłoki.

Zaczęło się – pomyślała, a kąciki jej ust rozszerzyły się w delikatnym uśmiechu.

Skryła twarz głębiej pod kapturem i weszła do jednej z wąskich alejek, by już po chwili zniknąć w jej cieniu. Kiedy nastał świt, w dzielnicy goblinów podniosły się krzyki, ale zabójczyni była już daleko.

Świeża krew

Nora Tinkerton była pierwszą i jak dotąd jedyną gnomką, której udało się dostać w szeregi Straży Miejskiej. Nie chodziło o to, że gnomy nie miały do niej wstępu, ale przez swój niewielki wzrost i brak tężyzny fizycznej najczęściej nie przechodziły przez proces rekrutacyjny. Nora dokonała tego dzięki swojej wrodzonej nieustępliwości i wyjątkowej, nawet jak na gnomkę, pomysłowości.

Przeważającą większość strażników stanowiły krasnoludy, orki i wszystkie inne rasy, których największym atrybutem była siła ramion. Sprawdzali się znakomicie, gdy trzeba było uspokoić burdę w karczmie, albo rozpedzić tłum awanturników. w przypadku bardziej wyrafinowanych przestępstw ich wielkie mięśnie nie zdawały jednak egzaminu. Straży potrzebny był ktoś, kto potrafi rozwiązywać problemy głową – sprytem i umiejętnością dedukcji. Dla Nory było to oczywiste, ale większość społeczeństwa, w tym jej przełożeni, nie podzielali tego zdania.

Wielki przełom nastąpił dopiero, gdy na własną rękę wytropiła złodzieja, który od miesięcy okradał kurniki z niziołkowych ferm na obrzeżach miasta. Strażnicy próbowali wytropić tego łotra przez wiele dni. Przesłuchiwali świadków, przeszukiwali okoliczne gospodarstwa, jednak bez rezultatów.

Dopiero Nora wpadła na pomysł, żeby zamiast tropić złodzieja, zastawić na niego pułapkę. Umieściła w jednym z kurników prosty mechanizm, który skonstruowała we własnym warsztacie. Dzień później, na jedną z ferm wezwano strażników, by aresztowali uwięzionego w kurniku, wysmarowanego smołą i obficie pokrytego

pierzem satyra. Znaleziony przy nim koszyk, wypełniony po brzegi skradzionymi jajami, był aż nadto wystarczającym dowodem winy.

Zdjęcie Nory pojawiło się wtedy na pierwszej stronie jedynej w mieście gazety – *Dziennika Czeluści*. Sprawa przyniosła chwilowy rozgłos nie tylko małej gnomce, ale również całej Straży Miejskiej. Właśnie to spowodowało, że gdy w dzielnicy goblinów doszło do nietypowego morderstwa, kapitan Baelor postanowił zaryzykować i pójść za ciosem, włączając do śledztwa okrytego niespodziewaną sławą rekruta.

– Wejść! – krzyknął, gdy do jego gabinetu rozległo się ciche pukanie.

Drzwi uchylły się powoli i nieśmiało wyjrzały zza nich niebieskie oczy, skryte pod grzywką kręconych, rudych włosów.

Baelor nie zaliczał się do ludzi cierpliwych. Technicznie zresztą nie był nawet człowiekiem, lecz wilkołakiem. w normalnych warunkach, jego dzika, wilcza natura powinna ujawniać się wyłącznie nocą, ale ponieważ Czeluść była miastem we wnętrzu góry, gdzie nie docierały promienie słońca... Można powiedzieć, że utknął w wilczej skórze na dobre. Najważniejszą dewizą kapitana było, że dobry strażnik musi przede wszystkim działać. Nie zawsze działania te poprzedzała dogłębna analiza problemu, stąd szybko przywarł do niego przydomek Brutal.

– Wejść, powiedziałem! – krzyknął, tym razem znacznie głośniej.

Nora wskoczyła jak porażona do gabinetu. Podbiegła do biurka kapitana i stanęła w pozycji na baczność. Gdyby zatrzymała się zbyt blisko, nad drewniany blat masywnego mebla wystawałby wyłącznie czubek jej głowy, dlatego rozsądnie zachowała pewną odległość. w ten sposób mogła przynajmniej widzieć swojego przełożonego.

Baelor był wysoki i potężnie zbudowany. Nie nosił żadnego munduru, Straż Miejska zresztą wcale ich nie wymagała. Każdy strażnik mógł liczyć na pancerz i uzbrojenie, ale przepisy nie obligowały do ich noszenia. Ciemną sierść kapitana zdobiły tylko galony z dystynkcjami, które miał zawieszane na ramionach.

Jego gabinet urządony był stosunkowo surowo. Po jednej stronie stało masywne biurko, za które wsunięty był drewniany fotel o szerokich podłokietnikach. Przeciwległą ścianę zajmował w całości wysoki regał, którego półki wypełnione były zwiniętymi w rulony pergaminami. Kamienna posadzka była śliska i chłodna w dotyku, a mimo to nie pokrywał jej żaden dywan. Owłosionym łapom wilkołaka te mankamenty zwyczajnie nie przeszkadzały. Szare ściany były gładkie i zupełnie puste, nie licząc trzech portretów, przedstawiających poprzedników kapitana Baelora.

Brutał zmierzył gnomkę uważnym wzrokiem, marszcząc przy tym brwi. Pierwszy raz miał okazję przyjrzeć się nowej rekrutce, którą przydzielono mu zaraz po ukończeniu szkolenia. Wyglądała bardzo niepozornie i nie mógł pojąć, jak taka mała dziewczynka przetrwała ostry proces rekrutacyjny. Gdyby nie stalowa odznaka przypięta do błękitnego płaszcza nigdy nie zgadłby, że ma przed sobą strażniczkę. Im dłużej się jej przyglądał, tym bardziej przypominała mu owieczkę, którą miał zaraz wysłać na pożarcie wilkom. Skoro jednak sama zgłosiła się do służby, to nie zamierzał jej oszczędzać.

– Młodsza funkcjonariuszka Nora Tinkerton... – Uniósł leżący przed nim pergamin i zaczął czytać akta osobowe. – Szkolenie ukończone z najwyższymi wynikami. Wszędzie, poza sprawdzianem fizycznym, który ledwo zaliczyłaś. – Opuścił kartkę i jeszcze raz

spojrzał na gnomkę. – Czy wszystko się zgadza, młodsza funkcjonariuszko?

– Tak jest! – odkrzyknęła Nora.

– Świetnie. Mam dla ciebie pierwszy przydział. w dzielnicy goblinów doszło do morderstwa...

– Moja pierwsza wielka sprawa! – gnomka przerwała mu pełnym entuzjazmu głosem. – i to od razu morderstwo! Na pewno pana nie zawiodę, kapitanie! Może pan na mnie liczyć!

Brutal sapnął głośno i uderzył dłonią w blat biurka. Nie użył całej siły, ale mebel i tak aż podskoczył.

– Cisza! – warknął głośno.

Wychylił swój kudłaty pysk i zmierzył gnomkę wzrokiem.

– Dostałaś to zadanie, bo Straży potrzebna jest dobra prasa. Zwłaszcza po tym żalonym incydencie ze skradzionym smoczym jajem.

– Tak jest! – Nora stanęła na baczność i zasalutowała.

Brutal wstał zza biurka i zaczął zbliżać się w jej stronę.

– Nie myśl sobie, że powierzyłbym prowadzenie śledztwa świeżej rekrutce. Co to, to nie! Kartele z dzielnicy goblinów zjadłyby cię żywcem!

Nora chciała coś odpowiedzieć, ale słowa ugrzęzły jej w gardle. Zamarła, wciąż salutując i patrząc przed siebie.

Brutal oparł ręce na biodrach i zaczął okręzać ją niczym wilk swoją ofiarę.

– Sprawę poprowadzi starszy funkcjonariusz Noel – usłyszała jego głos zza swoich pleców. – Przydzielam cię do niego. Masz słuchać, obserwować, wykonywać rozkazy, uczyć się i nie przeszkadzać.

– Tak jest!

– Czy dobrze mnie zrozumiałaś, młodsza funkcjonariuszko?

Wilkołak zatrzymał się przed nią i pochylił na tyle nisko, że gnomka poczuła oddech z jego nozdrzy na twarzy.

– Tak jest! – odparła bez wahania.

– Świetnie... – odparł kapitan, mierząc wzrokiem wystraszoną rekrutkę. – a jeśli wpadniesz w tarapaty? Ciekaw jestem, co wtedy zrobisz, małutka gnomko? Widziałem już dwukrotnie większych od ciebie chojraków, którzy wiali z podkulonymi ogonami, kiedy robiło się gorąco. Jeśli do tego dojdzie, to zrób mi przysługę i zdejmij odznakę. Wtedy przynajmniej nie narobisz nam wstydu.

Wyraz twarzy Nory zmienił się nagle. Cały strach i napięcie jakby z niej wyparowały. Nawet groźnie wyglądające zęby kapitana przestały robić na niej wrażenie. Zaciśnęła mocno drobne piąstki, by stłumić wzbierający w niej gniew.

Odkąd tylko postanowiła wstąpić na służbę, zewsząd słyszała podobne komentarze. Jej koledzy i instruktorzy byli przekonani, że mała gnomka zostanie rozerwana na strzępy przez pierwszego z brzegu bandytę. Przetrwiała szkolenie dzięki silnemu postanowieniu, że udowodni im wszystkim na co ją stać. Już raz pokazała, że nadaje się na funkcjonariuszkę i teraz zamierzała zrobić to po raz kolejny.

– Nie, panie kapitanie. Wtedy skorzystam z tego...

Wyjęła spod płaszcza niewielkie i dziwnie wyglądające urządzenie. Przypominało zwykłe, wykonane z drewna pudełko i było na tyle nieduże, że bez problemu mieściło się w jej drobnej dłoni. z jednego z krótszych boków skrzyneczki wyrastał zwykły, stalowy widelec.

Gdy metalowe zęby sztućca wsunęły się pod futro Baelora, gnomka wcisnęła czerwony przycisk z boku pudełka. Fala wyzwolonej energii w zaledwie ułamku sekundy przeszła przez ciało kapitana. Jego mięśnie napięły się i skurczyły tak gwałtownie, że wilkołak padł na ziemię, jakby porażony piorunem. Zaczęły targać nim niekontrolowane drgawki i dopiero, kiedy z pyska dowódcy zaczęła toczyć się piana, Nora zabrała palec z guzika.

– Co... Co to... – chciał zapytać Brutal, ale nie był w stanie wydusić z siebie pełnego zdania.

– To wynalazek mojego pomysłu! – odparła gnomka z nieukrywaną dumą.

Baelor spróbował się wyprostować, ale nie był w stanie.

– Nazwałam go Iskierką, panie kapitanie.

Nora schowała urządzenie do płaszcza i zasalutowała leżącemu na ziemi wilkołakowi.

– Wyjść... – wysyczał Baelor przez zaciśnięte zęby.

– Przepraszam, kapitanie, ale chyba niedosłyszałam...

– Wyjść! – ryknął Brutal tak głośno, że słyhać go było w całym budynku Straży.

– Tak jest! – Gnomka przeskoczyła nad przełożonym i nie oglądając się, wybiegła prędko przez drzwi gabinetu.

Nowy partner

Noel czekał na chodniku, tuż przed schodami prowadzącymi do posterunku Straży. Stał tu już niemal godzinę, wsparty plecami o nogę przewyższającego go niemal dwukrotnie olbrzyma. Chociaż sam był stosunkowo wysoki jak na trola, to jego wąska sylwetka sprawiała, że przy stojącym obok kolosie wyglądał jak zapalka.

Spoglądał ze znudzeniem na przechadzające się ulicami postacie. Główna siedziba Straży mieściła się w dzielnicy krasnoludzkiej, więc na chodnikach pełno było niskich i krępych brodaczy, w większości zajętych swoimi sprawami i nie zwracających uwagi na otoczenie. Tylko od czasu do czasu ktoś burknął i obejrzał się na stojącego przy ulicy olbrzyma.

– Gnomka... – mruknął Noel i wyjął z ust patyk, którym dłużył sobie w zębach. – Nie dość, że baba, to jeszcze gnomka...

Westchnął przeciągle.

Minęły już dwa lata, odkąd miał ostatniego partnera. w Straży było to coś niezwykłego. Zazwyczaj funkcjonariusze pełnili służbę parami lub zgrupowani w oddziały o konkretnych specjalizacjach. Noel jednak świetnie radził sobie sam i lubił pracować w pojedynkę. Nikt go nie opóźniał, nikogo nie musiał niańczyć i sam był sobie szefem. Poza tym, po stracie poprzedniego partnera miał pewien uraz do pracy zespołowej. Każdy strażnik zdaje sobie sprawę, że ta robota jest niebezpieczna. Łatwiej jest jednak ryzykować własnym życiem, niż patrzeć, jak partner umiera na twoich oczach.

Kiedy tak stał i zastanawiał się, czym musiał podpaść Brutalowi, że kapitan zdecydował się w końcu przydzielić mu partnera, przez

drzwi budynku Straży wybiegła nieduża osóbką i zatrzymała się na tarasie.

Nora stanęła przy balustradzie i wodziła wzrokiem po przemierzającym ulicę tłumie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przecież nie ma nawet pojęcia, jak wygląda jej nowy partner. Znała tylko jego imię. Nie zamierzała jednak wracać do gabinetu, żeby zapytać o to kapitana. Chwilowo wolała nie pokazywać się wilkołakowi na oczy.

Głośne chrapnięcie uświadomiło jej nagle, że nie jest na tarasie sama. Tuż obok drzwi komisariatu stał wsparty o włócznię kabrys i najwyraźniej ucinął sobie drzemkę.

W Czeluści rzadko widywało się przedstawicieli tej rasy. Nora nie spodziewała się, że zobaczy jakiegoś z przypiętą odznaką. Kotowaci mieli w zwyczaju podążać własnymi ścieżkami i słynęli z tego, że dbają wyłącznie o własne interesy.

– Przepraszam? – zapytała niepewnie, ale strażnik spał dalej w najlepsze.

Nora zmrużyła oczy i zacisnęła pięści. Podeszła do wartownika i kopnięciem podcięła koniec włóczni, o którą się wspierał. Kabrys wybudził się natychmiast i syknął groźnie.

– Czego? – zapytał z nieukrywaną złością.

– Młodsza funkcjonariuszka Nora Tinkerton – odparła gnomka. – Szukam starszego funkcjonariusza Noela. Wiesz może, gdzie go znajdę?

Wartownik zmrużył oczy.

– Nie, nie wiem! Idź sobie i zostaw mnie w spokoju! – odparł niemiłym tonem.

– Powiedziano mi, że...

- Sio! Głucha jesteś?
- ... starszy funkcjonariusz Noel będzie czekał tu na mnie...
- Nic mnie to nie obchodzi!
- ... ale nie wiem jak on wygląda.
- Zmykaj męczyć kogoś innego!
- Zawsze jesteś taki nieuprzejmy?

Kabrys syknął i odwrócił ostentacyjnie głowę.

Nora czuła, jak zbiera się w niej gniew. Nie lubiła, kiedy ktoś ją ignorował. Wzięła głęboki wdech, żeby ostudzić emocje. Nie chciała robić sobie jeszcze więcej kłopotów pierwszego dnia służby.

– Posłuchaj... – zwróciła się do kotowatego. – Im szybciej mi pomożesz, tym prędzej sobie pójdę i dam ci spokój.

Kabrys spojrzał na nią i poruszył kocimi wąsami, jakby rozważał jej słowa.

– Niech ci będzie... – wydusił z siebie w końcu takim tonem, jakby była to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę.

Uniósł nos do góry i zaczął węszyć.

– Co robisz?

– Cisza!

Nora zrobiła naburmuszoną minę, ale nie odezwała się ani słowem. Po chwili wartownik wskazał na chodnik przed budynkiem.

– Stoi przy schodach. Szukaj wysokiego, chudego trola. a teraz zmykaj już i daj mi spokój!

– Dziękuję!

Kabrys ją zignorował. Zamknął oczy, wsparł się o włócznie i powrócił do przerwanej drzemki.

– Nie powinienes spać podczas warty. Regulamin wyraźnie... – zaczęła, ale po chwili zrozumiała, że dalsza rozmowa nie ma sensu, bo

kotowaty strażnik przestał jej słuchać. Gnomka westchnęła głośno i ruszyła w dół po kamiennych stopniach.

– Starszy funkcjonariusz Noel? – zapytała stojącego na chodniku trola. – Młodsza funkcjonariuszka Nora Tinkerton melduje się na rozkaz!

Gnomka wyprężyła się dumnie i stanęła na baczność.

Jej nowy partner przewrócił oczami.

– Wystarczy już, mała. Mów mi Noel. i nie salutuj, na wszystkich bogów.

– Ależ starszy funkcjonariuszu, regulamin wyraźnie mówi, żeby salutować oficerom i strażnikom wyższej rangi – odparła podręcznikowo.

Noel westchnął.

– To będzie długi dzień... – mruknął pod nosem i odwrócił się do czekającego olbrzyma.

– No dobra, młodsza funkcjonariuszko. Wskakuj i ruszamy. – Machnął ręką ponagłająco.

– Gdzie mam wskoczyć, starszy funkcjonariuszu Noel? – zapytała zdezorientowana gnomka.

– Tam, oczywiście. – Jej partner wyciągnął rękę i wskazał palankin na grzbiecie olbrzyma.

Była to skromna, zbita z desek ławeczka, którą na barkach giganta mocował zestaw szerokich, skórzanych pasów. Nora przełknęła z trudem ślinę, patrząc na kołyszącą się kilka metrów nad jej głową konstrukcję.

– Mamy jechać na tym czymś? – zapytała z niedowierzaniem.

– Jasne. Nigdy nie podróżowałaś na olbrzymie? – Trol odwrócił się do niej, wyraźnie zaskoczony.

Nora zaprzeczyła ruchem głowy.

– Chyba nie myślałaś, że będziemy szli pieszo? Przecież to by zajęło cały dzień!

– Nigdy nie podróżowałam na olbrzymie, starszy funkcjonariuszu
– przyznała nieco zmieszana.

– No to teraz będziesz miała okazję. i błagam, mów mi NOEL. Jeśli nie skończysz z tym “starszym funkcjonariuszem”, to zostawię cię samą w najciemniejszej uliczce i więcej mnie nie zobaczysz.

– Tak jest – obiecała.

Noel skinął lekko głową i poklepał nogę olbrzyma, który na ten znak przyklęknął na jedno kolano. z grzbietu kolosa rozwinęła się sznurowa drabinka, której koniec uderzył z cichym brzękiem o kamienny bruk.

Nora z pewnym wahaniem przyglądała się, jak trol sprawnie wdrapuje się po grzbiecie wielkoluda, prosto do umieszczonego tam palankinu. Postawiła niepewnie stopę na łydce olbrzyma i chwyciła drabinkę. Kiedy spróbowała oprzeć się drugą nogą, sznurowana konstrukcja zaczęła się bujać i gnomka musiała balansować ciałem, żeby z niej nie spaść.

Noel przyglądał się temu z wyraźnym rozbawieniem.

– Dalej! Wspinaj się, mała!

Pierwsze szczeble pokonała z wielkim trudem, ale jak tylko złapała równowagę, bez większych trudności wspięła się na grzbiet olbrzyma i dołączyła do partnera.

– Brawo. Całkiem niezłe jak na pierwszy raz – pochwalił ją trol.

– Teraz zapnij pasy, inaczej na pierwszym zakręcie zostaniesz dekoracją na ścianie jakiegoś budynku.

Wskazał jej na skórzaną uprząż, którą sam miał już owiniętą wokół pasa. Nora zapięła się i szarpnęła pas kilka razy żeby sprawdzić, czy dobrze trzyma. Czowała się niekomfortowo na grzbiecie olbrzyma, a partner wcale nie starał się zmniejszyć jej niepokoju.

– Świetnie. Nic się nie bój, na pewno ci się spodoba – powiedział i mrugnął do niej.

Kilka razy poklepał olbrzyma po karku, a ten, jakby tylko czekając na ustalony sygnał, podniósł się powoli i zakołysał na boki swoimi pasażerami. Nora szarpnęła gwałtownie do tyłu, kiedy ich środek lokomocji ruszył nagle biegiem. Zacisnęła kurczowo dłonie na skórzanych pasach.

Nie bała się wysokości. Prawie całe życie spędziła na pokładzie gnomiego sterowca, zacumowanego niemal pod samym sklepieniem ogromnej skalnej groty, w której wnętrzu mieściło się miasto. Wielokrotnie oglądała z pokładu latającego statku ulice Czeluści i przechadzających się nimi mieszkańców. Podziwianie widoków przez burtę sterowca nie miało jednak wiele wspólnego z przemieszczaniem się na roztrzęsim grzbiecie olbrzyma.

Palankinem bujało okropnie. Każdy krok ich nietypowego środka transportu sprawiał, że Nora aż podskakiwała na ławeczce. Musiała jednak przyznać, że podróżowali w zawrotnym tempie. Mieszkańcy miasta rozstępowali się przed rozpędzonym kolosem, żeby uniknąć stratowania. Do uszu gnomki co jakiś czas docierały zresztą krzyki i przekleństwa, rzucone przez mijanych przechodniów.

Kolejne ulice i budynki szybko zostawały w tyle. z początku były to jedynie kamienne budowle, wyciosane ze skały jeszcze przez krasnoludy. Pomimo surowej formy, w każdym ich szczególe można było poznać kunszt budowniczych brodatego ludu. Każda okiennica

i framuga drzwi miała piękne zdobienia. Dachy budynków stanowiły najczęściej zaokrąglone kopuły, a czasem nowsze, ustawione skośnie konstrukcje. We wnętrzu góry nigdy nie padał wprawdzie deszcz, ale mieszkańcy Czeluści obawiali się spadających odłamków skalnych, które czasem odrywały się od sklepienia.

Mimo początkowego strachu, dla Nory było to nowe i ekscytujące przeżycie. Nigdy wcześniej nie miała okazji zobaczyć miasta z perspektywy grzbietu olbrzyma. Przyglądała się uważnie każdemu mijanemu budynkowi i próbowała jednocześnie nie stresować się widokiem uciekających im z drogi mieszkańców.

Noel przyglądał się partnerce i był nieco zawiedziony, kiedy po kilku pierwszych zakrętach jej twarz nie zbliżyła się nawet do żadnego z odcieni zieleni. Kiedy więc po raz kolejny olbrzym wszedł w zakręt i palankin na jego grzbiecie mocno się przechylił, a Nora nie udekorowała żadnego przechodnia zjedzonym o poranku śniadaniem, trol stracił resztki nadziei na wesołe przedstawienie.

Po jakimś czasie krasnoludzkie zabudowania zostały w tyle i przed strażnikami zaczęły wyrastać drewniane i nieco koślawe budynki. Oddzielały je od siebie wąskie przejścia, niektóre tak ciasne, że żaden człowiek nie dałby rady się nimi przecisnąć. Szeroka dotąd droga wyłożona kamiennymi płytami zaczęła się zwężać i ustępować miejsca ubitej ziemi.

– Zbliżamy się – powiedział Noel, rozpoznając typowe dla dzielnicy goblinów zabudowania. – Teraz słuchaj uważnie. Jak już tam będziemy, nie mam zamiaru cię pilnować, ani niańczyć, kapujesz?

– Tak jest – przytaknęła natychmiast Nora.

– Staraj się być cicho, obserwuj i wyciągaj wnioski, a wtedy wszystko będzie dobrze. Widziałaś już kiedyś zwłoki?

– Nigdy – zaprzeczyła z lekkim zawahaniem. – Podczas szkolenia brałam udział tylko w sprawach o włamania i drobne kradzieże.

Trol, ku jej uldze, nie skomentował faktu, że przydzielili mu zupełnego żółtodzioba. Pokiwał tylko głową.

– Jeśli zrobi ci się niedobrze, postaraj się nie zwrócić posiłku na miejsce zbrodni – powiedział zupełnie poważnie.

– Tak jest.

– i jeszcze jedno... – Noel pochylił się i spojrzał wymownie w oczy partnerki. – Żadnego bohaterstwa i popisywania się, rozumiano?

– Zrozumiano.

Trol odwrócił się i oparł wygodnie. Zaczął stukać rytmicznie palcami o poręcz ławki, jakby był co najmniej znudzony. Dla Nory było to nieco szokujące, bo ona sama z trudem hamowała swoje podniecenie. Nie dość, że brała udział w swojej pierwszej, poważnej sprawie, to jeszcze dotyczącej morderstwa.

Nie uszło jej uwadze, że Noel, podobnie jak ona sama, nie nosił żadnej zbroi. Odznakę miał zawieszoną na prostym sznurku, który spoczywał na jego piersi. Nie dostrzegła też żadnej broni u swojego partnera. Do tej pory nie miała okazji poznać żadnego trola. w Czeluści byli jedną z wielu mniejszości. Zastanawiała się przez chwilę, czy wszystkie są takie wysokie i chude jak Noel. Zawsze wyobrażała je sobie jako umięśnionych osiłków.

Przerwała te rozmyślania, gdy ich środek transportu zatrzymał się niespodziewanie.

– Jesteśmy na miejscu. Wyskakuj – oznajmił nagle partner i zaczął rozpinać swoją uprząż.

Gnomka ledwo zdążyła się obejrzeć, gdy trol już zsuwał się po grzbiecie olbrzyma. Przed nimi, na dosyć wąskiej ulicy, zebrał się spory tłum goblinów. Kilku zakutych w pancerze funkcjonariuszy otoczyło kordonem miejsce zbrodni i powstrzymywało natłok ciekawskich.

Nora rozpięła klamry upręży i przełknąwszy uprzednio ślinę, poszła w ślady Noela. Zejście z grzbietu olbrzyma było dla małej gnomki pewną ulgą. Za chwilę pierwszy raz miała zobaczyć miejsce zbrodni i trochę się denerwowała tym, jak sobie poradzi. Ekscytacja brała jednak górę nad strachem.

Trol wydawał się za to bardzo spokojny, zupełnie jakby robił takie rzeczy na co dzień. Odpędzał długimi rękoma gobliny i sprawnie przedzierał się przez tłum.

– Noel! Nareszcie! Nie spieszyłeś się za bardzo... Te cholerne gobliny dosłownie włożą na mnie! – zagrzmiał potężnie zbudowany krasnolud, który właśnie zrzucił z siebie małego zielonoskórego osobnika, uparcie wspinającego mu się na ramię.

– Wybacz, Magni. Mam dziś ze sobą bagaż. – Bez oglądania się, Noel wskazał kciukiem za siebie, na podążającą za nim gnomkę.

– Nie jestem bagażem!

Nora przecisnęła się przed swojego partnera, żeby stanąć na baczność przed krasnoludem. Spod hełmu sierżanta wystawały długie wąsy barwy miedzi i swobodnie rozpuszczona broda, która opadała mu na błyszczącą zbroję. Na okazałych rozmiarów naramiennikach błyszczały złote insygnia.

– Młodsza funkcjonariuszka Nora Tinkerton melduje się na rozkaz, sierżancie!

– Ho, ho! No proszę... – Krasnolud skrzyżował ręce na piersi i zlustrował wzrokiem gnomkę. – Mała dziewczuszka chce się bawić w strażniczkę! i tobie kazali ją niańczyć, Noel?

– Nie jestem małą dziewczuszką, sierżancie! – fuknęła Nora, a jej drobne dłonie zacisnęły się w pięstki.

– Spokojnie mała, nie marnuj energii. Dzień dopiero się zaczyna. – Noel poklepał ją delikatnie po ramieniu i ruszył do leżącego na ziemi ciała.

– Co my tu mamy, Magni? Kolejne porachunki goblinów karteli?

– Na to wygląda. Chociaż metoda jak na nich dość nietypowa.

Podeszli we trójkę do bezgłowego ciała. w bladym świetle, które rzucała zawieszona nad ulicą lampa, dostrzegli nieopodal brakujący jego fragment. Noel przykucnął przy ofierze i zaczął przyglądać się jej badawczo.

– Wiemy, kim był? – zapytał stojącego z boku sierżanta.

– Jeszcze nie. Te cholerne gobliny nie są zbyt chętne do współpracy. Wolą same pilnować spraw w swojej dzielnicy.

Nora uklękła przy ofierze. Sięgnęła ręką pod płaszcz, do jednej z wielu kieszeni i wyjęła dziwnie wyglądające gogle. w ich skórzanej oprawie znajdowały się umieszczone teleskopowo soczewki. Noel przyglądał się ze zdumieniem, jak gnomka reguluje ich ustawienie i ogląda dokładnie denata.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał partnerkę.

– Badam ślady, starszy funkcjonariuszu – odparła i ruchem pokręta wyregulowała przybliżenie.

– Miałaś mówić mi po imieniu. Poza tym, tu nie ma czego oglądać. Jeśli ktoś ginie w dzielnicy goblinów, to stoi za tym któryś

z karteli. To natomiast oznacza, że nigdy nie dowiemy się kto i dlaczego zabił tego gościa.

– Noel ma rację, kuzyneczko – wtrącił Magni. – Cholerne kartele mają całą tę dzielnicę w swojej zielonoskórej garści.

– Spójrzcie! – Nora przerwała im i wskazała coś na ubraniu denata.

– Ten drobny pyłek... Widzicie? – Przejechała dłonią po ubraniu martwego goblina i pokazała im ciemne zabrudzenie na czubku palca. – To proch! Wystarczy powąchać.

Magni i Noel przysunęli twarze do jej dłoni i pociągnęli jednocześnie nosami.

– i spójrzcie na to! – krzyknęła gnomka, po czym wskazała ubrudzoną krwią metkę fartucha. – Widać tu jakiś napis... S&C.

Noel przyjrzał się z bliska.

– Całkiem nieźle, mała. Niedaleko stąd jest fabryka prochu Strutmana i Crochta. Trzeba będzie się tam rozejrzeć.

– To nie wszystko! – zwróciła uwagę Nora. – Nie sądzę, żeby to było dzieło kartelu. Spójrzcie na ślad cięcia. Jest skośny. Zabójca był o wiele wyższy niż ofiara.

– Kartele często wynajmują orków, albo trole. To nic niezwykłego – wtrącił stojący z boku Magni.

– a ilu spośród tych orków używa księżycowej stali? Spójrzcie tu! – Wskazała drobnym palcem na brzeg rany. – Skóra na brzegach jest przypalona. To znaczy, że albo zabójca rozgrzał ostrze przed cięciem, co jest mało prawdopodobne, albo... Miał broń z księżycowej stali.

Noel i Magni popatrzyli na siebie.

– Posłuchaj, kuzyneczko... – Stary krasnolud skrzyżował ręce na piersi – Twój zapal jest godzien pochwały, ale księżycowe ostrze? Elfia stal? Tutaj?

– Sierżancie! – z wylotu ciemnej uliczki wyszedł okazałej postury ork, obleczony w czerwony półpancerz z przypiętą odznaką. – Zaulek kończy się ślepo, ale znaleźliśmy w nim to... – Wyciągnął rękę, w której trzymał sztylet.

Ostrze miało srebrzysty kolor i wydawało się wydzielać delikatne światło. Całą broń pokrywały piękne, misterne zdobienia i już na pierwszy rzut oka dało się rozpoznać elfie rzemiosło.

– Księżycowa stal... a niech mnie. – Magni pogładził swoją brodę.

– Tylko elfy używają księżycowej stali! Tylko one umieją ją wytworzyć! – niemal krzyknęła Nora.

Poczuła, jak przepełnia ją coraz większy entuzjazm. Wiedziała, że wpadła na ważny trop. Noel wziął do ręki sztylet i przyjrzał mu się uważnie. Odwrócił się do swojej partnerki i pokazał jej ostrze.

– Przecież... Na wszystkich bogów... To nie mógł być elf! w Czeluści od wieków nie było ani jednego elfa! – zagrział Magni tak głośno, że pozostali strażnicy zebrani wokół miejsca zbrodni obejrżeli się na niego.

– Nie gapić się! Do roboty! – wrzasnął rozgniewany sierżant.

Nora przyglądała się ostrzu przez swoje gogle.

Księżycowa stal, nie ma wątpliwości. Tylko skąd wzięła się w Czeluści? – zadawała sobie pytanie.

Jedyny egzemplarz takiej broni miała okazję oglądać w miejskim muzeum. Nigdy nie przypuszczała, że pewnego dnia będzie trzymała w rękach ten wyjątkowy metal.

– Elf czy nie, musimy się dowiedzieć, dlaczego sprawca chciał zabić tego gościa – powiedział Noel, powoli wstając od ciała martwego goblina.

Podwójny problem

Fabryka prochu *Strutman & Crocht* mieściła się kilka ulic dalej. Nora, która wiedziała co nieco na temat goblinńskiej inżynierii, miała pewne obawy związane ze zbliżaniem się do budynku pełnego ładunków wybuchowych. Gobliny, podobnie jak gnomy, słynęły ze swojego zamiłowania do techniki i wynalazczości. Różnica polegała na tym, że poza techniką interesowały je również handel, bankowość i szeroko pojęte finanse. Te zamiłowania łączyły się i przeplatały wzajemnie, tworząc razem dość niebezpieczną mieszankę. w społeczeństwie goblinów, zdominowanym przez konkurujące ze sobą przestępcze kartele, wykorzystanie wynalazków goblinńskiej myśli technicznej potrafiło mieć groźne, a nawet wybuchowe rezultaty. Skutek tego był taki, że dzielnica ta miała jedną z najsukuteczniejszych Straży Pożarnych w całym mieście.

– Nie możecie wejść. To teren prywatny! – Dobiegł ich głos z miedzianej tuby, zawieszanej przy drzwiach fabryki.

– Jesteśmy funkcjonariuszami Straży Miejskiej! Otwórzcie, mamy kilka pytań! – odkrzyknęła Nora.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteście! Teren fabryki jest zamknięty, a wy nie macie nakazu przeszukania!

– Posłuchaj kolego, nie musimy mieć nakazu, jeżeli drzwi są otwarte. – Noel postukał palcem w tubę.

– Przecież nie są otwarte! Wynoście się stąd! – ryknął głos z drugiego końca miedzianego leja.

Drzwi do fabryki *Strutmana i Crochta* posiadały bardzo wymyślny zamek. Stalowa zasuwka napędzana systemem przekładni i zębatek była zwalniana tylko wtedy, gdy ktoś w środku za pomocą

czterech dźwigni wprowadził czterocyfrowy kod na specjalnej, bębnowej maszynie. Całość sprawiała wrażenie bardzo solidnej i w zasadzie miała tylko jedną wadę – drzwi, podobnie jak cały budynek, wykonane były z drewna.

Kiedy mierząca niemal metr długości stopa olbrzyma jednym kopnięciem rozbiła je na drzazgi, stalowe elementy bębnowej maszyny rozsypały się z brzękiem po korytarzu. Pilnujący ich goblin, który nadal stał przy tubie komunikacyjnej, spoglądał w oszołomieniu, jak do środka fabryki wchodzi trol i gnomka.

– No popatrz tylko. Drzwi jednak były otwarte, wystarczyło delikatnie zapukać. To chyba załatwia sprawę nakazu.

– Nie możecie tak robić! – krzyknął goblin, kiedy otrząsnął się z oszołomienia.

– Już zrobiliśmy, kolego. a teraz zaprowadź nas do szefa. Chyba nie chcesz, żebyśmy sami zwiedzali to miejsce?

Wściekły goblin odwrócił się na pięcie i pobiegł wzdłuż korytarza. Kiedy zniknął za zakrętem, Noel ruszył powoli jego śladem.

– Starszy... Noel, czy nie będziemy mieć przez to kłopotów? – zapytała Nora, oglądając się na rozbite w drzazgi drzwi.

– Serio myślisz, że ktoś to zgłosi? To by oznaczało śledztwo, a kartel raczej nie będzie chciał strażników kręcących się po swojej fabryce. Właściwie, to powinni nam nawet podziękować. Za sprawdzenie zabezpieczeń i takie tam.

– Zabezpieczeń na wypadek, gdyby jakiś olbrzym jednym kopnięciem rozwalił im pół budynku? – zapytała niepewnie.

– Jasne. Dobrze, że akurat mieliśmy olbrzyma pod ręką. To jedna z wielu zalet ich usług przewozowych.

Przeszli krótkim korytarzem wprost na halę produkcyjną. w nieco zatęchłym powietrzu czuć było wyraźny zapach prochu. Większą część pomieszczenia wypełniała wielka maszyna o walcowatym kształcie, od której odchodziła niezliczona ilość rur i kominów. Prowadził do niej długi taśmociąg, przy którym uwijały się małe, zielonoskóre postacie w roboczych kombinezonach.

Kiedy strażnicy mijali kolejne zapracowane gobliny, czuli na swoich plecach coraz więcej ciekawskich spojrzeń. Przebiegający tragarze, którzy dźwigali drewniane beczułki, przystawali na moment, najwyraźniej zszokowani widokiem intruzów.

Jak tylko Noel obszedł taśmociąg, zobaczył schody umieszczone na drugim końcu hali, po których wbiegał właśnie ich znajomy odźwierny. Goblin także dostrzegł strażnika i popędził jeszcze szybciej, by po chwili zniknąć za drzwiami.

– Kiedy tam wejdziemy, postaraj się nic nie mówić, mała. Mnie zostaw całą gadaninę – Noel spojrział na partnerkę przez ramię. – Nigdy nie spotkałem Strutmana i Crochta, ale słyszałem o tych koleśiach dość nieprzyjemne rzeczy. Do tej pory mogliśmy sobie co nieco pozwalać, ale wolałbym z nimi nie zadzierać. Przynajmniej na razie.

– Tak jest! – odpowiedziała mu Nora. – Będę cichutko jak dobrze naoliwiona zębatka.

Schody zaprowadziły ich do pomieszczenia na piętrze. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi stwierdzili ze zdziwieniem, że hałas pracującej maszyny zupełnie ustał. Wnętrze przypominało elegancko udekorowany gabinet. Ściany zdobiły obrazy i draperie, a z sufitu zwisał ogromny, pozłacany świecznik.

Pilnujący drzwi ork nakazał im gestem podejście do masywnego biurka, które zajmowało niemal jedną piątą część pomieszczenia. w fotelu za masywnym meblem zasiadał ubrany w elegancki frak, dwugłowy ogr.

– Proszę, proszę. Czemu zawdzięczamy tę nieoczekiwaną wizytę?
– przemówiła prawa, większa głowa, nakryta zadziornie przekrzywionym melonikiem.

Na prawym oku miała założony złoty monokl, przypięty gustownym łańcuszkiem. Lewa, mniejsza głowa, zaciągała się trzymanym w ustach cygarem.

– Panowie Strutman i Crocht? – zapytał Noel i podszedł bliżej biurka.

– Ja jestem Strutman – Ogr poprawił melonik spoczywający na prawej głowie. – To jest pan Crocht. – Lewa głowa przytaknęła i wypuściła kłąb dymu z cygara.

– Wy musicie być tymi niespodziewanymi gośćmi, którzy tak grzecznie zapukali do naszych drzwi. – Uśmiechnął się Strutman. – Nie lubimy niezapowiedzianych gości. Prawda, panie Crocht?

– Hmpf – odparła lewa głowa i wypuściła z ust kolejną porcję siwego dymu.

– Nie lubimy też, gdy ktoś niszczy naszą własność. Prawda, panie Crocht?

– Hmpf.

Cygaro ogra rozпалиło się do czerwoności i po chwili kolejna mała chmurka uniosła się pod sufit. Ork stojący przy drzwiach wyciągnął sporej wielkości pałkę, którą dotychczas chował za plecami.

– Jeśli macie coś do powiedzenia, teraz jest dobra pora – odezwał się Strutman.

Nora zrobiła krok w stronę biurka, ale Noel zgrabnie ją wyprzedził. Wolał sam załatwić tę sprawę. Zwłaszcza, że jego partnerce brakowało doświadczenia.

– Jeden z waszych pracowników nie stawił się rano w fabryce, prawda? – zapytał ogra.

Strutman przechylił głowę z zaciekawieniem. Lustrował przez chwilę dwójkę przybyszów, wyraźnie zaintrygowany. w tym samym czasie pan Crocht przesunął językiem cygaro z jednego kącika ust do drugiego i zaciągnął się porządnie dymem. Wyglądało to niemal, jakby obie głowy prowadziły ze sobą jakiś niemy dialog.

– Tak, to prawda – potwierdził w końcu Strutman.

– To dlatego, że nie żyje. Ktoś odciął mu głowę kilka ulic stąd. Podejrzewamy, że mógł to być elf...

– Elf? – przerwał mu Strutman. – w Czeluści? To niedorzeczne.

– Wszystko na to jednak wskazuje. Zabójca miał elfie ostrze, księżycową stal. Chyba sami przyznacie, że w tych stronach to raczej niespotykana zabawka.

– Hmpf – mruknął pan Crocht.

– No dobra, czego chcecie? – Prawa dłoń ogra zabębniła palcami po blacie biurka.

Nora nie wytrzymała dłużej. Wyminęła partnera, zanim ten zdążył zareagować i stanęła przed właścicielem fabryki.

– Chcemy poznać tożsamość ofiary. Musimy wiedzieć czym wasz zamordowany pracownik się zajmował, oraz czy macie panowie jakieś przypuszczenia, co do tożsamości jego zabójcy – powiedziała szybko, niemal na jednym wydechu.

Głowy ogra popatrzyły na siebie. Po kilku chwilach odwróciły się jednocześnie w stronę małej gnomki.

– Nazywał się Ziggert, ale przyjaciele mówili mu Ziggi. Był kierownikiem fabryki, szefem nocnej zmiany – wyjaśnił Strutman.

– Co jeszcze? – Nora wyciągnęła spod płaszcza niewielki notesik i zaczęła w nim szybko zapisywać.

– Dziś rano zauważyliśmy, że z naszego magazynu zniknęło... trochę towaru. Od razu powiązaliśmy to z nieobecnością Ziggiego. Uznaliśmy jednak, że pewnie dogadał się z konkurencją.

– Może tak właśnie było? – zapytał Noel. – Może ktoś z konkurencji odebrał towar i uznał, że Ziggi nie będzie dłużej potrzebny?

Crocht zaciągnął się w połowie wypalonym już cygarem.

– Problem w tym, że taką ilość skradzionego prochu raczej trudno ukryć. w naszej branży każdy ma wszędzie oczy i uszy – odpowiedział spokojnie Strutman.

– o jakiej ilości prochu dokładnie mówimy? – Nora wbiła w ogra świdrujące spojrzenie.

– No, więc... – Strutman wsunął dłoń pod melonik i podrapał się po głowie.

Crocht spojrział na niego i pyknął dymem z cygara.

– No, więc... Oni zabrali wszystko.

– Wszystko? Cały wasz zapas prochu? – zapytał z niedowierzaniem Noel. – Jak dużo mieliście tego w magazynie?

– Dość, by wysadzić pół dzielnicy – odezwał się po raz pierwszy pan Crocht. Jego głos był niski i zachrypnięty.

– i teraz ma go odrąbujący głowy morderca. No to pięknie! Chodź, mała. Chyba czas już na nas.

– Jeszcze jedno – zatrzymał trola Strutman. – Ziggi miał asystenta. Jego również nie możemy znaleźć. Nazywa się Snag.

– Dzięki wam, panowie. To była prawdziwa przyjemność – Noel skłonił się, po czym skierował do wyjścia.

– Co teraz? – zapytała Nora, kiedy wyszli już przed budynek.

– Teraz wracamy na posterunek. Tu już nie chodzi o zwykłe morderstwo. Jakiś psychol ma dość prochu, żeby posłać całą dzielnicę w niebyt. Trzeba o tym kogoś powiadomić.

– Kapitan Baelor? – chciała upewnić się gnomka.

– Brutal musi rzucić do śledztwa wszystkich strażników, jeśli mamy znaleźć ten proch. Taka ilość nie mogła nie zostawić po sobie żadnych śladów.

Oboje wsiedli do palankinu olbrzyma i po krótkich przygotowaniach ruszyli w drogę. Kiedy ich środek transportu mijał miejsce zbrodni, Nora zobaczyła jeszcze sierżanta Magniego i jego podwładnych, nadal dzielnie stawiających opór fali ciekawskich goblinów.

Pokrzywione, drewniane rudery drgały lekko przy każdym kroku kolosa, a mijani na ulicach przechodnie rozstępowali się z drogi. Nora nie zwracała tym razem na to większej uwagi. Rozmyślała nad śledztwem. Jej partner natomiast zdołał jakimś cudem uciąć sobie drzemkę.

Gdy dotarli do siedziby Straży, kabrys pilnujący drzwi wciąż przysypiał w najlepsze. Ominęli go i udali się wprost do gabinetu kapitana.

– Ssstać! – powiedział jaszczuroczłek z przypiętą do napierśnika odznaką, który zastąpił im drogę. – Kapitan jessst zajęty. Nie jessst sssam.

– Zejdź nam z drogi, Lasti. Mamy ważną sprawę. To nie może czekać. – Noel bezskutecznie próbował wyminąć zwinnego,

dorównującego mu wzrostem strażnika.

– Sssory kolego. Nikt nie ma wssstępu

Lasti, jak większość jaszczuroludzi, był zwinny jak wąż i dzięki temu skutecznie powstrzymał przed przejściem coraz bardziej zirytowanego Noela.

– Nie mam czasu na te wygłupy, Lasti!

– Takie sssą rossskazy kapitana!

Nora przyglądała się przez chwilę biernie tej scenie, jednak w końcu zniecierpliwienie przeważyło. Wykorzystała swój niewielki wzrost i przebiegła między nogami zajętych sobą strażników, prosto przez drzwi do biura kapitana.

Zatrzymała się gwałtownie, kiedy zobaczyła stojącego przed biurkiem Baelora. Obok kapitana stał wsparty o ścianę rycerz w zielonej tunice. Natomiast po drugiej stronie biurka, w fotelu Brutala, zasiadał białowłosy mężczyzna o bladej cerze. Był odziany w wytworny, czarny strój, który zdobiły złote i czerwone hafty.

Gdy zobaczyli Norę, natychmiast przerwali toczącą się dyskusję.

– Co do licha? – warknął wilkołak i wyszczerzył gniewnie kły.

– Kapitanie! Mamy ważne informacje, które wymagają pańskiej natychmiastowej uwagi! – Nora stanęła na baczność przed przełożonym.

– Lasti, do wszystkich diabłów! Nikt miał nam nie przeszkadzać!

– krzyknął kapitan w stronę otwartych drzwi.

– Sssory kapitanie, ta mała... – zaczął tłumaczyć jaszczuroczelek, ale trol wykorzystał okazję i wyminął go gwałtownie.

– Nie mamy czasu na takie pierdoły! – krzyknął Noel. – Mamy poważny problem.

– Mów – zażądał Brutal i dał znak Lastiemu, żeby zostawił ich samych.

– Pamięta szef to morderstwo w dzielnicy goblinów? Okazało się, że sprawca zawinął z fabryki kartelu cały zapas prochu. Zabrał wszystko! Ogołocił im cały magazyn. Ma teraz dość materiałów wybuchowych, żeby zwalić nam sufit na głowę i to całkiem dosłownie!

Brutal potrzebował kilku chwil, by przeanalizować to, co właśnie usłyszał. Stał jak osłupiały, gdy nagle ciszę przerwało stukanie paznokci o blat biurka.

– Bardzo interesujące. Chyba faktycznie ta sprawa wymaga naszej pełnej uwagi, kapitanie – przemówił białowłosy mężczyzna siedzący w fotelu.

– Tak, hrabio. Zajmiemy się tym natychmiast – odpowiedział wilkołak.

– Kapitanie! – wtrąciła się Nora. – Musi pan skierować wszystkich strażników do poszukiwania skradzionego prochu! Taka ilość materiałów wybuchowych w nieodpowiednich rękach stanowi poważne zagrożenie! Musimy ostrzec mieszkańców!

– Wszystkich strażników? Czy ty zwariowałaś, gnomko? – Brutal nachylił się i spojrzał jej w oczy. – Ostrzec wszystkich? Chcesz wywołać panikę?

– Tylko bez nerwów, kapitanie – Białowłosy podniósł się z fotela i Nora odniosła wrażenie, że przez ułamek sekundy jego niebieskie oczy zapłonęły niczym dwa małe ogniki. – Ta mała strażniczka ma rację. Jeśli to wszystko prawda, sytuacja jest bardzo poważna. Sugeruję, by skierowano wszystkie siły do poszukiwań.

Kapitana jakby zatkało. Poruszał pyskiem, ale najwyraźniej nie wiedział co odpowiedzieć.

– Co więcej, przydzielam pańskim podwładnym mojego najlepszego agenta – Dłoń hrabiego wskazała wspartego o ścianę rycerza w zielonej tunice. – Jestem pewien, że jego niezwykle talenty okażą się bardzo pomocne.

Nora do tej pory nie poświęciła drugiemu z gości kapitana zbyt wiele uwagi, ale teraz przyjrzała mu się uważniej. Jego srebrzysta zbroja była częściowo zakryta zieloną tuniką, zaś staromodny, garnczkowy hełm całkowicie zasłaniał twarz. Przez wąski wizjer nie widać było nawet oczu rycerza.

– Ależ, panie przewodniczący... Nie widzę potrzeby... – zaczął mówić Baelor, ale białowłosey przerwał mu gestem ręki.

– Nalegam, kapitanie – przemówił hrabia spokojnym, ale nie pozwalającym na sprzeciw głosem. – Udam się do pałacu, przedstawić radzie sytuację. Proszę, by informowano mnie na bieżąco o wszystkim, co dotyczy tej sprawy.

– Tak, panie hrabio – rzucił kapitan do wychodzącego już mężczyzny.

Zielony rycerz odprowadził radnego do drzwi. Zatrzymał się przy nich ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

– Wasz nowy partner nie jest zbyt gadatliwy – zwrócił się Baelor do Noela i Nory. – Hrabia wspominał coś o jego ślubach milczenia, czy czymś takim.

– Nasz nowy partner? – zapytał z niedowierzaniem Noel. – Dajesz mi kolejnego partnera? Drugiego w ciągu jednego dnia? Serio?

– Tak, dam ci kolejnego partnera – odparł ostro Brutal. – Skoro tak bardzo zaangażowałaś się w tę sprawę, to pociągniesz ją do końca. Poza tym, nie mam wyboru. Słyszałeś hrabiego. Ruszajcie i znajdźcie ten proch. Wydam rozkazy pozostałym strażnikom.

– Jeszcze jedno, kapitanie – wtrąciła się Nora, gdy zmierzali już do wyjścia. – Mamy podstawy sądzić, że zabójcą może być elf.

– Elf? No to pięknie, robi się coraz ciekawiej – Brutal opadł na swój fotel. – w tej chwili chcę, żebyście skupili się na znalezieniu prochu. Tylko na tym. Odejść! – Machnął ręką w stronę drzwi.

Strażnicy wyszli bez ociągania z gabinetu, po drodze mijając jeszcze Lastiego. Jaszczuroczłek odprowadził ich pełnym złości wzrokiem. Agent hrabiego podążał za nimi w milczeniu, jak cień.

– Kim był ten upiornie blady mężczyzna? – zapytała Nora swojego partnera.

– To przewodniczący rady miejskiej, mała. Hrabia Manfred von Richtenstein. Jest wampirem.

– a nasz milczący towarzysz? – Nora wskazała kciukiem za siebie, na zielonego rycerza.

– Ten typek? – Noel obejrzał się przez ramię na śledzący ich cień. – o tym gadule wiem tyle samo, co ty.

Kiedy wyszli przed posterunek, przystanęli na chwilę na szczycie schodów. Patrzyli na wędrujących ulicą przedstawicieli różnych ras, zajętych jak zwykle swoimi sprawami i zupełnie nieświadomych czyhającego zagrożenia.

Już po samej ilości przechodniów poznali, że w Czeluści wkrótce nastanie noc. Mieszkali pod ziemią, bez dostępu do słońca, więc pory dnia i nocy były czysto umowne. Codziennie o ustalonej godzinie na ulicach gaszono co drugą lampę i zapalano je dopiero o świcie następnego dnia.

– Co teraz? – zapytała Nora i otuliła się ciaśniej niebieskim płaszczem.

– Słyszałaś rozkazy kapitana? – Noel przeciągnął się lekko i jego stawy cicho zatrzeszczały.

– Kazał nam szukać prochu – przytaknęła Nora.

– Zrobimy dokładnie na odwrót.

– Słucham? Jak to, na odwrót? – zdziwiła się gnomka

– Proste. Brutal kazał nam zostawić morderstwo i wziąć się za szukanie prochu, ale my zamiast tego skupimy się na znalezieniu sprawcy. Jeśli go złapiemy, znajdziemy też skradziony towar.

Nora zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Rozumowanie jej partnera miało sens. Poza tym, dwójka strażników nie zrobi wielkiej różnicy w akcji poszukiwawczej.

– Nasz jedyny ślad, to nieboszczyk i jego zaginiony asystent – powiedziała po chwili namysłu.

– Zgadza się, dlatego zaczniemy od odwiedzenia domu Ziggiego, zanim Magni i jego ekipa dochodzeniowa rozniosą to miejsce na strzępy.

Syk pary i brzęk stali

Większą część trasy zdołali pokonać w palankinie na grzbiecie olbrzyma, ale kiedy ogłoszono porę nocną, musieli zrezygnować z tego środka transportu. Biegące ulicami kolosy powodowały, że okoliczne budynki trzęsły się w posadach. Dlatego rada miejska już dawno zakazała olbrzymom podróży po zmroku, aby umożliwić w ten sposób mieszkańcom spokojny sen.

W całym mieście na ulicach zgasła co druga lampa i zaułki Czeluści skryły się w półmroku. w dzielnicy goblinów zazwyczaj o tej porze chodniki były już mocno wyludnione, ale tym razem było inaczej. Kartele zawsze dostawały lekkiego bzika, kiedy dochodziło do morderstwa na ich terenie.

Gdzie nie spojrzeć, wszędzie kręciły się uzbrojone patrole orków, w ciemnych zaułkach błyskały czujne oczy szpicli, a po dachach przemykały skryte w mroku sylwetki. Osoba z zewnątrz może miałaby problem z ustaleniem obszarów kontroli poszczególnych karteli, ale miejscowi doskonale znali granice, których nie wolno im było przekraczać.

– To miejsce przypomina beczkę prochu, która tylko czeka na iskrę – powiedział cicho Noel.

Nora przysunęła się bliżej partnera. Niemalże czuła na sobie spojrzenia skrytych w ciemności postaci.

Ustalenie miejsca zamieszkania Ziggiego nie było na szczęście bardzo trudne. Noel miał pewne koneksje w tej części miasta i za niewielką opłatą szybko dowiedział się, gdzie znajduje się dom zabitego goblina. Budynek nie wyróżniał się niczym szczególnym. Najbliższa lampa uliczna rzucała słabe światło na drzwi wejściowe.

w oknach na parterze i na piętrze panowała ciemność, czego raczej można się było spodziewać.

Trol zapukał kilka razy, ale odpowiedziała tylko cisza. Poruszył klamką, lecz drzwi były zamknięte.

– Przydałby się olbrzym – skwitował marudnie. – Może ty masz jakiś pomysł, super agencie? – zapytał zielonego rycerza, ale ten w ogóle nie zareagował.

– Zaczekajcie – poprosiła Nora i zaczęła szukać czegoś w kieszeniach swojego płaszcza.

Po chwili wyjęła kłębek cienkiego drutu, z którego odwinęła kawałek długości palca. Noel przyglądał się z zaciekawieniem, jak gnomka zgina metalowy koniec i zaczyna dłubać nim w zamku.

– Co robisz? – zapytał, przypatrując się uważnie jej ruchom.

– Nauczyłam się tego, gdy zgubiłam klucze do mojego warsztatu – odpowiedziała. – Musisz tylko dać mi chwilę.

Noel skrzyżował ręce na piersi i rozejrzał się po okolicy. Nie podobał mu się fakt, że sterczą tak długo na otwartej przestrzeni, w dodatku majstrując przy drzwiach domu nieboszczyka. Zdawał sobie sprawę, że w obecnych warunkach nie jest to najbezpieczniejsze miejsce.

W końcu usłyszał szcęk otwieranego zamka. Nora poruszyła delikatnie klamką, a drzwi uchyliły się poskrzypując przy tym cicho.

– Nieźle. Całkiem nieźle. – Noel pokiwał głową z uznaniem.

– Dzięki – odparła mu z uśmiechem gnomka i schowała drucik z powrotem do jednej z kieszeni po wewnętrznej stronie płaszcza.

Zajrzeli do środka, ale ich wzrok nie był w stanie przebić się przez zalegającą w pomieszczeniu ciemność. Noel otworzył drzwi

niewiele szerzej i wtedy z ciemności uderzył w nich nagły rozbrzmiew jasnego, koncentrycznego światła.

Usłyszeli syk pary i zgrzyt ocierającej się o siebie stali. Po chwili podłoga pod ich stopami zadrżała, zupełnie jakby kroczyło po nim coś bardzo ciężkiego. Źródło oślepiającego światła zaczęło się przybliżać, a syk pary stawał się coraz głośniejszy. W końcu ich oczy przyzwyczały się na tyle, że mogli ujrzeć kontury sylwetki potężnego kolosa zmierzającego w ich kierunku.

Nora uniosła dłoń, żeby osłonic oczy. Natychmiast rozpoznała ogromną, dwunożną maszynę, która szła prosto ku nim. Spróbowała ostrzec Noela, ale było już za późno.

Przy ogłuszającym huku i oślepiającym błysku, stalowy potwór wystrzelił do nich z działa, które miał zamontowane w miejscu jednego z ramion. Gdyby Nora w ostatniej chwili nie odciągnęła partnera, pędzący z ogromną prędkością żelazny śrut dosłownie posiekałby ich na kawałki.

Metalowe pociski minęły ich dosłownie o włos, rozbijając w drzazgi drzwi od domu goblina. Mniejsze i większe kawałki drewna posypały się na ulicę.

Zaskoczeni strażnicy przywarli do zewnętrznej ściany. Zielony rycerz poszedł w ich ślady i przykucnął po przeciwnej stronie wejścia. Kiedy ziemię zaczęły targać kolejne wstrząsy, wy dobył swój miecz z pochwy zawieszanej u pasa.

– Co to jest, do ciężkiego licha? – krzyknął Noel prosto do ucha swojej partnerki, próbując przebić się przez hałas jaki robiła maszyna.

– Wygląda jak Wspomagany Pancierz Parowy! Gobliny używały takich konstrukcji podczas wojny! – odpowiedziała mu równie głośno Nora.

– Jak wyłączyć to cholerstwo?

Snop światła zbliżał się coraz bardziej do nieregularnej dziury w ścianie, powstałej po strzale armaty.

– Jest napędzany parą, w końcu zabraknie mu paliwa! – krzyknęła gnomka.

– Więc mamy tu sobie po prostu poczekać?

Stalowa pięść konstrukt przebiła się z hukiem przez drewnianą ścianę, tuż obok głowy trola. Po chwili zniknęła w środku, lecz dookoła dziury deski zaczęły wybrzuszać się i pękać, jakby ogromna siła wypychała je od wewnątrz.

Noel zdążył odskoczyć, gdy w końcu ściana nie wytrzymała i pękła na wszystkie strony.

Stalowy potwór wyszedł na ulicę. Mierzył nieco ponad dwa metry wzrostu i poruszał się na dwóch mechanicznych nogach. z tylnej części jego grubego korpusu wystawała rura, z której co chwilę pod dużym ciśnieniem strzelał strumień siwobiałej pary.

Do głowy maszyny przyczepiona była lampa, której światło oślepiło Norę i Noela, gdy próbowali wejść do domu martwego goblina. Jedno ze stalowych ramion konstrukt zakończone było trzypalczystą dłonią, zaś drugie zastąpione było przez sporej średnicy armatę. Maszyna poruszała się powoli i była tak ciężka, że ziemia drżała przy każdym jej kroku.

– w nogi! – rozkazał Noel i rzucił się do ucieczki.

– Czekaj! Ktoś tym musi sterować! w środku jest operator! – krzyknęła za nim Nora.

– Jakoś nie mam ochoty w tej chwili z nim rozmawiać! – Trol złapał partnerkę za rękę i pociągnął za sobą.

Ukryli się oboje tuż za winklek domu Ziggiego. Tymczasem towarzyszący im zielony rycerz podniósł się z ziemi i nie okazując krztyny strachu, wyszedł na sam środek ulicy. Skierował ostrze swojego miecza prosto w stalowy korpus mechanicznego potwora, jakby chciał rzucić mu wyzwanie.

Maszyna obróciła się w jego stronę, zgrzytając zębatkami ukrytymi pod pancerzem. z jej komina wystrzelił strumień pary, ramiona uniosły się odrobinę, a widoczne pod nimi trybiki zaczęły się obracać. Konstruktor ruszył powoli z miejsca i wycelował w rycerza z działa.

Zanim rozległ się huk, zielony wojownik zerwał się do biegu i z niebywałą wręcz prędkością znalazł się tuż przy maszynie. Salwa żelaznego śrutu przecięła powietrze tuż nad jego głową.

Rycerz zaledwie w kilku skokach wdrapał się zwinnie na pancerz stalowego potwora i uczepił ręką jego głowy.

Maszyna obróciła się kilka razy w obie strony, jakby próbowała odszukać przeciwnika, który nagle znikł z jej pola widzenia. Rycerz wykorzystał ten czas i rękojeścią miecza rozbił lampę na głowie konstruktora.

Wspomagany Pancierz Parowy zamarł na chwilę, ale zaraz jego korpus zaczął obracać się szybko dookoła własnej osi. Stalowy potwór próbował zrzucić z siebie natrętnego przeciwnika i prawie mu się to udało, bo zaskoczony rycerz stracił na chwilę podparcie dla stóp. Palce, wciąż zaciśnięte na głowie potwora, zdołały jednak utrzymać ciężar.

Kiedy maszyna stanęła w miejscu, rycerz precyzyjnym pchnięciem wbił klingę miecza w tryby tuż pod armatą. Koła zębate zazgrzytały głośno o ostrze broni i po chwili zablokowały się całkiem.

Z komina maszyny strzelił z sykiem potężny strumień pary. Jej druga ręka uniosła się i zaatakowała trójpalczystą dłoń. Rycerz dostrzegł to w porę i zaczął cierpliwie, aż opadnie cios.

Kiedy konstrukt spróbował go sięgnąć, wojownik skoczył i uczepił się ramienia, które go atakowało. Wyszarpnął sztylet z za pasa i pewnym ruchem wsunął go między obracające się z boku ramienia zębatki.

Metal zaczął zgrzytać i prężyć się, a para strzelała z komina. Pancerna dłoń zatrzymała się i zastygła w bezruchu tuż obok głowy rycerza.

Kiedy przez dłuższą chwilę konstrukt stał w bezruchu, agent hrabiego zaczął schodzić ostrożnie na ziemię.

Maszyna w ostatniej, desperackiej próbie zaczęła znowu obracać swój korpus, ale tym razem wojownik nawet nie próbował się na niej utrzymać. Zeskoczył zwinnie i uważając na to, by nie dostać w głowę wirującym ramieniem, cofnął się o kilka kroków.

Wspomagany Pancierz Parowy szamotał się jeszcze przez chwilę. Obracał w różne strony i strzelał parą z komina. w końcu jednak jego ruchy zaczęły zwalniać. Siwobiały obłok pojawiał się coraz rzadziej, aż ostatecznie stalowy potwór zatrzymał się w miejscu.

Nora obserwowała uważnie całą potyczkę. Gdy zobaczyła, że walka dobiega końca, wyszła na ulicę i stanęła kilka metrów od rycerza.

– Nie żyje? – krzyknął Noel, wciąż ukryty za rogiem.

Gnomka obróciła się do partnera, żeby mu coś odkrzyknąć, ale wtedy do jej uszu dotarł głośny zgrzyt metalu.

Głowa konstrukt obróciła się kilka razy wokół własnej osi i odpadła z łomotem na ziemię. z otworu w jej korpusie wyskoczył

ubrany w ciemnoszary kombinezon goblin.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, ześlizgnął się zgrabnie po pancerzu i rzucił do ucieczki. Ominął zaskoczonego rycerza i zdezorientowaną gnomkę, ale Noel już na niego czekał. Kiedy goblin przebiegał obok, trol wyskoczył zza węgła i przewrócił uciekiniera na ziemię, przygniatając go swoim ciężarem.

– Ty pewnie jesteś Snag, asystent Ziggiego? – zapytał unieruchomionego goblina.

– Kim... Kim jesteście? – odparł pytaniem wystraszonego operatora pancerza.

– Pięknie. Najpierw próbujesz nas zabić, a potem pytasz kim jesteśmy? Chyba dawno nikt ci nie nakopał, kolego – skwitował nerwowo trol.

Nora podbiegła do nich.

– Spokojnie, Noel. Popatrz na niego, jest przerażony!

– Przerażony? Ten typek chciał nas właśnie zabić!

Zielony rycerz mocował się chwilę z mieczem, który utknął w zębatkach maszyny. w końcu jednak zakleszczony metal ustąpił i udało mu się odzyskać broń. Podszedł do dwójki strażników i patrząc trolowi w oczy ostentacyjnie otrzepał swoją tunikę z kurzu.

– Dobra robota, zielony – pochwalił go niechętnie trol.

– Czemu chciałeś nas zabić? – zapytała Nora goblina.

– Ja... Ja myślałem, że to wy chcecie zabić mnie! – odpowiedział jej, jakby zaskoczony pytaniem.

– Niby czemu mielibyśmy chcieć cię zabić? – Noel westchnął i podniósł się powoli z ziemi.

Oswobodzony z uścisku goblin odetchnął z ulgą i uniósł się na łokciach.

– Noel, może zaczekajmy z pytaniami i wejdźmy do środka – zaproponowała Nora, kiedy rozejrzała się po ulicy.

Partner podążył za jej wzrokiem. Dopiero teraz, kiedy emocje zaczęły opadać, zdali sobie sprawę, że z okolicznych domów wychodzi coraz więcej gapiów, a w pobliskich oknach roi się od ciekawskich oczu.

– Racja, lepiej zejdźmy z ulicy – zgodził się trol.

Pomógł wstać Snagowi i ruszyli razem w stronę domu Ziggiego. Kiedy wchodzili do środka, wokół porzuconego konstruktów zbierał się coraz większy tłum.

Pomimo wybitej w ścianie dziury, w środku wciąż było dosyć ciemno. Nora znalazła lampę na stoliku i kiedy upewniła się, że wciąż jest w niej olej, zapaliła płomień.

Salon Ziggiego przypominał bardziej pracownię majsterkowicza, niż dom. Na stojących dookoła stołach porzrucane były narzędzia i jakieś części. Na ścianach wisiały przybite gwoździami techniczne schematy, a wolne przestrzenie na podłodze zajmowały maszyny, których przeznaczenia Noel nawet się nie domyślał.

Jego partnerka natomiast oglądała je po kolei z wielkim zaciekawieniem. Przyświecała sobie trzymaną w dłoni lampą, żeby nie umknęły jej żadne szczegóły. Jediną rzeczą, którą można by uznać za normalne wyposażenie salonu, była stara kanapa i fotel, do których trol poprowadził spokojniejszego już nieco Snaga.

– No dobra, zacznij gadać kolego. Kto zabił Ziggiego. Kogo tak się boisz? – zapytał goblina, kiedy już usiedli.

– Nie wiem, kim oni są. Ziggi przez jakiś czas prowadził dla nich badania. Chciał się wycofać, skończyć z tym, a oni go zabili!

Pot łał się po czole Snaga, a jego drobne dłonie zaciskały się kurczowo na poręczach fotela.

– Spokojnie, mały. Jakie badania? o czym ty mówisz? – Noel próbował go uspokoić, lecz z marnym rezultatem.

– Mówi o tytanach... – wtrąciła nagle Nora. – Golemach, z których budowy słynęła Czeluść w czasach wielkiej wojny. w tamtych czasach miasto nazywano Kuźnią Tytana. Krasnoludy budowały tu maszyny, które miały im pomóc pokonać pozostałe rasy.

Gnomka trzymała lampę na wysokości oczu i wpatrywała się w jeden ze schematów wiszących na ścianie.

– Rozejrzyj się tylko, Noel. Te wszystkie plany, projekty... To tytany. Ziggert musiał je badać. Tylko po co, Snag?

– Niby skąd ja mam wiedzieć? To były jego badania! – odparł gwałtownie goblin.

– Byłeś jego asystentem. – Nora podeszła do fotela. – Poza tym, gdybyś nic nie wiedział, nie chowałbyś się tu przed zamachowcem.

– Chwila... Mówicie o tych wielkich metalowych puszkach, które stoją w krasnoludzkich kuźniach? Myślałem, że już dawno je przebadano od góry do dołu? – zapytał Noel.

– Dobrze. Powiem wam, co wiem... – Snag westchnął i spuścił oczy na podłogę. – Ziggi od zawsze miał obsesję na punkcie tytanów. Badał je przez całe życie. Szukał sposobu, żeby je uruchomić.

– Uruchomić tytany? To przecież niewykonalne! – przerwała mu Nora. – Gnomy badały je przez wiele lat... Tylko krasnoludy wiedziały, jak je uruchomić i kontrolować. Nigdy nie ukończono ich budowy, bo wojna skończyła się szybciej, niż wszyscy przypuszczali.

– Ziggi się nie poddawał. To była jego fascynacja. a pewnego dnia przyszedł tu ten wielki facet... Powiedział, że wie, nad czym

pracujemy. Powiedział Ziggiemu, że zna sposób na ożywienie tytanów.

– Ożywienie tytanów? – Nora otworzyła szeroko oczy.

– Tak powiedział. Długo rozmawiali. w końcu Ziggi zaprowadził go do piwnicy. Wtedy wszystko się zaczęło...

– Co się zaczęło, Snag? – dopytał Noel, widząc, że goblin zaczyna wpadać w zamyślenie.

– Ziggi trzyma w piwnicy jednego z nich. Służył mu do badań.

– Tytana? Trzymacie w piwnicy tytana? – Nora poczuła, że jej puls przyśpieszył.

– Tak, a ten wielki facet... On go ożywił. Nie wiem jak. Nie widziałem tego, ale kiedy usłyszałem hałas, zbiegłem na dół. Wtedy zobaczyłem to na własne oczy! On działał! Poruszał się! Tylko przez chwilę, ale jednak!

– To niemożliwe! – krzyknęła z niedowierzaniem Nora.

– Ale ja to widziałem! – Snag spuścił wzrok i westchnął cicho. – Od tamtej pory Ziggi przestał myśleć o czymkolwiek innym. Ciągle spotykał się z tym facetem, zdawał mu raporty z postępów przygotowań.

– Wiesz, kim był ten koleś? – zapytał Noel.

– Nie mam bladego pojęcia. Nigdy mu się nie przyjrzałem. Zawsze miał na sobie czarny płaszcz z kapturem, a twarz zasłaniał chustą.

– No tak, to by było za proste – mruknął trol. – Co było potem?

– Ostatnio Ziggi zrobił się bardzo pobudzony. Mówił, że wszystko jest już prawie gotowe. Dwa dni temu poszedł na spotkanie z tym facetem do krasnoludzkich kuźni. Wrócił wściekły. Krzyczał, że to koniec, że został oszukany. Mówił, że nie ma zamiaru dłużej w tym uczestniczyć...

Snag przełknął ślinę i zrobił pauzę.

– Mów dalej – ponaglił Noel.

– w nocy obudził mnie hałas. Spałem na piętrze. Wstałem i wyszedłem na korytarz, nasłuchując. Przystanąłem przy schodach i wyjrzałem zza balustrady. Było niemal zupełnie ciemno, wszystkie światła były zgaszone. Miałem już zawrócić, gdy zobaczyłem, jak Ziggi wybiega z piwnicy. Był przerażony i pędził na oślep. Zawadził o stół w salonie i przewrócił się, a wtedy za nim wyszedł ktoś jeszcze. To był ten sam facet, jestem tego pewien! Trzymał coś w ręku... wyglądało, jak jakaś świecąca broń. Ziggi zaczął uciekać, wybiegł z domu, a ten facet ruszył za nim. Nie byłem w stanie nic zrobić. Nie mogłem się nawet poruszyć! Stałem nieruchomo i wstrzymywałem oddech, a teraz... Od dwóch dni nie wychodzę z domu. Kiedy przyszłście, usłyszałem hałas przy drzwiach i pomyślałem, że to na pewno oni wrócili. Wskoczyłem w stary pancerz parowy Ziggiego. Trzymał go tu w salonie, jako pamiątkę. Co było potem, już wiecie...

Noel słuchał opowieści Snaga i od czasu do czasu zerkał kątem oka na Norę. Gnomka uważnie śledziła opisywaną przez goblina historię i co chwilę marszczyła z namysłem czoło. Zastanawiał się, czy ona także wychwyciła luki w historyjce, którą właśnie usłyszeli.

– Prawie zmieniłeś nas w mielonkę – skomentował trol, kiedy goblin skończył już mówić.

– Nie chciałem! Bałem się! Nie wiedziałem, co robić...

– Spokojnie, Snag. – Nora położyła dłoń na ramieniu goblina. – Tylko spokojnie. Odstawimy cię na posterunek, tam będziesz bezpieczny.

– Pewnie, ale najpierw zaprowadź nas do tej piwnicy – powiedział Noel i podniósł się z kanapy.

Goblin powoli wstał z fotela. Drzwi do piwnicy znajdowały się w korytarzu łączącym salon z kuchnią. Kiedy je otworzyli, ujrzeli prowadzące w dół drewniane schodki, które już po kilku stopniach ginęły w ciemnościach.

– Panie przodem. – Noel wskazał zachęcająco zejście.

– Chyba żartujesz – prychnęła gnomka.

– Przecież to ty trzymasz lampę – skwitował trol.

Wymianę uprzejmości przerwał im dźwięk zgrzytającej stali, kiedy zielony rycerz wysunął miecz z pochwy.

Podszedł do Nory i wyciągnął dłoń. Gnomka zawahała się, ale po chwili oddała mu lampę. Agent hrabiego przekręcił delikatnie zawór, by zwiększyć płomień, a następnie zaczął schodzić po stopniach. Pozostała trójka podążyła za nim.

Schody cały czas łagodnie skręcały w lewo i opadały spiralnie wzdłuż wykutej w skale ściany. Kiedy Nora wyjrzała zza balustrady, nie była w stanie dostrzec jaką drogę muszą jeszcze pokonać. Światło lampy nie sięgało tak daleko.

– Jak głęboko musimy zejść? – zapytał Noel idącego przed nim Snaga.

– Jeszcze kilka metrów – odpowiedział bez wahania goblin.

– Jakim sposobem przenieśliście tu tytana? – słowa Nory odbiły się echem od ścian.

– w częściach, oczywiście. Przenosiliśmy i składaliśmy go kawałek po kawałku. To zabrało nam prawie dwa lata.

– i nikt tego nie zauważył? – dopytywała Nora.

– Kto miałby zauważyć? – Snag zaśmiał się drwiąco. – Są ich dziesiątki! Stoją tam od setek lat i porastają tylko kurzem. Nikt ich nie pilnuje, ani się nimi nie interesuje. Poza tym, zamiast rozbierać całą

jednostkę, braliśmy części z kilku egzemplarzy. Dzięki temu żadnego nie brakuje.

– Bardzo sprytne – przyznała po namyśle gnomka.

Kiedy dotarli do końca schodów, wąskie przejście zaprowadziło ich do tonącej w mroku jaskini. Światło lampy ginęło już po kilku metrach i pozwalało dostrzec jedynie najbliższy fragment piwnicy.

Snag podszedł do stojącej w pobliżu konsoli i zaczął przesuwac znajdujące się na niej dźwignie. Za każdym razem, gdy to robił, przy ścianach zapalały się kolejne rzędy świateł. Już po chwili cała piwnica była skąpana ich blaskiem i zobaczyli ogrom pomieszczenia, w którym się znaleźli.

Centralne miejsce zajmował wykonany rękoma krasnoludów stalowy tytan, mierzący ponad pięć metrów wysokości. Otaczała go sieć drewnianych rusztowań, platform i schodów. Golem miał humanoidalny kształt, stał na dwóch potężnych nogach, a masywne ręce zwisały nieruchomo wzdłuż tułowia.

Noel podszedł do jednej z jego dłoni, która sięgała niemal do samej ziemi i od której sam był tylko nieco większy. Pancierz tytana pokrywały krasnoludzkie runy, mieniające się barwą miedzi w migoczącym świetle. Głowa maszyny była opuszczona, a oczodoły dziwnie puste. Można było odnieść wrażenie, że kolos spogląda na nich z góry, gotów w każdej chwili się przebudzić.

Nora miała styczność z tytanami, kiedy studiowała w Gnomiej Akademii Technicznej. Widok jednego z nich wciąż jednak robił na niej ogromne wrażenie.

– Chcecie mi powiedzieć, że to coś udało się uruchomić? – zapytał niedowierzaniem Noel.

– Sam byłem zaskoczony – odparł Snag. – Jednak to właśnie widziałem. Jego oczy rozpały się czerwonym blaskiem, jakby buzował w nich ogień. Głowa i ręce poruszyły się. Pięści zacisnęły... Stałem jak osłupiały. Nie sądziłem, że to możliwe. Wyglądał, jakby miał zaraz uwolnić się z tego rusztowania... To był niesamowity widok!

– i co się stało? – zapytała Nora.

– Nic. Nagle wszystko się skończyło. Opuścił ręce, żar w jego oczach zgasł i po chwili wyglądał jak wcześniej, jakby to się w ogóle nie wydarzyło.

– Wyjaśnijcie mi coś. – Noel odwrócił się do nich. – Krasnoludy budowały te maszynki w czasie wojny. Dlaczego więc teraz nikt nie umie uruchomić tej kupy złomu? Przecież te pokurcze powinny wiedzieć, jak to zrobić.

– Wiedziały – odparła Nora. – Krasnoludzczy inżynierowie byli przed wojną nieliczną i zamkniętą gildią. Budowę tytanów nadzorował tylko jeden z nich. Nazywał się Thofnir, ale w kronikach nazywano go także Kowalem Dusz. Gdy król Grokki Żelaznoręki wpuścił do miasta uchodźców i zamknął wrota przed nadciągającą armią elfów okazało się, że Thofnir zniknął. Podobnie jak jego księgi, zapiski, plany i notatki. Nigdy nie udało się wyjaśnić, co się z nim stało.

– i przez tyle wieków nikt nie wymyślił sposobu, jak je uruchomić? – zdziwił się Noel

– Gnomi wynalazcy oczywiście podejmowali próby – odparła prędko Nora. – Kilka takich projektów było nawet bardzo obiecujących, ale ostatecznie wszystkie zawiodły. Nawet gdyby udało się uruchomić tytany, nie wiemy wciąż, jak krasnoludy chciały je kontrolować.

– To jakim sposobem ktoś zdołał odpalić tego grata? – Noel wskazał kciukiem olbrzymią maszynę za swoimi plecami.

– Nie mam pojęcia – przyznała po chwili namysłu Nora.

Kiedy wyszli przed dom Ziggiego, w Czeluści nastawał już nowy dzień i dzielnica budziła się do życia. Wspomagany Pancierz Parowy Snaaga zdążył zniknąć bez śladu. Niektórzy z przechodniów zerkali ciekawsko na obcych i na dziurę w frontowej ścianie domu Ziggiego.

Noel ziewnął, a jego partnerka, nie mogąc się powstrzymać, poszła w jego ślady. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przez całą noc nie zmrużyli nawet oka. Poczuli nagle jak bardzo jest zmęczona. Spróbowała jednak nie zwracać na to uwagi i skupić się na śledztwie.

– Co teraz? – zapytała Noela.

– Ruszamy dalej za okruszkami. Ziggi spotykał się ze swoim współnikiem w krasnoludzkich kuźniach. To następne miejsce, które powinniśmy odwiedzić.

– Chodźmy więc – zgodziła się z partnerem.

– Nie tak szybko. Najpierw załatwimy coś jeszcze. – Noel odwrócił się do rycerza i stojącego obok goblina. – Zielony, zaprowadzisz Snaga do siedziby Straży. Zdasz raport kapitanowi i swojemu kumplowi, Hrabiemu.

– Noel, przecież on nie mówi. Jak ma złożyć raport?

– Jak dla mnie, może nawet zagrać z nimi w kalambury. Przecież to super agent, da sobie radę. – Trol machnął niedbale ręką.

Rycerz skinął głową i ruszył wzdłuż uliczki. Kiedy mijał Snaga, klepnął go po ramieniu, by ten poszedł za nim. Nora obserwowała jak odchodzą, aż do momentu, gdy zniknęli za zakrętem.

– Chciałeś się ich pozbyć, prawda? – zapytała partnera.

– Tak – potwierdził bez wahania Noel.

– Zdradzisz mi czemu?

– Po pierwsze, nie lubię tłumu. Po drugie, coś mi w tym wszystkim nie gra. Nic cię nie zdziwiło w historyjce, którą sprzedał nam ten goblin?

– Owszem, było coś takiego... – Nora zmarszczyła brwi i zbierała przez chwilę myśli. – w jego relacji wciąż powracał ten sam tajemniczy mężczyzna, ale powiedział też, że bał się „ich” i to „oni” zabili Ziggerta. To sugeruje, że coś przed nami ukrywał.

– Albo zwyczajnie nam ściemniał – dodał Noel i pokiwał głową z uznaniem. – Prawda najczęściej ukryta jest w szczegółach. Zwracaj na nie uwagę, a zawsze wyjdzie na jaw. Dobrze główkujesz, mała.

Nora uśmiechnęła się i wyprężyła dumnie, kiedy usłyszała pochwałę z ust partnera. Trol musiał przyznać, że jak na świeżego rekruta radziła sobie bardzo dobrze. Przez chwilę pomyślał nawet, że cieszy się, że ma ją pod ręką. Zaraz jednak skarcił sam siebie za takie myśli. Przywiązywanie się do partnerów było niebezpieczne. Już to przerabiał.

– Wszystko w porządku? – zapytała Nora, kiedy zobaczyła jego skrzywioną minę.

– Tak, wszystko dobrze... Powiedz mi... Ta maszyna, w której zaatakował nas Snag... Wiele już takich widziałaś? Dużo jest ich w mieście?

– Wspomaganych Panczerzy Parowych? Raczej nie... Jeden egzemplarz jest w miejskim muzeum. Jeszcze jednym dysponuje Gnomia Akademia Techniczna. o innych chyba nie słyszałam.

– Tak myślałem. – Noel przetarł zaspane oczy.

– Do czego zmierzasz? – zapytała zaciekawiona.

– Jeszcze do niczego, ale chyba coś mi już kiełkuje... – Poklepał się dłonią po policzku, by zwalczyć senność. – Mniejsza o to, lepiej ruszajmy, zanim będziemy musieli podpierać sobie powieki zapałkami.

Coś się zaczyna

Kuźnie krasnoludów od wieków stały opuszczone. Od centrum miasta i królewskiego pałacu oddzielało je szerokie skalne koryto, którym płynęła rzeka magmy. Dawniej krasnoludy wykorzystywały jej bliskość do zasilania swoich pracowni – ciepło i para podsycaly piece, napędzały maszynerie, poruszały miechy i rozgrzewały kotły. Po całej kuźni roznosił się śpiew stali, gdy brodaci rzemieślnicy uderzali młotami w rozgrzany do czerwoności metal i w pocie czoła narzucali mu upragnioną formę.

Tamte czasy jednak przeminęły. Teraz kuźnie stały puste i zapomniane. Zajmowały ogromną przestrzeń, wielkości niemal całej dzielnicy. Przecinały je wyłożone kamienną kostką chodniki, które łączyły porzucone warsztaty. Gdzie nie spojrzeć, górowały imponujących rozmiarów wygasłe piece i puste kadzie. Na torowiskach stało kilka przeżartych rdzą wagoników, którymi dawniej przewożono rudę i narzędzia. Pozostałe leżały wywrócone i powoli pokrywał je pył.

Po zamierzchłych czasach zachowała się jedynie pamięć o tym, że to właśnie w tym miejscu wytwarzano części do budowy tytanów. Minęły już jednak całe stulecia, odkąd stojące tu kowadła słyszały dźwięk uderzającego w nie młota. Ogromne miechy próchniały, a napędzająca je maszyneria rozpadała się ze starości. Wszystko, co tylko dało się ukraść i było w jakikolwiek sposób przydatne, dawno już zostało stąd rozszabrowane.

Najbardziej imponującą pamiątką po minionej świetności pozostały tytany, które ustawione w równych szeregach wciąż trwały na posterunku, niczym niemi strażnicy.

– Założę się, że gdyby strzepać z nich cały kurz, to wcale nie wydawałyby się takie wielkie.

– Noel, proszę cię, okaż trochę szacunku... Tytany to prawdziwy majstersztyk inżynierii. Arcydzieło krasnoludzkich rąk i prawdziwy cud myśli technicznej.

– Jasne. i tyle z nich pożytku, co z ozdobnych krasnali ogrodowych – burknął pod nosem trol.

Nora tylko westchnęła głośno w odpowiedzi.

Byli już mniej więcej w połowie drogi przez kuźnie gdy dotarli pod ogromny posąg, przedstawiający Magnusa Żelazną Pięść. Ta legendarna postać z krasnoludzkich legend była patronem kowali i wszystkich kuźni, jakie znajdowały się w mieście pod górą. Młot, który Magnus dzierżył w swych masywnych dłoniach, pękł dawno temu i od tego czasu jego odłamany fragment leżał na chodniku.

Szeregi stalowych tytanów, których budowy nigdy nie ukończono, stały naprzeciwko posągu kowala, niczym armia oczekująca na rozkazy swojego dowódcy.

– Co teraz? – zapytała Nora.

– Mnie pytasz? Przecież to ty skończyłaś tę całą Akademię. – Noel podrapał się za uchem. – Widzisz tu coś niezwykłego? Może stertę beczek z prochem? Albo jakiegoś zamaskowanego zabójcę ze świecącym mieczem? Ewentualnie biegające samopas tytany?

Nora naburmuszyła się i spojrzała ostro na Noela.

– Jeżeli wydaje ci się, że... – zaczęła upominać partnera, jednak urwała nagle i pociągnęła nosem kilka razy.

– Co jest? – Noel także zaczął węszyć.

W ciężkim, ciepłym powietrzu roznosił się doskonale mu znany zapach.

– To tylko siarka. Jesteśmy przecież w wulkanie. – Wzruszył ramionami.

– Nie tylko siarka. Coś jeszcze. Coś jakby... Smar! Wszędzie poznam ten zapach! – odparła gnomka i ruszyła za tropem swojego nosa.

Podeszła do stojącego najbliżej tytana. Jego runy lśniły w blasku, który rzucała płynąca za Magnusem rzeka lawy. Wsunęła dłoń w szczelinę pancerza i dotknęła skrytego pod nim mechanizmu. Kiedy ją wyjęła, zobaczyła na palcach czarną, lepłą maź.

– Smar... – Nora roztarła substancję w palcach – Już wiem, po co Ziggert tu przychodził... Konserwował je. Przygotowywał. Chyba naprawdę wierzył, że zdoła je jakoś uruchomić.

– Na to wygląda – przyznał Noel.

– Ale po co komukolwiek tytany? Przecież wojna dawno się skończyła.

– Wojna nigdy się nie skończyła! – dobiegł ich obcy, kobiecy głos, który odbił się echem od ścian i stalowych kolosów.

Był delikatny, a jednocześnie pełen wyrachowanego zimna.

Nora i jej partner zaczęli się rozglądać, ale w słabym świetle nie dostrzegali nikogo. Nic się nie poruszało między stojącymi w szeregach tytanami. Opuszczone kuźnie zdawały się zupełnie puste.

– No dalej, zielony agencie! Pokaż się! – krzyknął w końcu zniecierpliwiony Noel.

Nora na początku nie zrozumiała, ale już po chwili zobaczyła, jak zza masywnej nogi jednego z tytanów wychodzi ich niedawny towarzysz. Zielony rycerz podszedł niespiesznie i zatrzymał się na chodniku, tuż przed posągiem Magnusa, zaledwie kilka metrów od nich. Uniósł dłonie do swojego hełmu i zaczął zdejmować go powoli.

Długie włosy wypadły swobodnie spod stalowej osłony i rozsypały się na ramionach. Elfka ostentacyjnie odrzuciła hełm, który do tej pory skrywał jej tożsamość.

Miała bladą, niemalże szarą skórę, która współgrała z jej białymi jak śnieg włosami. Oczy, niebieskie i zimne jak sopte lodu, spoglądały na strażników spod lekko zmrużonych powiek.

– Jak się domyśliłeś? – zapytała Noela.

Głos elfki był melodyjny, ale czuć w nim było chłód i wyrachowanie.

– Zbyt szybko rozprawiłaś się ze Snagiem i jego maszynką. Dobrze wiedziałaś, jak walczyć z tym gobliniskim ustrojstwem i jak je unieruchomić, a mogłaś się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób. Walczyłaś już z takimi podczas wojny.

– Co za błyskotliwy umysł kryje ta trolowa głowa. Zdziwiasz mnie, strażniku – skomentowała z uśmiechem zabójczyni.

– Dzięki. Domyślałem się nawet, że możesz tu po nas przyjść. Te opuszczone kuźnie to idealne miejsce na pozbycie się niewygodnych osób. i oto jesteś. – Noel pstryknął wymownie palcami.

– Oto jestem. Spodziewałaś się mnie i nie wzięłaś nawet broni. Może jednak nie jesteś taki błyskotliwy? – zadrwiła elfka, po czym wydobyła z pochwy ostrze z księżycowej stali.

Metal świecił delikatnym, wewnętrznym blaskiem.

– Jeszcze mogę cię zaskoczyć, ślicznotko – odparł bez strachu Noel.

– Chwila! – przerwała im Nora. – Wyjaśnij nam, co tu się dzieje. Po co ci tytany? Wojna skończyła się wieki temu! Przecież wygraliście!

Elfka uniosła wzrok na niszczący posąg krasnoludzkiego patrona i przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Wygraliśmy – odpowiedziała w końcu. – Wojna jednak nigdy się nie skończyła. Nie tak naprawdę. Nie macie pojęcia, co się działo przez te wieki na powierzchni. Tkwicie schowani pod tą górą, nie mając pojęcia, co dzieje się na świecie. Krótco po tym, jak pokonane rasy uciekły pod ziemię, elfie klany zwróciły się przeciwko sobie. Wysokie Rody, obrońcy Lasu, Nocni Łowcy... Wszyscy chcieli władzy, terytoriów, łupów.

– Dlatego chcesz uruchomić tytany? Żeby użyć ich przeciwko elfom? – zapytała Nora.

– Mój klan, Nocni Łowcy, już niemal wyginął. Potrzebujemy czegoś, co pozwoli nam przetrwać. Broni, która przechyli szalę zwycięstwa. a po co tworzyć nową broń, kiedy pod ręką jest już gotowa? – odpowiedziała elfka.

– Chyba nie mówisz o tym szmelcu? – zapytał drwiąco Noel. – One mogą zrobić krzywdę tylko wtedy, jeśli się na kogoś przewrócą. – Zapukał pięścią w pancerz na nodze tytana i odpowiedział mu głuchy odgłos.

– Widziałam do czego są zdolne. Wam jednak ta wiedza do niczego się nie przyda. Dla was wędrówka kończy się w tym miejscu. – Elfka uniosła miecz w gotowości do ataku.

– Noel, powiedz mi, że masz jakiś plan – zwróciła się do partnera Nora. – Nie spuszczała wzroku z wymierzonego w nią ostrza.

– Jasne. Aresztujemy ją i zaprowadzimy na posterunek – odparł spokojnie trol i wysunął się do przodu.

– Jak chcesz tego dokonać, strażniku? – zapytała szyderczo zabójczyni. – Wołanie o pomoc na nic się nie zda. Nie macie broni,

żadnego wsparcia. Może chcesz mnie przekonać słowami do oddania się w wasze ręce?

– Nie potrzebuję broni. Jestem trole, lalczko – odparł jej strażnik.

Wsparł się rękoma o ziemię i w jednej chwili na jego bladozielonej skórze zaczęły wyrastać kostne zgrubienia, przypominające segmenty na skorupie żółwia.

Nora obserwowała jak ciało jej partnera się zmienia. Jego tors, ręce i nogi wydawały się w szybkim tempie obrastać zrogowaciałą zbroją. Kiedy ta dziwna transformacja dobiegła końca, trol wydawał się znacznie większy i swoją masywną sylwetką prawie nie przypominał jej towarzysza.

Ruszył z miejsca i zaczął krążyć wokół elfki. Jego ciało było teraz tak ciężkie, że przy chodzeniu musiał podpierać się rękoma.

Zabójczyni nie wyglądała na zaskoczoną. Nie czekając na ruch ze strony strażnika, zaatakowała. Świetliste ostrze przecięło powietrze, zostawiając za sobą jasną poświatę.

Noel zasłonił się ramieniem. Posypały się iskry, gdy klinga uderzyła z impetem w rogową skorupę, która chroniła jego ciało jak kamienny pancerz.

Elfka natychmiast przykucnęła i z półobrotu spróbowała wyprowadzić kolejne cięcie. Mierzyła ostrzem w pachę, bo ta nie była osłonięta skorupą.

Trol w porę odchylił się i miecz przeciął tylko powietrze. Jednocześnie wziął zamach drugą ręką i jego kamienna pięść zaledwie o cal minęła twarz elfki, która padła na ziemię i w ten sposób uniknęła ciosu.

Przeturlała się za plecy Noela i nie dając przeciwnikowi czasu na reakcję, cięła na odlew, prosto w zgięcie kolana. Ostrze przecięło płytko bladozieloną skórę i w powietrzu rozszedł się swąd spalenizny.

Trol odwrócił się, uderzył z impetem od góry. Elfki już tam jednak nie było. Zdażyła odskoczyć do tyłu. Pod ciosem pięści Noela płytki chodnika pękły na kawałki.

Zabójczyni zmrużyła drapieżnie oczy. Stała na ugiętych nogach, cały czas gotowa do ataku. Ostrze w jej dłoni powoli kreśliło znaki w powietrzu. Starła się sprowokować przeciwnika, zachęcić go do bezmyślnej szarży. Zabijała już trole podczas wojny. Wiedziała, co robi.

Noel starał się dostrzec jakiś słaby punkt u swojej przeciwniczki. Jakiegokolwiek oznaki zmęczenia lub strachu w jej ruchach. Nie dostrzegał jednak nic takiego. Rozcięcie na nodze nie było wprawdzie głębokie, ale odczuwał je boleśnie przy każdym ruchu.

Elfka była bardzo zwinna, ale trol wiedział, że potrzebny jest mu tylko jeden celny cios. Solidne uderzenie pogruchotałoby jej miękkie ciało. Miał jednak przeczucie, że oponentka tylko czeka na jego nierozważny ruch. Szuka okazji, by wykorzystać jego błąd. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Nora cofała się tak długo, aż uderzyła w coś plecami. Nie odwracała wzroku od walczących. Wymacała ręką przeszkodę i rozpoznała runy pokrywające pancerz tytana. Czuła się bezradnie.

Obserwowała, jak Noel i elfka ścierają się w kolejnych starciach. Zabójczyni za każdym razem unikała zwinnie ciosów trola i kontratakowała. Snopy iskier wlatywały w powietrze, gdy świetliste ostrze raz za razem uderzało w rogowy pancerz.

Nora próbowała opanować paraliżujący ją strach, ale nie była w stanie. Dopiero po chwili dotarło do niej, że nic nie robiąc poniesie klęskę jako strażniczka. Cały trud, jaki włożyła w zdobycie odznaki pójdzie na marne. Poza tym, nie może po prostu stać i patrzeć, jak jej partner ryzykuje życiem! Strach zaczął wywoływać w gnomce gniew.

Weź się w garść! Jesteś strażniczką! – skorciła samą siebie i zacisnęła mocno pięści.

Noel odbił rozpadzone ostrze lewym przedramieniem i zamachnął się prawą ręką. Celował w głowę elfki. Była na to przygotowana, zdążyła się uchylić.

Pokryta rogowym pancerzem pięść zamiast trafić w nią, uderzyła w nogę tytana. Od ścian odbił się głuchy odgłos, jakby ktoś kamieniem uderzył o metal.

Zabójczyni natychmiast wyprowadziła kontrę. Odbiła się stopami i wyskoczyła w powietrze. Ukośne cięcie mknęło prosto w odsłoniętą szyję strażnika, a po chwili w powietrzu uniół się swąd spalenizny.

Tymczasem w siedzibie Straży Miejskiej, Brutal przechadzał się nerwowo po swoim gabinecie. Minęło niespełna sto pięćdziesiąt lat, odkąd rada uchwaliła powołanie do życia Straży. Wcześniej porządku w mieście pilnowała krasnoludzka gwardia pałacowa. Uznano jednak, że instytucja grupująca w swych szeregach przedstawicieli różnych ras i kultur będzie skuteczniejsza w starciu z międzyrasową przestępczością.

Baelor był czwartym kapitanem Straży od początku jej istnienia. Jeśli informacje, które właśnie mu przekazano się potwierdzą, być może będzie również ostatnim.

Pukanie do drzwi gabinetu wyrwało go z zamyślenia.

– Wejść! – warknął.

– Jesst już hrabia, kapitanie – powiedział Lasti przez uchylone drzwi.

– Wprowadź go – odparł krótko Brutal.

Hrabia ubrany był jak zwykle w czarny, elegancki strój. Gdy szedł, ciągnęła się za nim po ziemi krwistoczerwona peleryna.

Minął strażnika i nie wypowiadając nawet słowa, skierował się od razu w stronę masywnego fotela, na którym rozsiadł się wygodnie.

– a więc... – powiedział. – Raport, który otrzymałem od swoich podwładnych jest bardzo niepokojący.

Głos hrabiego był spokojny i beznamiętny, podobnie jak wyraz jego twarzy. Wilkołak przełknął ślinę.

– Mój agent, którego przydzieliłem do pomocy pańskim strażnikom, zielony rycerz, nie żyje. Jak mniemam, towarzyszących mu funkcjonariuszy... – Hrabia zawiesił głos w zamyśleniu. – Tego trola i gnomkę, zatrzymano już i przesłuchano?

– Moi strażnicy nie złożyli jeszcze raportu w tej sprawie. Nie zgłosili się od wczoraj...

Brutal nie skończył, bo hrabia uciszył go gestem dłoni.

– Rozumiem...

Palce wampira zastukały rytmicznie o blat biurka. Miał długie i szponiaste pazury, o kolorze tak bladym, jak jego skóra. Wpatrywał się w kapitana Baelora zimnym spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

– Czy to nie dziwne, że nie zameldowali się, jeśli doszło do jakiegoś wypadku? Czy nie prosiłem, aby informowano mnie na bieżąco?

– Tak, panie przewodniczący. Jestem jednak pewien, że...

– To nie wszystko.

Hrabia odchylił się i oparł wygodnie plecami w fotelu. Chłodne spojrzenie wampira stroszyło sierść na karku Brutala.

– Ten skradziony proch, został odnaleziony. Czterdzieści trzy beczułki odkryto w pałacowych piwnicach. Dokładnie pod salą obradową rady.

Baelor otworzył pysk i spróbował coś powiedzieć, ale zaniemówił. Strużka śliny kapnęła z jego języka i z cichym pluskiem rozbiła się na kamiennej posadzce.

– To... To niemożliwe! – wybełkotał z trudem po chwili.

– a jednak... Odkąd sto lat temu rozwiązałem gwardię pałacową, to Straż Miejska pełni funkcję ochrony pałacu i obradującej w nim rady. Czy to nie dziwne, że skradziony proch trafił do naszych piwnic? Tuż pod waszymi nosami? Przez nikogo nie wykryty?

– Panie hrabio... Ja zupełnie...

– Dosyć! – Wampir uderzył pięścią w biurko, którego blat pękł aż do połowy szerokości.

Oczy hrabiego zapłonęły złowrogą, niebieską poświatą.

– Dość tych gier! – przemówił gniewnie. – Próbowano wysadzić pałac, radę i mnie. Mój agent, którego dałem wam do pomocy, został zgładzony, a wy nie macie dla mnie żadnych informacji. Żadnych odpowiedzi!

– Ależ hrabio, na pewno uda nam się to wszystko wyjaśnić...

– Nie potrzebuję więcej wyjaśnień, kapitanie. Albo zdradziliście mnie i miasto, które przysięgaliście chronić, albo problem zwyczajnie was przerósł. Straż miejska zostaje rozwiązana z efektem natychmiastowym, a wszyscy strażnicy zostaną zatrzymani i przesłuchani.

– Ale hrabio...

– Milczeć! Póki nie podejmę decyzji o dalszym losie tej instytucji, wszelkie jej obowiązki przejmą moi agenci i podległe im służby.

Do gabinetu weszli dwaj odziani w czarne zbroje płytowe słudzy hrabiego. z wąskich wizjerów w ich hełmach sączyły się delikatne, niebieskie opary. Prowadzili za sobą skrępowanego Lastiego. Jaszczuroczłek spojrział w oczy kapitana i spuścił smętnie głowę.

Brutal poczuł wzbierającą w nim wściekłość. Spod jego wilczych warg wysunęły się kły. Zacisnął dłonie tak mocno, że pazury przebiły mu skórę i przez porośnięte futrem palce zaczęła sączyć się krew.

Sierżant Magni i jego ekipa dochodzeniowa przeszukali dom goblina Ziggerta. Spenetrowali każdy zakamarek, przesunęli każdy mebel, zajrzeli w każdą dziurę.

Nie cackali się, dom wyglądał po wszystkim jak zdemolowana rudera. Znaleźli kolejnego nieboszczyka, którego ktoś ukrył w szafie. Tym razem ku ich zdziwieniu nie był to jednak goblin, lecz człowiek. Zgodnie z wytycznymi odtransportowali ciało do miejskiej kostnicy, po czym od razu wyruszyli na patrol. Stosy papierów, jakie należało wypełnić, sierżant tradycyjnie zostawił sobie na później.

Bogowie! Ledwo ogarnęliśmy jednego, a tu kolejny trup... Co za utrapienie. – pomyślał Magni i natychmiast upił kolejny łyk piwa, którym delectował się właśnie w jednym z krasnoludzkich browarów.

Lubił po ciężkiej robocie napić się złocistego trunku. Teoretycznie nadal był na służbie, dlatego jego chłopcy skrupulatnie patrolowali okolicę tuż przed wejściem do przybytku. Magni dobrze ich wyszkolił, więc czekali cierpliwie, aż ich dowódca opróżni swój kufel.

– Sierzancie! – krzyknął potężnie zbudowany ork w czerwonym półpancerzu, który wbiegł do środka prosto z ulicy.

– Hej! Wynocha! Zielonoskórych nie obsługujemy! – wrzasnął gniewnie krasnoludzki barman. Wielka faja w jego ustach przesunęła się z jednego kącika ust do drugiego.

– Spokojnie Ulf, to jeden z moich – uspokoił krzykacza Magni. – Co tam, Oru? Czemu opuściłeś... hic!... posterunek? – Sierżant pociągnął kolejny łyk piwa.

– Ktoś cię szuka, szefie – odparł spokojnie ork.

– Kto? – zapytał zaciekawiony Magni.

– Ten kapuś, Tizzi. – Oru podrapał się za zielonym uchem.

– Ten skrzat? Ten moczy... hic!... morda?! Eh... – Westchnął Magni. – Dobra, dawaj go tu.

Oru wyszedł na ulicę i wrócił po chwili w towarzystwie Tizziego. Skrzat był o połowę mniejszy od bytujących w lokalu krasnoludów, ale miał równie bujną jak oni brodę.

– Magni, mój stary przyjacielu! – wykrzyknął Tizzi i przysiadł się natychmiast do stolika sierżanta. Na jego zarośniętej twarzy malował się szeroki uśmiech.

– Uważaj, Tizzi. Mam pusty kufel i nie zawaham się rozbić go na twoim pustym łbie. Gadaj czego chcesz, ty zapi... hic!... jaczony skrzacie!

– Tak witasz przyjaciół? Co za maniera! i pomyśleć, że chciałem uratować ci skórę!

Tizzi pociągnął głośno swoim czerwonym z przepicia nosem i odwrócił się teatralnie od krasnoluda. Magni zmarszczył brwi. Sięgnął do sakiewki i rzucił przez stół kilka złotych monet. Skrzat

zgarnął je chytrze jednym, szybkim ruchem ręki. Pod jego czerwonym nochalem ponownie zawitał uśmiech.

– Gadaj! – ponaglił sierżant.

– Spokojnie, po co te nerwy! – powiedział skrzat i dyskretnie schował monety do sakiewki. – Zostawiłeś dziś kolejnego nieboszczyka w kostnicy, prawda?

– No i co z tego? Tyle to i ja wiem! Przecież byłem tam... hic!... do cholery!

– Ale nie wiesz, że zaraz po waszym wyjściu z kostnicy, na miejscu zjawili się słudzy nieumarłego.

Magni zastanowił się przez chwilę.

– To może nie mieć związku – odparł po chwili i machnął dłonią od niechcenia.

– Może tak, może nie... – Skrzat oblizwał wargę. – Ale wkrótce po tym Rada rozwiązała Straż Miejską.

– Że co? – Magni omal nie upuścił swojego kufła.

– Agenci hrabiego mają wyłapać i zamknąć wszystkich strażników – kontynuował Tizzi.

– Na brody przodków! – krzyknął krasnolud, po czym jego wzrok odpłynął gdzieś w zamyśleniu. – Nie jest dobrze!

– Zgadzam się w pełni. – Przytaknął skrzat.

– No rzesz w dupę goblina! – Sierżant ze złości uderzył glinianym kuflem o stół, rozbijając go na kawałki.

– Lepiej bym tego nie ujął – Tizzi odszukał wzrokiem barmana i wykonał dłonią powszechnie znany gest, oznaczający prośbę o kieliszek wódki i kiszony ogórek na zagryzkę. – Będzie z tego burza przyjacielu. i lepiej, żebyś był daleko, kiedy uderzą gromy.

– Sierżancie! – Zdyszany Oru wbiegł do lokalu. – Idą tu jakieś podejrzone typki w czarnych zbrojach. Pytają o strażników.

Krasnolud i skrzat wymienili między sobą wymowne spojrzenia.

Chaos na ulicach

Z trudem odpięła ostatnią klamrę, która mocowała srebrzysty napierśnik. Odetchnęła z ulgą, kiedy odrzuciła na bok ciężki kawał stali, tak bardzo ciężący jej przez kilka ostatnich dni. Jednocześnie przypomniał o sobie nieznośny ból w żebrach, które obił jej trol podczas walki.

Elfka syknęła przez zęby, ale opanowała odruch przyłożenia dłoni do zranionego boku.

Jak oni mogą w tym walczyć? – pomyślała, spoglądając na rzucone przed chwilą elementy zbroi. – *Ciężkie i niepraktyczne żelastwo, w niczym nie dorównuje lekkim elfim pancerzom.*

Położyła się ostrożnie. Przed oczami miała tylko skalne sklepienie wnętrza góry, zawieszzone wysoko nad miastem. Zewsząd docierał do niej gwar przechodniów. Na razie nie myślała o zagrożeniu. Budynek miał szeroki, dobrze osłonięty dach, z którego nie było widać ulicy. Przez chwilę mogła czuć się bezpiecznie.

Nie doceniła tych dwojga strażników. Wiedziała o tym i była zła na samą siebie. Sądziła, że bez trudu poradzi sobie z byle trollem i gnomką.

Oni nawet nie nosili przy sobie broni – wypomniła sobie z żalem.

Myślała, że zabije ich bez trudu. Taki był plan. Była zresztą blisko. Kiedy pięść trola o włos minęła jej głowę i uderzyła w tytana, wyskoczyła i cięła od dołu. Porwała księżycowe ostrze do, jak sądziła, ostatniego tańca. Widziała odsłoniętą szyję strażnika. Niemal czuła już, jak jej miecz przecina skórę i zielona krew tryska z otwartej tętnicy.

Już go miałam... Byłam tak blisko – pomyślała ze złością.

Jakimś cudem złapał jej rozpedzony miecz gołymi dłońmi. Księżycowa stal paliła mu skórę, w powietrzu unosił się zapach spalenizny. Próbowala wyszarpnąć ostrze.

Krew trola skwierczała w kontakcie z bronią, ale mimo to nie wypuścił miecza i patrzył jej prosto w oczy. Wiercił ją spojrzeniem, tak pełnym gniewu, jakby sam jego wzrok mógł zabijać.

Może nie wytrzymałby długo. Może za chwilę opadłby z sił, cofnął z bólu ręce. Gdyby nie ta mała, paskudna gnomka... Poraziła ją jakimś urządzeniem, obezwładniła.

Elfka nigdy nie widziała czegoś takiego. Jej mięśnie momentalnie skurczyły się, ciało wygięło do tyłu. Nie kontrolowała swoich ruchów, nie panowała nad nimi.

Mimowolnie upuściła miecz, a wtedy trol wykorzystał swoją szansę. Uderzył mocno. Impet odrzucił zabójczynię na kilka metrów. Dostała prosto w żebra, ale na szczęście żadne z nich nie pękło.

Może jednak niepotrzebnie tak marudzę na tę zbroję? – pomyślała i spojrzała jeszcze raz na rozrzucone po dachu fragmenty pancerza. – Gdyby nie to żelastwo, nieźle by mnie połamało. Nawet oni myśleli, że już po mnie. Pewnie dlatego mnie nie wykończyli. Dzięki temu uciekłam.

Obróciła głowę. z płaskiego dachu, na którym leżała, widać było górujący w oddali pałac królewski. Wiedziała, że nie może już tam wrócić. Nie udało jej się usunąć tej dwójki strażników, a to pomieszało nieco plany.

Gdy rankiem podrzucała ciało do domu goblina Ziggerta była pewna, że nie będzie już musiała udawać zielonego rycerza, ale teraz... Nie mogła dłużej paradować po ulicach w jego zbroi. Do tej pory wyszło już pewnie na jaw, że został zamordowany. z drugiej strony

i tak miała serdecznie dość podszywania się pod człowieka. w dodatku pod mężczyznę. Miała szczęście, że rycerz złożył śluby milczenia, to znacznie ułatwiło jej zadanie. Chociaż wiele razy korciło ją, żeby odpowiedzieć coś temu irytującemu trolowi.

Tylko, co ma teraz zrobić? Nie może przecież przechadzać się po ulicach jako elfka. Spróbowała usiąść, ale sparaliżował ją nagły, ostry ból w okolicy żeber. Opadła z powrotem na kamienny dach.

To i tak bez znaczenia – pomyślała. – Plan jak dotąd się sprawdza. w mieście już niedługo zapanuje chaos, a wtedy łatwiej będzie pozostać niezauważonym.

Obróciła się na bok i wsparła na rękach. Jakoś udało jej się wstać.

Muszę wrócić. Muszę powiedzieć, co się stało. On będzie wiedział, co robić – postanowiła.

Oderwała zielony pas materiału z tuniki i owinęła go sobie wokół głowy, zostawiając tylko wąską szparę na oczy. w takim stroju mogła spróbować udawać człowieka. o ile nikt nie będzie zbyt ciekawski, powinno się udać.

Zsunęła się ostrożnie z dachu. Jako Nocna Łowczyni była wyszkolona do poruszania się w koronach drzew. Zeskoczenie z piętrowego budynku nie stanowiło dla niej wyzwania. Żebra znowu ją kłuły, ale zagryzła z bólu zęby i stłumiła jęknięcie. Szybko wmieszała się w tłum przechodniów. Kiedy przekonała się już, że nikt nie zwraca na nią specjalnej uwagi, przyśpieszyła kroku.

Mieszkańcy miasta wydawali się zbyt przejęci ostatnimi wydarzeniami, żeby przyglądać się każdemu obcemu. Ruszyła więc powoli, przeciskając się przez tłum. Prosto do kryjówki.

Kiedy tam dotarła, w Czeluści panowała już noc. Miejsce było zdewastowane, meble pootwierane, a ich zawartość rozrzucona po

podłódze. Narzędzia i pozrywane ze ścian schematy walały się dosłownie wszędzie.

Spodziewała się tego. To była w końcu część planu.

Usiadła na kanapie i odruchowo sięgnęła do pochwy, żeby odłożyć miecz. Zaklęła cicho, kiedy przypomniała sobie, że zgubiła go podczas walki ze strażnikami.

Powinnam była być bardziej ostrożna – skarciła się po raz kolejny w myślach. – Nieprędko zdobędę nowe ostrze z księżycowej stali.

Położyła się ostrożnie na kanapie, bardzo uważając na stłuczone żebra. Potrzebowała odpoczynku. Musiała choć przez chwilę dać odpocząć ciału i mieć czas na zebranie myśli.

Czuła się tak bardzo zmęczona... Podszywanie się pod rycerza, walka ze strażnikami i te przeklęte żebra... Nie pamiętała już nawet, kiedy ostatni raz porządnie się wyspała.

Nawet nie zauważyła, kiedy jej oczy się zamknęły.

Dookoła niej wyrosły ściany z białego marmuru, pokryte przepięknymi płaskorzeźbami. Na środku wielkiej komnaty stały posągi, które przedstawiały znanych bohaterów z elfich legend. Ustawiono je w kręgu wokół płytkiej sadzawki, wypełnionej krystalicznie czystą wodą. Na powierzchni unosiły się śnieżnobiałe kwiaty lilii.

Ukryła się za jedną z sześciu kolumn, które wspierały półkoliste sklepienie. Nikt nie budował pałaców równie pięknych, jak elfy.

Kolumny wyrzeźbiono tak, że wyglądały na porośnięte pnączami bluszczu. Przesunęła delikatnie palcami po jednym z marmurowych liści. Był przyjemnie chłodny. Spojrzała na drugą stronę okrągłego pomieszczenia i zobaczyła tam swoją młodszą siostrę.

Usłyszała nagle jakiś hałas. Przywarła do kolumny, z bronią gotową do walki. Siostra poszła w jej ślady. Po chwili do sali wszedł król Nefariel, razem z towarzyszącymi mu gwardzistami.

Nefariel... to on odpowiadał za śmierć jej ludu.

Zaczekała, aż orszak ją minie i zbliży się do sadzawki. Dopiero wtedy zaatakowała. Wyskoczyła zza kolumny i rzuciła się z furią na przeciwników.

Pierwszego gwardzistę dopadła z zaskoczenia. Wbiła mu sztylet pod lewy bok, w miejsce, gdzie napierśnik łączył się z naplecznikiem. Ostrze zatopiło się aż po rękojeść w nieosłoniętym zbroją ciele. Zraniony elf zawył krótko i upadł na ziemię, brocząc krwią po błyszczącej posadzce.

Drugi przeciwnik nie był już tak łatwą ofiarą. Osłonił się migdałową tarczą i wyprowadzał zza niej ciosy włócznią. Napierał z gniewem, bez cienia litości.

Elfka zmuszona była cofać się w stronę ściany. Wiedziała, że w ten sposób nie wygra, więc zaryzykowała. Zanurkowała i płynnym kopnięciem podcięła nogi gwardzisty, obalając go na ziemię. Elf spróbował jeszcze zasłonić się tarczą, ale jej miecz znalazł drogę do miękkiego ciała. Dopiero, kiedy ofiara zastygła w śmiertelnym bezruchu, Makita poszukała wzrokiem swojej siostry.

Dostrzegła ją w sadzawce. Krystaliczna wcześniej woda zrobiła się czerwona od krwi. Król Nefariel stał nad ciałem elfki przepętniony dumą. Wycierał zbrukany posoką miecz o materiał płaszcza.

Makitę ogarnął gniew. Poderwała się błyskawicznie i zaatakowała.

Nefariel czekał na nią. Ich ostrza zaświszczały w powietrzu i uderzyły o siebie.

Wyprowadzała z furią kolejne cięcia, ale król elfów był szybki i zwinny. Spróbowała go zmylić. Zamarkowała cios mieczem i jednocześnie wyprowadziła pchniecie sztyletem z drugiej dłoni. Nefariel zdołał uchylić się w porę i ostrze zostawiło zaledwie zadrapanie na jego policzku.

Użyła ponownie tej sztuczki, ale tym razem elf z łatwością odbił jej cios głownią miecza. Mocnym kopnięciem odepchnął od siebie elfkę, wprost na jedną z kolumn.

Uderzyła głową o marmur i przez chwilę jej oczy zakryła ciemność. Gdy odzyskała wzrok ujrzała śmiejącego się Nefariela, idącego ku niej ze wzniesionym ostrzem.

Zrozumiała, że nie wygra tej walki.

Jeszcze raz spojrzała na ciało siostry, leżące pośród białych kwiatów lilii, w sadzawce pełnej krwi. Odepchnęła się od ściany i pobiegła z krzykiem w stronę wyjścia. Po jej policzku spływały łzy. Przekroczyła marmurowy portal i oślepiło ją jaskrawe światło.

Obudziła się złana potem. z jej gardła niemal wyrwał się krzyk, ale zdołała go zdusić. Krótką chwilę trwało nim przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Otarła dłonią krople potu z czoła, szczęśliwa, że koszmar się już skończył.

– Zaskakujesz mnie – odezwał się nagle głos, który dobiegał gdzieś z zacienionego kąta pomieszczenia. – Nie sprawdziłaś nawet, czy budynek jest pusty. Zwyczajnie sobie zasnąłaś. Myślałem, że będziesz ostrożniejsza.

Makita nie widziała nikogo w gęstym mroku, ale natychmiast poznała ten głos. Przez ostatnie tygodnie zdążył dobrze zapaść jej w pamięć.

– Kogo, poza tobą, mogłabym się tu spodziewać? – odparła rozdrażniona, że tak łatwo dała się podejść.

Gdyby faktycznie znalazł ją tu wróg, byłaby w tarapatkach.

– Widzę, nie wszystko poszło tak, jak planowałem. Mówiłaś, że sobie z nimi poradzisz...

Elfka wyczuła niezadowolenie w tonie rozmówcy.

– Nie doceniłam tej dwójki – przyznała niechętnie – To się więcej nie powtórzy.

– Oby. Inaczej nie będę w stanie ci pomóc. Los Nocnych Łowców jest w twoich rękach, Makito.

– Wiem – odparła i zacisnęła zęby, żeby stłumić gniew.

Czuła żal do samej siebie. Wiedziała, że zawiodła, a to bolało ją bardziej niż cios, który otrzymała w żebra.

– Czy to bardzo koliduje z naszym planem? – zapytała, gdy chwilowy przypływ gniewu minął.

– Na całe szczęście nie. Wiedzą dużo, ale wciąż o wiele za mało, by mogli nam przeszkodzić. Nadal realizujemy pierwotny plan. Kolejne tryby zostały wprowadzone w ruch. Straż miejska już nie istnieje. Tych dwoje powinno wkrótce trafić do aresztu, razem z resztą strażników.

– a co jeśli powiedzą, jak było naprawdę?

– Są podejrzani o zamach stanu, kto by im uwierzył? – Stojąca w cieniu postać zaśmiała się cicho. – Chociaż... Może nie powinienem ich lekceważyć... w końcu ty też popełniłaś ten błąd.

Makita zacisnęła pięści.

– Więc, co teraz? – zapytała.

– Realizujemy dalej mój plan. Dokończ, co zaczęłaś. i nie popełnij więcej błęd.

– Taki mam zamiar – odcięła ostro.

Głos już się nie odezwał. Zabójczyni wpatrywała się w ciemny kąt, z którego wcześniej dobiegał, ale niczego tam nie dostrzegła. Nawet powietrze zdawało się tkwić zawieszony w bezruchu. w całym domu nie zabrzmiał żaden dźwięk.

Makita, jak każda zabójczyni z klanu Nocnych Łowców, umiała poruszać się w cieniu, ale mimo to ją zaskakiwał. Nigdy nie widziała, żeby ktoś tak zniknął. Zresztą nie było też po co go szukać. Miała zadanie do wykonania. Sam ją odnajdzie, gdy przyjdzie na to czas.

Przekręciła się na bok, by złagodzić ból i wstała ostrożnie. Weszła po schodach na piętro, do pokoju, z którego już wcześniej dostawała się na dach. Gont był śliski, pokryty pyłem. Wiedziała, że musi stąpać po nim uważnie. Bez ciężkiej zbroi zielonego rycerza powinno być łatwiej.

Priorytetem było zorganizowanie jakiejś broni. Nie znajdzie nic tak dobrego jak księżycowa stal, ale musi mieć jakiś oręż do walki.

Stała na wąskim parapecie i podciągnęła się na dach. Miała stąd całkiem niezły widok na sąsiednie budynki. Rozejrzała się i po chwili dostrzegła to, czego szukała.

Goblin – prawdopodobnie jeden z łotrów pracujących dla lokalnego kartelu. Krył się na dachu dwa budynki dalej i bacznie obserwował ulicę.

Przeskoczenie wąskich szczelin pomiędzy zabudowaniami nie było dla Makity problemem. Poruszała się zwinnie, nawet pomimo bólu. Była skupiona na celu. Polowała. Musiała podejść niewykryta i zaatakować z zaskoczenia. Uważała na każdy krok, by nie ostrzec ofiary żadnym przypadkowym dźwiękiem.

Zakradła się bezgłośnie i zatrzymała zaraz za goblinem. Dostrzegła, że miał dwa ząbkowane noże wsunięte za pas. Jego czarny strój doskonale maskował go w cieniu, ale nie był w stanie ukryć go przed bystrym wzrokiem elfki. Najwyraźniej nie spodziewał się, że ktoś zaatakuje go od tyłu.

Był od niej niższy, więc musiała przykucnąć. Inaczej chwyt nie będzie pewny.

Schyliła się, ale wtedy żebra ukłuły ją niespodziewanie. Nie wytrzymała i syknęła z bólu. Zaalarmowany goblin odwrócił się gwałtownie. Jego dłonie od razu sięgnęły po noże.

Makita była jednak szybsza. Wyciągnęła ręce i płynnym ruchem skręciła mu kark. Chwyciła mocno bezwładne ciało i odsunęła je od krawędzi dachu. Nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył.

Kartele bacznie obserwowały całą dzielnicę. Wynajęte łotry patrolowały uliczki i dachy. Wszędzie pełno było szpicli, ale przecież nikt nie spodziewał się elfiej zabójczynie, a to dawało jej przewagę.

Popatrzyła z odrazą na zdobyczne sztylety.

Goblińska robota. Wykonane niedbale i z byle czego, ale przynajmniej są ostre. – oceniła

Wsunęła je za pas i po chwili zniknęła w cieniu.

Noel wiedział, że to tylko sen. Znał ten koszmar, choć nie nawiedzał go już od dawna. Znowu był w samym centrum zamieszek, gdzieś pomiędzy wąskimi uliczkami dzielnicy goblinów...

W oddali coś huknęło, ziemia zadrgała, a na horyzoncie pojawił się dym. To kartel Czarnych Rąk wysadził w powietrze jedną z siedzib Bractwa Cieni.

Noel czekał ze swoim partnerem w pobliżu tawerny Pod Siedmioma Papugami. Denerwował się, bo zaledwie przed kwadransiem przedzierali się przez strefę ulicznych walk. Widzieli ścierające się ze sobą gangi zielonoskórych, mijali ciała leżące na ulicach.

W pewnym momencie, gdy zabłądzili w gąszczu uliczek, w powietrzu świsnął nóż, rzucony zapewne z dachu pobliskiego budynku. Wbił się w deskę zaledwie kilka centymetrów od głowy trola. Zaczęli biec po omacku, aż wpadli na inną grupę strażników.

– Straciliśmy Morduka – powiedział łamiącym się głosem napotkany sierżant. – Jakiś goblin go dźgnął. Nic nie mogliśmy zrobić. Wziąłem jego odznakę. Tylko tyle mogłem – Pokazał im pokryty krwią kawałek metalu.

Kiedy dzielnicą targnął kolejny wstrząs, ruszyli dalej. Sierżant nie zatrzymywał ich, oddalił się wraz z oddziałem w swoją stronę. Do miejsca zbiórki trafili chwilę później.

Odprawa była krótka. Zaraz po niej zajęli wyznaczone miejsca i od tamtej pory czekali pod tawerną na ustalony sygnał. Czas we śnie zdawał się płynąć inaczej, raz przyśpieszał, to zwalniał znowu.

Noel pamiętał, że jego partner w ogóle nie pokazywał po sobie zdenerwowania. Stał beztrosko, wsparty ramieniem o ścianę i mruczał coś do siebie.

– Cholerny kac – powiedział w pewnym momencie krasnolud ochryplym z przepicia głosem, po czym beknął przeciągle i pomasował pulsujące skronie.

Noel nigdy nie widział, żeby Migr okazywał strach przed walką. Jego przyjaciel był często podпиты, a czasem nawet mocno zalany, ale zawsze pełen opanowania. Taka już chyba była jego krasnoludzka natura.

Usłyszeli odgłos rogu. Noel dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że to był właśnie sygnał, na który czekali.

– Do dzieła! – ryknął do niego Migr.

Wyszli z zaułka równocześnie. Tawerna miała dwa piętra i jak wszystkie budynki dookoła, była w całości zbudowana z drewna. Na drugim piętrze od frontu znajdował się ogrodzony balustradą balkon.

Pamiętał, że nad drzwiami bujał się kolorowy szyld, przedstawiający siedem papug siedzących na drążku. Zapadły mu w pamięć, bo chociaż nie były prawdziwe, to były jedyne papugi, jakie w życiu widział.

Ich zadanie było z pozoru proste. Mieli obstawiać jeden z wylotów ulicy. Inna grupa pilnowała jej przeciwnego końca, a trzecia, dowodzona przez Magniego, miała wziąć szturmem tawernę.

Chłopcy sierżanta wparowali do środka. z wnętrza zaczęły dobiegać krzyki i odgłosy walki. Coś huknęło kilka razy. Słychać było przewracane meble i tłuczone szkło. Ktoś wyskoczył przez okno na drugim piętrze. Mały goblin w czarnym garniturze zeskoczył z balkonu wprost na ulicę i ruszył prosto w ich stronę. Trzymał coś w ręku, ale z tej odległości Noel nie poznał, co to takiego.

Migr stanął goblinowi na drodze i nakazał ręką, że ma się zatrzymać. w drugiej ręce trzymał gotowy do użycia młot bojowy. Wykrzykiwał jakieś krasnoludzkie przekleństwa.

Wtedy goblin do niego wystrzelił. Większość drobnych, stalowych kuleczek zabębniła tylko o napierśnik Migra. Pozostała część śrutu rozerwała dłoń i twarz krasnoluda.

Noel zapamiętał dobrze ten moment, gdy jego partner padał martwy na ziemię. Stał wtedy jak sparaliżowany w ciasnym wylocie

ulicy i patrzył na uciekającego goblina, oraz krew wsiąkającą w piasek...

Obudził się gwałtownie, zlany potem i zdezorientowany.

Nienawidził tego snu. Próbował zapomnieć o wydarzeniach tamtego dnia, własnym strachu i bezradności.

Dopiero po chwili zwrócił uwagę, że nie rozpoznaje miejsca, w którym się znajduje. Ściany, sufit i podłoga wyglądały na wykute w skale, dostrzegał wyraźne ślady użytych narzędzi. Obok jego łóżka stał taboret z zapaloną lampą, ale nie dawała ona zbyt wiele światła.

Ostatnie co pamiętał, to walka z zielonym rycerzem, który okazał się elfią morderczynią w przebraniu. Pamiętał, jak chwycił ostrze miecza pędzące prosto w stronę jego szyi. Ból i gniew, które go rozpieęły. Gdy sądził już, że za chwilę zginie, wszystko zniknęło. Musiał stracić przytomność.

Moje ręce...

Spojrzał z niepokojem na swoje dłonie i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że całe owinięte były grubą warstwą opatrunku.

– Nic ci nie będzie – odezwał się kobiecy głos gdzieś z boku.

Odwrócił głowę i zobaczył trolicę, siedzącą na krześle w rogu komnaty.

– Zregenerujesz się szybko – powiedziała obojętnie. – Oparzenie zostawi brzydki ślad, ale i tak nie byłeś zbyt piękny.

– Gdzie ja jestem? Gdzie Nora? – zapytał zdezorientowany.

– Spokojnie, jest cała i zdrowa. Czeka na nas u szefa. My też tam zaraz pójdziemy, skoro już się obudziłeś – Trolica wstała z krzesła i podeszła do wykutego w skale wyjścia. – Czekasz na specjalne zaproszenie? Podnoś się, kolego!

Noel musiał przyznać, że nie była wcale brzydka. Skórę miała nieco zieleńszą od jego własnej, włosy upięte w drobne warkoczyki. Może trochę zbyt chyba jak na jego gust, ale za to jej kły... Połyskiwały w świetle lampy, przyciągając wzrok trola jak magnesy.

– Spokojnie, laleczko. Już wstaję – odparł jej i podniósł się z łóżka.

Trolica prychnęła ostentacyjnie.

– Chodź za mną – powiedziała, po czym odwróciła się i ruszyła korytarzem.

Noel poszedł za nią. Wciąż nie miał pojęcia, gdzie się właściwie znajduje. Miał nadzieję, że przynajmniej część jego pytań zostanie wyjaśniona, gdy już spotka się z szefem, o którym wspominała trollica.

W trakcie wędrówki mijali co chwilę jakieś odgałęzienia i pozamykane drzwi. Na początku Noel próbował zapamiętać drogę, ale już po kilku minutach nie wiedział ile razy i w którą stronę skręcali. Cała ta sieć skalnych korytarzy zaczynała przypominać jakiś labirynt. Wędrówkę umiał mu tylko widok trolicy, przy każdym kroku poruszającej na boki biodrami.

– To tutaj – powiedziała niespodziewanie jego przewodniczka. Zatrzymała się i wskazała masywne, dwuskrzydłowe drzwi po lewej stronie korytarza.

– Dzięki, maleńka – puścił do niej oczko i pchnął jedno ze skrzydeł.

Ustało z lekkim skrzypnięciem, ukazując o wiele lepiej oświetloną komnatę.

– Noel! – rozbrzmiał radosny okrzyk.

Poznał od razu ten głosik. Nora podbiegła i objęła jego nogi. Dopiero po chwili dotarło do niego, jak bardzo ucieszył się na jej

widok. Była za niska, by mógł ją normalnie objąć, więc położył tylko dłoń na jej ramieniu.

– Spokojnie. Doszedłem już do siebie. Gdzie jesteśmy? – zapytał i rozejrzał się po komnacie.

Sala była większa od tej, w której się obudził. Każdą wolną przestrzeń na ścianach zapełniały obrazy. Najczęściej przedstawiały sceny batalistyczne, lub znanych bohaterów, ale dostrzegł też kilka pejzaży.

Noel wiedział, że takie obrazy są niezwykle cenne. Kilka stuleci zamknięcia we wnętrzu góry sprawiło, że wiedza o zewnętrznym świecie była ograniczona. Niewielu wciąż pamiętało czym są lasy, jak wygląda polana z kwiatami, morskie fale, czy porośnięte zieloną trawą wzgórze. Jeszcze mniej osób umiało je namalować. To wszystko sprawiło, że tylko nieliczni mogli sobie pozwolić na takie dzieła sztuki.

Podłogę zdobił gruby dywan, który przyjemnie łaskotał bosc stopy. Światło dawały ogromne, pozłacane świeczniki w rogach komnaty. Przy jednej ze ścian stało masywne biurko. Noel rozpoznał od razu postać, która zasiadała w fotelu za nim.

– Witam ponownie w moich skromnych progach – powitał go Strutman.

– Hmpf – dodał Crocht i zaciągnął się cygarem.

Zamiast eleganckiego fraka, mieli na sobie tym razem ciemnoszary dublet z białymi wszywkami, sznurowany przez środek – zgodnie z najnowszą modą. Strutman dobrał do kompletu ciemny kapelusz z zatkniętym piórem bażanta, na jego oku połyskiwał zaś nieodłączny złoty monokl.

Wzrok Noela przyciągnął leżący przed ogrem Piekłomiot. Broń ta była rzadkością, ale trol widział już ją w akcji, kiedy dwa lata temu doszło do wojny między kartelami. Na pierwszy rzut oka ciężko było rozpoznać, czemu ma właściwie służyć to urządzenie. Podobnie jak większość goblinów wynalazków, wyglądało jak poskładany z wielu części rupieć. Spod metalowej osłony wystawały jakieś rurki, zębatki i zegary. Na jednym z końców wystawało coś przypominającego tubę od trąbki.

Noel wiedział, że jest to lufa, przez którą Piekłomiot potrafi wypluć jednym strzałem sporą ilość śrutu. Właśnie tak przed dwoma laty zginął jego partner, Migr.

– Panowie Strutman i Crocht... Co za miłe i jakże nieoczekiwane spotkanie! – trol przywitał grzecznie ogra, chociaż czuł w kościach, że nic dobrego to spotkanie nie przyniesie.

– Może by tak więcej wdzięczności? w końcu was uratowaliśmy!
– zachnął się Strutman.

– Uratowaliście? – zapytał Noel.

– To prawda – potwierdziła Nora. – Zaraz po twojej walce z elfką, zupełnie niespodziewanie podbiegł do mnie goblin. Ne miałam pojęcia, skąd się tam wziął. Na początku bałam się, że to może być współnik tej zabójczynie, ale wyjaśnił mi, że pracuje dla panów Strutmana i Crochta. Powiedział, że sprowadzi pomoc. Przyszli i zabrali nas tutaj.

– Nie nazwałbym tego szczęśliwym zbiegiem okoliczności, maleńka. To jasne, że kazali nas śledzić. – Noel wbił spojrzenie w ogra.

– Chyba nie sądziłeś, że zostawimy was bez nadzoru? – zaśmiał się Strutman.

Crocht odchylił głowę i wypuścił spore kółko z dymu, które zaraz rozmyło się na suficie.

– Mogłem się domyślić. – Noel westchnął.

– Bądź wdzięczny. Dzięki temu mogliśmy wam pomóc!

– Pomóc? Bez jaj! Kiedy ta elfka spuszczała nam łomot, ten twój szpieg nie kiwnął nawet palcem!

– Jak słusznie zauważyłeś, to szpieg, a nie wojownik. Gdyby każdy nasz szpieg udawał bohatera, pewnie żaden by nam nie został – zripostował ostro Strutman.

– Hmpf – dodał od siebie pan Crocht.

– Poza tym, gdybym nie kazał was śledzić, siedzielibyście już w mamrze. – Strutman wyciągnął z szuflady zwinięty pergamin i położył go na biurku. – Masz, czytaj.

– Co to jest? – zapytał zaskoczony Noel.

– Niestety on ma rację – przytaknęła cicho Nora. – Sam zobacz.

Noel podszedł do biurka i wziął leżący obok Piekłomiota pergamin.

Obwieszczenie!

W imieniu rady z żalem informuję, że zostaliśmy zmuszeni do rozwiązania Straży Miejskiej. Szczęśliwie udaremniiony zamach stanu rzucił cień na tę instytucję, która przysięgała chronić nasze miasto i jego obywateli. Wszyscy strażnicy zostaną zatrzymani do chwili, aż odpowiednie organy zakończą śledztwo w tej sprawie. Do tego czasu obowiązki utrzymania porządku przejmują służby specjalne, kierowane osobiście przeze mnie. Wszyscy przebywający wciąż na wolności strażnicy proszeni są o dobrowolne zgłoszenie się do aresztu, a uczciwych obywateli uprasza się o wskazywanie miejsca ich pobytu, oraz nieudzielanie schronienia zbiegom. Nie stosowanie się do tych

wytycznych traktowane będzie jako występki wymierzony w dobro publiczne, a kara za to odpowiednia do popełnionego czynu.

Przewodniczący Rady Miejskiej

Manfred von Richtenstein

Noel nie wiedział, co powiedzieć. To był dla niego szok. Musiał kilka razy przeczytać pismo. Przez chwilę pomyślał nawet, że może wciąż śpi i to wszystko jest tylko snem.

– Zamach stanu? Aresztowania? Co tu się do licha dzieje?

Nora powtórzyła wszystko, czego dowiedziała się od Strutmana i Crochta, kiedy trol był nieprzytomny. Opowiedziała o znalezionym w pałacowych piwnicach prochu i zabitym agencie hrabiego. Wspomniała też o nieumarłych sługach wampira, krążących w czarnych zbrojach po ulicach i wyłapujących strażników.

Noel słuchał jej uważnie i na początku nie dowierzał. w końcu jednak zaczął analizować sytuację, w której się właśnie znaleźli.

– Złapali wszystkich? – zapytał, gdy jego partnerka skończyła streszczać mu wydarzenia.

– Nie wszystkich. – odparła Nora, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. – z tego co wiemy, kapitan Baelor uciekł, kiedy hrabia i jego słudzy przyszli go aresztować.

– Ponoć wilkołak nieźle wkurzył starego przewodniczącego. – Zaśmiał się chrapliwie pan Crocht. – Rozerwał na strzępy kilku nieumarłych sługusów, a potem zniknął bez śladu.

– Nie wiemy, gdzie się teraz ukrywa – kontynuował Strutman. – Wiemy natomiast, że jeszcze go nie złapali.

Noel pokiwał głową.

– Ktoś jeszcze? – zapytał z nadzieją.

– Sierżant Magni ze swoją ekipą rozbił oddział nieumarłych w dzielnicy krasnoludów. – Ogr poprawił monokl na swoim oku. – Udało im się przebić z obławy i zaszyli się gdzieś w mieście. No i jesteście jeszcze wy, oczywiście.

Nora zaczęła chodzić niespokojnie po gabinecie.

– Coś nam umyka. Te wszystkie wydarzenia nie mogą być przypadkiem. – powiedziała.

– Też tak sądzę, ale na razie bardziej interesuje mnie coś innego. – Noel spojrzął na siedzącego w fotelu ogra. – Czemu nam pomogłeś? Jaki masz w tym interes? Tylko bez bajeczek i wciskania kitu.

– Przechodzimy prosto do sedna? – Strutman uśmiechnął się, a pan Crocht wypuścił chmurę dymu z nosa. – No dobrze, podsumujmy... Miasto popada w chaos. Sługi hrabiego organizują łapanki. w dzielnicy krasnoludów i Uroczysku dochodzi już do otwartych walk. Tu, w dzielnicy goblinów, jeszcze jest spokój, ale w części kupieckiej na ulice wyszli jacyś nawiedzeni kapłani, którzy gładzą o religii i krucjacie przeciw tyranii żywego trupa. Czysty obłąd. Naszym zdaniem, to miasto jest na krawędzi rebelii.

– Więc uznaliście, że to dobry moment na udzielenie pomocy poszukiwanym zbiegom? – zadrwił trol.

– Uznaliśmy, że w takiej chwili warto pozyskać sobie sojuszników. z praktyki wiem, że tacy z długim wdzięczności są najlepsi – odparł Strutman z chytrym uśmiechem.

Noel przetarł twarz dłonią.

– No tak, czyli możemy ci się jeszcze do czegoś przydać – podsumował.

– Hmpf – potwierdził pan Crocht.

– Dobra, a gdzie my właściwie jesteśmy? To jakaś piwnica pod waszą fabryką?

– Niezupełnie – odparł z tajemniczym uśmiechem Strutman. – Ta grotta to część ogromnego kompleksu jaskiń, który ciągnie się pod całym miastem.

– Że co takiego? – Noel zamrugał kilka razy z niedowierzaniem.

– Gobliny odkryły te podziemia wieki temu, kiedy zaczęły budować swoją dzielnicę – kontynuował Strutman, nie zwracając uwagi na zaczepki strażnika. – Od tamtej pory badały te ścieżki, a z czasem zaczęły wykuwać własne chodniki. Nie sądzę, by ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę z ich istnienia.

– Najwyższy Majster w Gnomiej Akademii chyba pogubiłby wszystkie śrubki, gdyby się o tym dowiedział! – wykrzyknęła entuzjastycznie Nora.

– Chcecie powiedzieć, że te korytarze ciągną się pod całym miastem? – Noel otworzył szeroko oczy.

– Właśnie tak – potwierdził Strutman, podczas gdy pan Crocht strzepywał do kamiennej miseczki popiół z cygara. – Większość to naturalne jaskinie, gobliny połączyły je tylko chodnikami. Prawdziwy labirynt, w którym łatwo zgubić drogę. Bardzo niewielu zna w nim wszystkie ścieżki. Używamy ich do różnych celów, między innymi jako magazyny. To właśnie z jednej z takich pieczar skradziono nam proch. Można się też nimi dostać do różnych części miasta. Wejścia są przeważnie dobrze ukryte, dlatego tunele wciąż pozostają tajemnicą dla niewtajemniczonych. Zresztą, to właśnie przy ich pomocy was tu sprowadziliśmy.

– Zaraz, zaraz... – Noel potarł w zamyśleniu podbródek obandażowaną dłonią. – Czy Ziggi też miał dostęp do tych tuneli

i magazynu z prochem?

– Jasne, był przecież kierownikiem w fabryce. Nawet więcej, z tego co wiem, był jednym z nielicznych, którzy znali dobrze ścieżki w tym labiryncie.

– Więc to tak zbudował swojego tytana! – przerwała ogrowi podekscytowana Nora. – Przemyczał razem z asystentem części korzystając z podziemi!

– Tak – potwierdził Noel. – i myślę, że dlatego zginął. Ktokolwiek za tym stoi, poza wiedzą o tytanych potrzebował też od Ziggiego dostępu do tuneli i magazynu, a kiedy dostał już to czego chciał, zwyczajnie się go pozbył.

– Jakiego znowu tytana? – zapytał zdezorientowany Strutman.

– Długa historia – odpowiedziała krótko Nora. – Czyli... Elfka zabiła Ziggerta i odebrała mu klucz do magazynu. Potem, z czyjąś pomocą wyniosła proch i umieściła go pod pałacem.

– Ale po co chciała wysadzać pałac? z tego co mówiła, chodzi jej tylko o tytany. – zastanowił się Noel.

– Może nie zamierzała go wcale wysadzać? Może chciała tylko pozbyć się strażników, zrzucając na nas podejrzenia? Może chciała tego, o czym mówił pan Strutman. Chaosu w mieście. Podszywała się pod zielonego rycerza, którego najprawdopodobniej sama zabiła, a gdy powiedziałaś, że sierżant Magni będzie przeszukiwał dom Ziggerta, podrzuciła tam jego ciało.

– Snag! – Noel przypomniał sobie nagle o asystencie Ziggiego. – Kazałem jej zabrać Snaga na posterunek! Naszego jedyne go świadka! Pewnie jego zwłoki niedługo też gdzieś wypłyną. – Zaklął cicho.

– Nie mogłeś przecież wiedzieć – odparła Nora.

– Powinienem być zająć się tym osobiście.

– Wybaczcie, że wam przerwę te pouczającą pogawędkę, ale... – wtrącił pan Crocht, oglądając trzymane w dłoni cygaro. – Jaki macie teraz plan działania?

– Dobre pytanie. – Noel spojrział niepewnie na swoją partnerkę.

– Powinniśmy chyba odnaleźć kapitana Baelora i sierżanta Magniego. – zaproponowała gnomka.

Trol przytaknął po chwili zastanowienia.

– Chyba wiem, gdzie możemy zacząć szukać, ale najpierw... – Noel zdjął odznakę strażnika i położył ją na biurku. – z tym nie możemy chodzić teraz po mieście. Przechowasz nam je? – zwrócił się do ogra.

Strutman i Crocht popatrzyli na trola w skupieniu. Przez krótką chwilę wszyscy w pomieszczeniu zamarli. Jedynie dym z cygara unosił się leniwie i rozmywał pod sufitem.

Noel czekał cierpliwie. Domyślał się co zaraz powie właściciel fabryki.

– Zgoda – przemówił w końcu pan Crocht chrapliwym głosem. – Zdajesz sobie jednak sprawę, jaki dług będzie miała u nas Straż, kiedy to wszystko się skończy?

– Zdaję – potwierdził Noel. – Dobrze wiecie, że z nami możecie się dogadać. Ze sługusami hrabiego nie będzie tak łatwo.

– Więc umowa stoi. – Strutman uśmiechnął się chytrze.

– z tych podziemi można się jakoś dostać do dzielnicy krasnoludów? – zapytał Noel.

– Oczywiście. Mój pracownik was tam zaprowadzi. – Strutman wskazał siedzącego w kącie przy drzwiach, ubranego w ciemny strój goblina, którego Noel nie zauważył wcześniej. – To właśnie on was uratował.

– Chciałeś chyba powiedzieć śledził – mruknął pod nosem trol.

– Jedno wiąże się z drugim – odparł spokojnie Strutman. – Świetnie zna drogę.

– Zobaczymy. No to w drogę, mała. – Noel poklepał partnerkę po ramieniu.

Nora również odpięła swoją odznakę od błękitnego płaszcza i podeszła do biurka ogra. Chciała ją odłożyć, ale po chwili wahania zmieniła zdanie. Ten mały kawałek metalu zbyt wiele dla niej znaczył. Dużo poświęciła, by móc nosić go na piersi. Przypięła odznakę z powrotem i ruszyła za partnerem w stronę drzwi.

Kiedy wyszli z gabinetu ogra, ich przewodnik wysforował się przed nich i ruszył jedną z odnóg korytarza. Na plecach niósł przerzucony w poprzek tobołek, który kiwał się przy każdym jego kroku.

– Za mną, ferajna! – zawołał nie oglądając się do tyłu.

Noel i Nora wymienili wymowne spojrzenia i podążyli za goblinem.

– Jak długo potrwa ta wycieczka? – zapytał trol.

Jego głos odbił się echem od skalnych ścian korytarza.

– Potrwa, ile potrwa – bąknął od niechcenia goblin.

– Może chociaż powiesz nam, jak masz na imię? – zapytała nieśmiało Nora.

Przewodnik nie odpowiedział. Smarknął głośno w chusteczkę, którą zaraz schował do kieszeni spodni. Strażnicy poddali się i nie zagadywali go więcej.

Szybko opuścili zaadaptowaną przez zielonoskórych część podziemi. Obrobione rękami górników chodniki stawały się coraz bardziej nierówne i pofałdowane. Im dalej byli od dzielnicy goblinów,

tym bardziej pierwotnego charakteru nabierały kolejne korytarze i mijane przez nich pieczary.

Lampa trzymana przez goblina kołysała się na boki, poskrzypując przy tym cicho. Poza ich własnymi krokami był to jedyny dźwięk jaki słyszeli przez długą część wędrówki.

– Stać! – rozkazał nagle goblin i zatrzymał się w miejscu.

Zaskoczony Noel wpadł na niego i omal się obaj nie przewrócili.

– Patrz pod nogi! – syknął przewodnik.

– Czemu się zatrzymujemy? – zapytała Nora.

– Cisza! – Goblin zmierzył ją zimnym wzrokiem. – Wydawało mi się, że coś słyszałem.

Noel i Nora rozglądali się po ciemnej jaskini i nadstawiali uszu, ale nie udało im się wyłowić żadnego dźwięku. Goblin przyłożył ucho do jednej ze skalnych ścian i gestem kazał im czekać.

– Są blisko – wyszeptał po chwili i odsunął głowę od ściany.

– Kto jest blisko? – zapytał Noel, chociaż nie liczył już na odpowiedź.

Chwilę później po jaskini rozszedł się echem przeciągły ryk i wtórujące mu okrzyki. Strażnik cofnął się o krok, a Nora schowała się za jego nogą.

– Co to u licha było? – zapytał trol.

– Szybko! Musimy iść! – ponaglił ich goblin i nie oglądając się, ruszył dalej korytarzem.

Dwójka strażników prędko udała się za oddalającą się wraz z nim lampą. Oboje wiedzieli, że w ciemnościach nigdy nie odnajdą sami drogi powrotnej.

Goblin nie oglądał się na nich. Szedł wartkim krokiem przed siebie. Coraz częściej docierały do nich jakieś głosy, krzyki i szcęk

metal. Tym razem jednak nie pytali już przewodnika, skąd dobiegają te hałasy i czemu się ich wystraszył. Wiedzieli, że i tak nie otrzymają odpowiedzi na zadawane pytania. Szli więc w milczeniu, nasłuchując i uważając, by nie potknąć się o wystające ze skalnego chodnika kamienie.

Gdy pokonali kolejny zakręt, zobaczyli przed sobą jakieś światło w oddali. Ich przewodnik zatrzymał się gwałtownie i natychmiast zgasił trzymaną w ręku lampę. Noel poczuł, jak coś w ciemności chwyta go za rękę i szarpie do dołu.

– Cisza! – usłyszał koło ucha. – Uważaj na gnomkę. i teraz powoli, bez hałasowania!

Trol pokiwał głową i dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że przecież i tak w ciemności nikt tego nie widzi. Westchnął i wyciągnął do tyłu dłonie, żeby spróbować znaleźć Norę.

Gnomka stąpała drobnymi krokami, starając się nie upaść. Wyciągała przed siebie krótkie ręce i kierowała się w stronę skalnej ściany, gdzie jeszcze przed chwilą był jej partner. Po chwili ich dłonie spotkały się i odetchnęła z ulgą.

– Co się dzieje? – zapytała szeptem.

– Jakies światło, tam dalej – odparł cicho Noel. – Uważajmy teraz.

Goblin pociągnął ich za sobą i cała trójka ruszyła powoli w stronę światła. Im bliżej podchodzili, tym wyraźniejsze stawały się odgłosy. Mogli już rozróżnić krzyki i odgłosy walki. Było ich tak dużo, jakby gdzieś obok toczyła się bitwa.

W skalnej ścianie przed nimi wybity był otwór, przez który z sąsiedniej jaskiń wpadało światło. Podeszli bliżej, starając się wciąż zachowywać jak najciszej.

Kiedy spojrzeli przez krawędź otworu, zobaczyli olbrzymią grootę. Migotały dziesiątki lamp i pochodni, trzymany przez walczących ze sobą zielonoskórych. Potężne orki rąbały toporami i tłukły młotami, a goblinie miecze i sztylety cięły bezlitośnie. Zakrwawione ciała padały pomiędzy nogi walczących. Krzyki i szczęk metalu mieszały się ze sobą.

– Co tu się dzieje? – Nora była zszokowana widokiem toczącej się bitwy.

– Ci umorusani w sadzy to kartel Czarnych Rąk – wyjaśnił goblin
– Ale tych drugich nie rozpoznaję w tej wrzawie.

– Wrzaskuny – podpowiedział Noel.

– Skąd wiesz? – Goblin wydawał się wyraźnie zaskoczony wiedzą strażnika.

– Widzisz wysokiego troła w samym środku tej kotłowniny? Nazywa się Brombor. Ostatnio pracował dla Wrzaskunów.

– Chodźmy lepiej, to nie nasze sprawy. – Goblin odsunął się od dziury. – Nic tu po nas.

Noel i Nora podążyli za nim. Już po kilku krokach lampa goblina rozjarzyła się jasnym światłem.

– Czemu oni się bili? – zapytała gnomka.

– Kto wie – odparł przewodnik. – Czarne Ręce mają monopol na węgiel, może o to poszło? Albo ich szefowie mieli ze sobą na pieńku. Tu często zdarzają się takie rzeczy. Zresztą, na górze jest teraz chyba nie lepiej.

Nora pokiwała głową.

Odgłosy walki i krzyki stawały się coraz cichsze w miarę, jak oddalali się od miejsca bitwy. Po jakimś czasie korytarz skończył się raptownie i drogę przecięła im rzeka magmy. Nad gorącym

strumieniem można było przejść po naturalnym, powstałym zapewne po jakimś osuwisku skalnym moście.

– Jeśli myślisz, że po tym przejdę, to chyba odjęło ci rozum – oświadczył głośno trol.

– Mnie tam wszystko jedno, możemy zawracać – odparł drwiąco goblin i zdmuchnął płomień lampy. Był zupełnie niepotrzebna nad rzeką pełną ognia.

Noel westchnął i zacisnął mocno zabandażowane dłonie.

– Zejdź mi z drogi – powiedział i wyminął goblina.

Kiedy postawił kilka pierwszych kroków na skalnym moście, poczuł gorący żar bijący z dołu. Odwrócił się i zobaczył, że jego partnerka wpatruje się w płomienie z rosnącym przerażeniem.

– Dalej, mała! – krzyknął – Tylko nie patrz w dół!

Nora spojrzała na niego i pokiwała niepewnie głową. Zaczęła wchodzić ostrożnie na most.

– To łatwe, nie bój się! – próbował ją uspokoić. – Zaraz będziemy po drugiej stronie!

Gdy podeszła bliżej, ujął ją za rękę i powoli przeszli razem na drugą stronę. Ich przewodnik pokonał przeszkodę dziarskim krokiem, jakby przechodził wtedy już setki razy. Prychnął cicho mijając strażników i ruszył dalej wzdłuż chodnika.

Nie minęło nawet dziesięć minut, gdy raptem znowu się zatrzymał.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł niespodziewanie.

Było to tak nagłe, że Noel prawie znowu na niego wpadł. Oboje z Norą rozejrzeli się zdezorientowani, ale nie dostrzegli żadnego wyjścia.

Goblin wskazał im palcem wykute w skale wyżłobienia, tworzące coś na kształt drabiny. Prowadziły wprost do drewnianej kłapy, która znajdowała się na suficie kilka metrów ponad ich głowami.

– Dokąd to prowadzi? – zapytał trol.

– Chcieliście do dzielnicy krasnoludów, no to macie dzielnicę krasnoludów – odparł goblin dość nieprzyjemnym tonem.

– Bardzo dziękujemy – powiedziała Nora. – Za doprowadzenie nas tu i wcześniejszą pomoc.

Goblin nie słuchał jej. Zajął się rozwiązywaniem tobołka, który całą drogę niósł na plecach. Wyjął z niego miecz w skórzanej pochwie, który strażnicy od razu rozpoznali.

– Chciałem go zatrzymać – powiedział goblin, nie odrywając od broni łakomego wzroku. – Pan Strutman uznał, że może wam się przydać. Elfka upuściła go, kiedy oberwała podczas walki. – Przewodnik podał księżycowe ostrze Noelowi.

– Dzięki... – Trol odebrał od niego broń bez większego entuzjazmu.

Doskonale pamiętał, jak to ostrze paliło jego dłonie i rozcinało skórę. To nie były przyjemne wspomnienia.

– To może nam się przydać – powiedziała Nora, widząc minę partnera.

– Jasne. Można tym sobie na przykład podgrzać obiad. – Trol przewiązał pochwę z mieczem wokół bioder. – Chodźmy już lepiej.

Nora zaczynała już powoli przywykać do tego, że jej partner odnosi się z ignorancją do wszelkich przejawów techniki. Przedrzeźniał też wszystko, co było dla niego nowością. Jego upór bywał jednak irytujący.

Noelowi pierwszy rozpoczął wspinaczkę po drabinie. Gdy dotarł na sam szczyt, spróbował unieść klapę. Ta bez najmniejszego oporu otworzyła się i odsłoniła ciemne pomieszczenie.

Trol wszedł do środka i przekonał się, że było także strasznie ciasne. Przez jedną z jego ścian biegła pionowa, wąska szpara. Wpadała przez nią odrobina światła.

Nora wspiwała się tuż za nim. Pokonywanie skalnych stopni szło jej jednak wolniej.

Co to za miejsce?

Noel przysunął oko do szpary. Pomieszczenie po drugiej stronie było jasno oświetlone i wyglądało na czyjś salon. Duża kanapa, dywan i świecznik zwisający z sufitu.

– Co do licha? – mruknął zaskoczony trol.

Oparł się o ścianę, a ta ku jego zdumieniu ustąpiła i rozchyliła się na boki. Trol wpadł do salonu i omal nie przewrócił się na ziemię.

– Noel? Co tam widzisz? – usłyszał głos Nory.

– Jeszcze nie jestem pewien, ale... To chyba czyjeś mieszkanie.

Trol spojrzął za siebie i ujrzał otwarte drzwi szafy, z której dna wylaniała się właśnie jego partnerka. Reszta salonu urządzona była dość elegancko. Szeroki i miękki dywan, na kominku popiersie groźnie wyglądającego krasnoluda, a na ścianie obok wisiała niedźwiedzia skóra. Wprawdzie była już bardzo wypłowiała i zniszczona, ale trol wiedział, że musi być bezcenna. w końcu nikt tu od setek lat nie widział niedźwiedzi. Na jej widok aż zagwizdał z wrażenia.

– Całkiem tu przytulnie.

Podszedł do kominka, żeby przyjrzeć się popiersiu. Wykonano je z nie lada kunsztem, oddając nawet takie detale, jak zmarszczki, czy

nierówności skóry. Pokrywała je cienka warstwa kurzu, która zdradzała, że ktoś czasem je czyścił.

– Ciekawe, do kogo należy to mieszkanie?

Nora zaczęła przeglądać tytuły ksiąg ustawionych na nisko zawieszanej półce.

– Właściwie, to należy do panów Strutmana i Crochta! – usłyszeli z sąsiedniego pomieszczenia. – Ja obecnie je tylko wynajmuję!

Kiedy spojrzeli w stronę, z której dobiegał głos, do salonu wkroczył dziarskim krokiem barczysty krasnolud o wydatnym brzuchu. Miał długie, rude włosy i sięgającą pasa brodę. Nie wyglądał na zbyt przejętego obecnością intruzów. Obgryzał udko kurczaka, które trzymał w ociekającej tłuszczem dłoni.

– Kiedyś... – przerwał w pół słowa, by przełknąć kolejny kawałek mięsa. – ... należało do mnie, a wcześniej do mojej rodziny. To właśnie mój tato, o tam. – Wskazał obgryzionym udkiem stojące na kominku popiersie. – Zajmował się garbowaniem skór, podobnie jak jego ojciec przed nim. Jak się pewnie domyślacie, nie jest to obecnie zbyt dochodowy interes.

Nora, podobnie jak jej partner, nie ocknęła się jeszcze z zaskoczenia. Ostatnie czego się spodziewała to wyjście z podziemi przez czyjąś szafę. Próbowwała znaleźć pasujące do sytuacji słowa, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Gospodarz nie wyglądał na przejętego tym faktem i ze smakiem wgryzł się kolejny raz w kurczaka.

– Widzicie tego tutaj? – Wskazał niedźwiedzią skórę zawieszoną na ścianie. – Upolował go mój prapradziad. Stracił nogę, ale niedźwiedzia ubił! Wyprawił własnoręcznie skórę i powiesił ją na

pamiątkę. Muzeum chciało ją ode mnie odkupić, ale za nic bym jej nie sprzedał.

Wytarł rękawem usta z tłuszczu.

– Pracujesz dla pana Strutmana? – zapytała niepewnie Nora.

– Tak jakby. – Pokiwał krasnolud. – Byłem od dłuższego czasu w kiepskiej sytuacji finansowej, mówiąc delikatnie. Strutman i Crocht zaproponowali mi sprzedaż działki w zamian za dożywotnią pensję i możliwość dalszego jej zasiedlania. Pomyślałem więc, czemu nie? Nawet nic nie muszę robić. Czasem tylko jacyś goście wychodzą z mojej szafy, ale nigdy nie zostają długo. o nic nie pytam i nikt o nic mnie nie pyta. Myślę, że to całkiem niezły układ.

– Jeżeli wszystkie te przejścia są tak poukrywane, to nic dziwnego, że nikt ich do tej pory nie odnalazł. – Noel spojrzął jeszcze raz na szafę.

– Nazywam się Angus. – Krasnolud wyciągnął ubrudzona tłuszczem dłoń w kierunku Nory.

– Nora Tinkerton. Miło mi poznać. – Gnomka z lekkim wahaniem ujęła krasnoluda za jeden z palców, który wydawał jej się najmniej wybrudzony.

Noel także przedstawił się gospodarzowi i uścisnął mu rękę.

– Angusie... Mogę zwracać się do ciebie po imieniu? – zapytała Nora.

– Jasne, kuzyneczko. – Krasnolud uśmiechnął się szczerze.

– Angusie, nie słyszałeś może nic o sierżancie Magnim? Podobno ukrywa się gdzieś w dzielnicy krasnoludów.

– Ano. – Zaśmiał się Angus. – Wiem dokładnie, gdzie on jest. Tylko... Hmm.

Krasnolud popadł w zamyślenie i pogładził swoją brodę.

– Tylko? – spróbowała ponaglić gospodarza Nora.

– Ach, do licha! Coś mi się wydaje, że gracie z nim w tej samej drużynie. – Postukał palcem w odznakę, którą gnomka miała przypiętą na piersi. – Dlatego zdradzę ci gdzie on jest, gołąbeczko.

Nora od razu się rozpromieniła. Angus przeczesał brodę tłustą dłonią i usiadł na kanapie.

– Kiedy czarne bobki... Tak tu nazywamy tych koleżków, które rozsyła wszędzie nieumarlak... Więc kiedy przyszli do browaru Pod Kilofem i Oskardem, żeby zabrać poczciwego Magniego, ten stary wiarus i jego chłopcy rozbili ich na tyciusie kawałeczki. w tych czarnych zbrojach nikogo nie ma, wiecie? Ulatnia się z nich takie niebieskie coś... Jakby mgła, albo chmura? Nigdy nie widziałem chmury, ale trochę o nich słyszałem... To może bardziej, jak dym? Zresztą, nie ważne. w każdym razie, one wtedy rozpadają się na...

– Może przejdźmy od razu do rzeczy, jeśli nie masz nic przeciw – przerwał krasnoludowi zniecierpliwiony Noel.

Angus przełknął szybko ślinę, oblizał usta i powrócił do przerwanej opowieści.

– Jasne! No więc... o czym to ja? Ach tak... Magni rozwalił ich aż miło, ale w drodze byli już następni. Pognał więc ze swoimi chłopakami między uliczki. On zna tu każdy kąt, wiecie? Zgubił czarne bobki i zawrócił okrężną drogą z powrotem do browaru. Siedzi tam od tamtej pory, a te pierdoły szukają go po całej dzielnicy! Dacie wiarę? – Zaśmiał się głośno Angus.

– Możesz nas tam zaprowadzić? – zapytała uradowana Nora.

– Pewnie. – Krasnolud zeskoczył z kanapy. – Możemy tam iść nawet zaraz, to niedaleko. Tylko... Może lepiej zdejmij to, gołąbeczko. – Wskazał ponownie na jej odznakę. – Nie zrozum mnie źle, wszyscy

tu stoimy murem po stronie strażników. Rozwaliliśmy już zresztą sporo nieumarłych, od kiedy zaczęła się ta cała nagonka, ale one wciąż wracają.

– Racja. – Nora niechętnie odpięła odznakę.

Pogładziła ją dłonią i schowała do kieszeni. Noel czuł się nieco dziwnie widząc przywiązanie swojej partnerki do tego kawałka metalu. Ledwie już pamiętał jak to jest, kiedy czuło się dumę z bycia strażnikiem. Przez lata, które spędził na służbie, to uczucie zapadało się coraz głębiej, wypierane przez powtarzalny schemat codziennych obowiązków. Teraz jednak, kiedy zobaczył ile odznaka znaczy dla Nory, miał wrażenie, jakby coś się w nim budziło.

– Ruszajmy – powiedział, by ponaglić pozostałych.

Udali się za Angusem na ulicę i doznali lekkiego szoku, kiedy okazało się, że dom krasnoluda niemal sąsiaduje z siedzibą Straży Miejskiej. Ruszyli chodnikiem, starając się nie zwracać na siebie zbyt dużej uwagi. Musiało być koło południa, bo ruch był całkiem spory. Nie uszło ich uwagi, że większość mijanych krasnoludów jest uzbrojona. Angus zresztą też zabrał na drogę swoją kuszę.

– Chyba na serio coś się szykuje – mruknął cicho Noel.

– Ano – potwierdził Angus. – Regularnie dochodzi do jakiejś bitki z czarnymi. Większość naszych jest teraz pod bronią. Sam miałem okazję odkurzyć stary wielostrzał, który zostawił mi tatko. Rodzinna pamiątka. – Poklepał przewieszoną przez ramię kuszę.

Kiedy dotarli przed browar, Nora zwróciła uwagę na kołyszący się przed wejściem szyld w kształcie kufła, na którym widniał rysunek skrzyżowanego z oskardem kilofa. Tuż przed wejściem, na środku ulicy piętrzyło się rumowisko czarnych pancerzy.

– Nie rozumiem. Skąd hrabia ma tyle zbroi? Przecież kuźnie od wieków są nieczynne?

– To pancerze starej gwardii pałacowej – odpowiedział krasnolud z wyraźnym niesmakiem. – Nieumarlak splugawił je tą swoją mroczną magią... Tfu! Zero szacunku! Ale nie ma co teraz nad tym dywagować, lepiej wejdźmy do środka.

Jak tylko przekroczyli próg browaru, rozmowy ucichły nagle, a twarze wszystkich bywalców zwróciły się w ich stronę. Noel cofnął się o krok, widząc srogie miny podpitych krasnoludów.

– Czółko wszystkim! – Angus pozdrowił bywalców karczmy. – Oni są ze mną!

Wskazał strażników i ruszył żwawo, przeciskając się między ławami. Goście karczmy odwrócili się z powrotem do swoich kufli, a całe pomieszczenie na powrót wypełnił gwar i pijacki rechot. Angus poprowadził ich przez całą salę, aż do znajdującego się po drugiej stronie alkierza.

– Noel! Maleńka! – Zaskoczony Magni odstawił od ust kieliszek i wyraźnie rozpromienił się na widok znajomych twarzy. – Angus, stary wariacie, gdzieś ty ich znalazł?

– Siedzieli w mojej szafie! – zażartował krasnolud, witając się z Magnim.

– Dobra, nie chcesz, to nie mów. – Machnął ręką sierżant. – Noel! Do diaska! Już myślałem, że ciebie też dorwali! Oru, Fuler, Bernhard, posuńcie tyłki! Zróbcie trochę miejsca na tej kanapie! Żwawo! i uwaga na... hic!... Tizziego! Zmiażdżycie biedaka!

Oddział Magniego zaczął przesuwać się niezdarnie po wygiętej w łuk sofie. Skrzat Tizzi musiał wstać i przebiec po niej kawałek, żeby uniknąć zmiżdżenia przez zakutego w półpancerz orka Oru. Fuler,

kędzierzawy niziołek o czerwonym z przepicia nochal, wylał sobie pół kufła, kiedy próbował zrobić miejsce napierającemu na niego Bernhardowi. Pokażnej postury człowiek musiał być już nieźle pijany, bo zaraz po tym, jak się przesunął, natychmiast opadł bezwładnie na stół.

Kiedy zwolniło się już nieco miejsca, Noel, Nora i Angus usiedli obok sierżanta. Magni wziął swój kieliszek i wypił zawartość jednym haustem.

– No! To gadajcie! Skąd żeście się tu wzięli? – zapytał przybyłych.

Noel i Nora opowiedzieli mu o wszystkim, co działo się do tej pory i o swoich odkryciach. Magni i pozostali strażnicy przysłuchiwali się uważnie i powstrzymywali od pytań. Kiedy historia dotarła do tytana ukrytego w domu goblina Ziggerta, sierżant wytrzeszczył oczy w zdumieniu. Spojrzał ciężko na swoich chłopców, z których żaden nie pokwapił się podczas przeszukiwania, żeby zejść do piwnicy. Nora nie przerywała swojej opowieści, w szczegółach opisała walkę z elfią zabójczynią i pomoc, jaką otrzymali ze strony kartelu Strutmana i Crochta. Postanowiła jednak nie wspominać na razie ani słowem o sieci podziemnych jaskiń pod miastem, co jej partner zaaprobował taktownym milczeniem.

– No, no. Niezła opowieść – pokiwał Magni i opróżnił kolejny kieliszek. – Podejrzewacie, kto może stać za tym wszystkim?

– Gdy się nad tym zastanowić... Wszystkie tropy wskazują na hrabiego – stwierdziła nieśmiało Nora.

– Hrabia? – Magni otworzył szerzej oczy.

– To on przydzielił nam tę elfkę do zespołu – przypomniała mu gnomka. – Oczywiście mógł nie wiedzieć, że jego agent nie żyje i ktoś

się pod niego podszywa, ale to jednak podejrzane.

Magni stuknął kilka razy pustym kieliszkiem o stół. Próbował zebrać do kupy bląkające się w oparach alkoholu myśli.

– Mógł sam podłożyć proch pod pałac, żeby oczernić nas i pozbyć się strażników – dodał Noel.

– Niech to! – Magni uderzył pięścią o stół, przewracając puste kieliszki. – Całe miasto staje na głowie... hic!... przez tego przekłętego wampira! Moi dziadowie służyli w gwardii królewskiej! Nie dam się zamknąć jak szczur w klatce... hic!... jakiemuś chędożonemu trupowi!

– Niech przyśle więcej tych czarnych puszek! Rozwalimy je wszystkie! – zawtórował sierżantowi Oru. Jego muskularna, orcza dłoń opadła z hukiem na blat i obudziła pijanego Bernharda. Fuler w ostatniej chwili poderwał swój w połowie pusty kufel, ratując go przed wyróceniem.

– Wiecie co się stało z Brutalem? Gdzie się ukrywa? – zapytał Noel.

– Brutal... – krasnolud oparł się wygodnie i zaczął gładzić swoją brodę w zamyśleniu. – Chodzą słuchy, że jest gdzieś w dzielnicy ludzi, ale kto go tam wie... Mogli go już nawet złapać. Ta część miasta jest całkiem odcięta.

– Musimy go odszukać. Przynajmniej spróbować! – powiedziała z naciskiem Nora.

– i tak zrobimy! – potwierdził sierżant bez chwili wahania. – Jak tylko Bernhard nieco wytrzeźwieje. – Wskazał śpiącego na stole człowieka. – Będziemy potrzebowali jego pomocy. a do tego czasu... hic!... pijcie, jedzcie i odpoczywajcie. Wszystkim nam przyda się trochę odpoczynku.

Kolacja w krasnoludzkim wydaniu była bardzo syta. Obowiązkowym dodatkiem do niej była gorzałka, dzięki której dania zyskiwały jeszcze bardziej na walorach smakowych. Tłuste, pieczone mięsiwa, kiszzone ogórki i grube pajdy chleba znikwały prędko z talerzy strażników, tak samo jak w kuflach i kieliszkach ubywało im napojów.

Noel nie wypił wiele, przynajmniej jeśli przyrównać go do sierżanta i członków jego oddziału. Za to już po pierwszym kęsie mięsa poczuł, jak bardzo był głodny. Nora nie skosztowała nawet krasnoludzkich napitków. Woląca zachować trzeźwość umysłu. Poza tym, nigdy wcześniej nie piła alkoholu. Widok bełkoczących i ledwo utrzymujących się w pionie towarzyszy wcale jej do takich doznań nie zachęcał. Nasyciła za to pusty żołądek, który już od pewnego czasu domagał się od niej jedzenia.

Noc spędzili na piętrze browaru, gdzie przewidziano kilka pokoi dla co bardziej pijanych klientów. Nie były to może luksusowe apartamenty, ale spełniały wszelkie niezbędne standardy – miały łóżka i kawałek wolnej podłogi, na którym można było się zdrzemnąć w sytuacji, gdyby dojdzie do pryczy okazało się zbyt wielkim wyzwaniem.

Noel i Nora nie spali mimo późnej pory. Zastanawiali się, jaki powinien być ich kolejny krok. Przez kamienne ściany słyszeli głośne chrapanie pijanych chłopców Magniego. Płomień ustawionej na stoliku lampy palił się spokojnie, rozświetlając tonące w półmroku pomieszczenie.

– Ci słudzy hrabiego... – słowa trola wyrwały Norę z zamyślenia.
– Skoro potrafi ożywić pustą zbroję, to myślisz, że poradziłby sobie także z czymś znacznie większym?

Gnomka spojrzała w płomień lampy i zastanowiła się przez chwilę.

– Masz na myśli tytany? Nie wiem. To chyba możliwe – odparła po namyśle.

– Jeżeli to faktycznie on za tym stoi... Nie wiem jak uda nam się go powstrzymać.

Ton głosu partnera wydał się Norze dziwny. Noel jak dotąd wydawał się być bardzo pewny siebie, czasem wręcz arogancki. Znała go wprawdzie tylko od kilku dni, ale to on zawsze wiedział, co trzeba zrobić. Prowadził ich bez wahania, a teraz... Wpatrywał się z pochyloną głową w bandaż na swoich dłoniach, jakby szukał w nich odpowiedzi na dręczące go pytania. Sprawiał wrażenie bezsilnego i zagubionego.

– Po pierwsze, musimy znaleźć kapitana Baelora – Nora celowo wypowiedziała te słowa z naciskiem, żeby oderwać trola od jego ponurych myśli. – Po drugie, musimy ustalić, kto jest za to wszystko odpowiedzialny i powstrzymać go.

Noel uniósł głowę i spojrzał na nią.

– Nikt inny tego za nas nie robi. Wiesz o tym – powiedziała twardo, patrząc mu prosto w oczy.

– Masz rację, mała – przytaknął po chwili. – Masz rację. Spróbujmy się trochę przespać. – Zdmuchnął płomień lampy i podwinął sobie koc pod głowę.

Kamienna podłoga nie była zbyt przytulna, ale ułożył się na niej tak wygodnie, jak tylko było to możliwe.

Nora nie zdziwiła się ani trochę, gdy po chwili do chóru głośnego chrapania dołączył i głos Noela. Ich pokój nie był zbyt okazały, ale

byli oboje już tak zmęczeni, że wcale im to nie przeszkadzało. Potrzebowali odpoczynku po wszystkim, co ostatnio przeszli.

Gnomka obróciła się na drugi bok i zamknęła oczy. Nie minęła długa chwila, a i ona odpłynęła w sen.

Czuła żar bijący od rzeki magmy. Słyszała szczęk żelaza. Zebrane w kuźniach tytany nie stały w szeregach, lecz tworzyły zamknięty krąg. Ich głowy były pochylone, a buzujące ogniem oczy zdawały się przyglądać walce Noela z elfką.

Trol uderzał raz za razem, ale zabójczyni bez trudu unikała jego ataków. Poruszała się lekko i zwinnie, jej ruchy przypominały taniec. Okrążała trola, robiła skłony i piruety, przeskakiwała nad jego niezdarnymi ciosami. Każde cięcie jej ostrza zostawiało na skórze strażnika podłużną ranę, z której wydobywał się ogień. Noel zdawał się na to nie zważać, rzucił się na nią z furią, a ziemia drgała pod siłą jego ciosów.

Nora stała jak sparaliżowana i obserwowała ich starcie. Przypomniała sobie o Iskierce i sięgnęła ręką pod płaszcz, ale jej wynalazku tam nie było. Zaczęła desperacko sprawdzać kieszenie, zaglądała do każdej po dwa razy, ale nic nie znalazła.

Ciało jej partnera pokrywało coraz więcej ran, ogień powoli pochłaniał go całego.

Wpadła w panikę.

Chciała krzyknąć, ale z jej gardła nie wydobywał się dźwięk. Zdjęła swój płaszcz i jeszcze raz zaczęła przeglądać każdą kieszonkę. Wszystkie były puste. Nie miała przy sobie swoich wynalazków ani narzędzi.

Noel spojrzał na nią błagalnym wzrokiem.

Zobaczyła, jak elfka zadaje mu ostateczny cios. Jej partnera otoczyła kula światła i zniknął nagle, strawiony przez płomień.

Zabójczynie śmiała się głośno, a jej głos był pełen zimnego okrucieństwa.

Nora nie mogła się poruszyć. Patrzyła bezradnie, jak elfka zmierza w jej kierunku. w końcu stanęła nad nią i wzniosła wysoko ostrze, a kiedy zaczęło opadać, gnomkę oślepił blask...

Obudziła się wystraszona i natychmiast poderwała z łóżka. Rozejrzała się po pomieszczeniu, ale nie dostrzegła nigdzie Noela. Przez małe okienko wpadało światło ulicznych lamp. Zwiastun nowego dnia.

– To tylko sen. – Odetchnęła z ulgą. – Tylko zły sen.

Nie czuła się wyspana. Włosy lepiły się do mokrego od potu czoła. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz się kąpała.

Podeszła do stojącej pod ścianą miski i obmyła twarz. Chłodna woda przyniosła przynajmniej chwilowe uczucie świeżości.

Wydawało jej się, że słyszy jakieś głosy dobiegające z dołu. Odbijały się echem od kamiennych ścian i stłumione przenikały przez drzwi. Była prawie pewna, że rozpoznaje głos sierżanta Magniego, ale słowa były niewyraźne.

Dopiero kiedy wyszła na korytarz usłyszała, jak krasnolud opowiada coś, a pozostali wtórują mu rechotem.

No tak. Oczywiście wstałam jako ostatnia.

Wróciła do pokoju. Zapięła na biodrach swój pas z narzędziami, który otrzymała od ojca w dniu ukończenia Akademii. Był szeroki i wykonany z grubej, utwardzanej skóry, dzięki której zachowywał sztywność i ułatwiał noszenie ciężkich rzeczy. Na całej długości miał liczne kieszonki, skrytki i zapięcia, w których można było nosić

przydatne drobiazgi. Dawniej takie pasy były dość popularne wśród gnomich inżynierów, ale obecnie możliwości ich wyrobu były znacznie ograniczone.

Zarzuciła na siebie niebieski płaszcz i zeszła na dół. Pozostali siedzieli na sofie w alkierzu. Lokal był jeszcze zamknięty i nie licząc barmana, byli w nim całkiem sami.

– Nareszcie wstałaś – przywitał ją Noel z pogodnym uśmiechem.

– Mogłeś mnie obudzić – odpowiedziała mu markotnie.

– Po co? Naradzaliśmy się z chłopcami, a ty mogłaś odpocząć.

– Ano! Nawet mamy już gotowy plan! – ryknął wesoło Magni. – Siadaj, maleńka. Wszystko ci wyłożymy.

Nora usiadła pomiędzy Fulerem i trzymającym się za głowę Bernhardem, którego najwyraźniej męczył dziś potworny kac.

– No to jeszcze raz – zaczął Magni. – Plan jest prosty jak budowa cepa. Ty, Noel i Bernhard wybierzecie się do dzielnicy ludzi, poszukacie tam Brutala i sprowadzicie go tutaj. Tymczasem ja i reszta... – Magni zrobił pauzę i uśmiechnął się szelmowsko. – Pokażemy tym czarnym bobkom, gdzie ich miejsce.

– Kolejny punkt zebrania... Niech sprawdzę... Ach tak! Narastają niepokoje w dzielnicy krasnoludów, na fermach niziołków i w sadzawce jaszczuroludzi – wyliczał sekretarz Torfin z nosem ukrytym pomiędzy stronicami grubej książki.

Był już bardzo starym gnomem, swoją funkcję pełnił od prawie siedemdziesięciu lat. Chociaż nosił okulary o grubych szkiełkach, to i tak dokumenty czytać musiał niemal wodząc nosem po kartkach.

– Niepokoje? – zapytał ze spokojem hrabia.

– Niech spojrzę... – Palec sekretarza zaczął szukać na stronach właściwych ustępów. – Ludzie odmawiają służbom porządkowym wstępu do swojej części miasta. Zablokowali mosty barykadami i ogłosili działania władz... próbą zmiany ustroju i tyranią... – gnom zawiesił głos na ostatnim słowie.

Wychylił nos z księgi, by spojrzeć na hrabiego.

Manfred von Richtenstein cechował się tym rodzajem spokoju, który innych wprawia w zakłopotanie. Wszyscy zebrani patrzyli na wampira w napięciu. w końcu jego paznokcie zastukały o blat kamiennego stołu, przy którym obradowała rada.

– Niziołki wstrzymały dostawy żywności... – kontynuował Torfin. – Żądają wypuszczenia z lochu aresztantów, których zatrzymano na targowisku. Jaszczuroludzie nie zgadzają się na tymczasowe przesiedlenie...

– Co jeszcze? – dopytał zniecierpliwiony hrabia.

– Otrzymaliśmy wiadomość od gobińskich karteli... Napisano w niej, że każdy nieumarły, który zbliży się do ich dzielnicy, zostanie zniszczony. Brak podpisu na dokumencie. – Torfin ponownie spojrzął na przewodniczącego znad księgi.

– Kontynuuj – ponaglił wampir.

– Uroczysko ogłosiło proklamację, w której oddziela się od naszego miasta. Driada Andeith przyjęła na siebie obowiązki zaginionego przed kilkoma dniami, dotychczasowego Opiekuna Uroczyska, druida Puchacza.

– Zaginionego?

– Nikt go nie widział od czasu ostatniego zebrania rady.

Palce przewodniczącego zaczęły bębnić coraz mocniej o stół. Sekretarz zwilżył usta językiem i kontynuował.

– w obozie orczej hordy zaczęły odzywać się wojenne bębny. Nowy herszt, Gulgor, oskarża jednego z agentów hrabiego o zamordowanie swojego poprzednika, herszta Morro. Dostaliśmy też wiele skarg od okolicznych mieszkańców na hałas, jaki robią bębny...

– Wystarczy – przerwał mu wampir.

Spojrzenie zimnych, błękitnych oczu hrabiego przesuwano się po twarzach radnych.

Sala audiencyjna, w której obradowali, pomieściłaby ponad trzysta osób. w tej chwili przebywało w niej tylko sześć. Poza przewodniczącym i sekretarzem, przy stole siedziała czwórka reprezentantów dzielnic.

Krępy krasnolud, którego kasztanowa broda sięgała niemal do samej ziemi, nazywał się Beori Brahn. Tuż obok niego zasiadał Bilbert Proutfoot, przedstawiciel społeczności niziołków. Miejsce naprzeciw niego zajmował otyły kapłan jaszczuroludzi imieniem Ashar, który dłubał sobie paznokciem w szpiczastych zębach. Ostatnim z radnych był mistrz Tarik z Gnomiej Akademii Technicznej, który zasiadał dokładnie naprzeciw hrabiego. Pozostałe miejsca były puste.

– Czy panowie radni mają mi coś do powiedzenia? – zapytał hrabia.

Zebrani popatrzyli po sobie, unikając wzroku hrabiego.

– Nie chcemy czarnych w naszej dzielnicy! – odezwał się jako pierwszy krasnolud.

– Wchodzą do naszych domów! – uniósł się radny Bilbert. – Nie pytają nawet o zgodę! Porywają mieszkańców, są brutalni i nie udzielają żadnych informacji! Nie tak to miało wyglądać, hrabio! – Niziołek uderzył drobną dłonią o stół.

Pewność siebie natychmiast go jednak opuściła, kiedy wampir skierował na niego swe zimne spojrzenie. Hrabia podniósł się ze swojego krzesła, ustawionego tuż pod królewskim tronem i zaczął okręzać stół wolnym krokiem. Jego blada dłoń przesuwała się po poręczach mijanych krzesel, a czerwona peleryna sunęła za nim po ziemi.

Radni nie próbowali nawet się do niego odwracać, kiedy przechodził obok nich. Spojrzenie przewodniczącego, choć obcowali z nim nie po raz pierwszy, wywoływało u nich ciarki na plecach.

– Moje sługi nie mają tyle subtelności, co Straż Miejska, ale są skuteczne – głos Manfreda rozbrzmiał donośnie po ogromnej sali. – Nie męczą się i nie odpoczywają. Nie można ich przekupić, ani przekonać do jakichkolwiek ustępstw. Są odporne na próby perswazji i nie działają pod wpływem emocji. Wszelkie uroki, magiczne czy kobiece, nie wywierają na nich skutku...

– Ten wspomniany brak subtelności jest właśnie problemem, hrabio – przerwał przewodniczącemu Bilbert. – Pańskie sługi wywlekają naszych sąsiadów z domów, zabierają ich bez słowa wyjaśnienia...

Manfred zatrzymał się i zmroził niziołka spojrzeniem.

– Zabierają wyłącznie osoby, które są podejrzane o dokonywanie przestępstw, współpracę z wywrotowcami, lub pomoc zbiegłym – odparł ostro hrabia.

Bilbert skurczył się w swoim krześle.

– Subtelność to słabość – kontynuował wampir. – Nie jest niczym innym, jak przeszkodą, którą należy usunąć. – Popatrzył po zebranych i widząc ich spuszczone głowy, powrócił do swojego krzesła. – Mamy szansę skończyć z korupcją, pobłażaniem przestępcom i samowolą.

Dość już pijanych krasnoludów w mundurach i niekompetentnych idiotów z przywilejami.

– Hej! – oburzył się Beori.

Hrabia jednak kontynuował, nie zwracając na niego uwagi.

– Mamy szansę naprawić szkody, które wyrządziła Straż Miejska.

Nie zaprzepaszczę tej możliwości tylko dlatego, że komuś nie podoba się stanowczość moich działań.

– Tak nie można, hrabio! – zaprotestował Ashar. – To wbrew całej idei powołania tej rady.

– Nie możemy się na to zgodzić – poparł Bilbert.

Manfred westchnął. Płomienie lamp na ścianach zadrżały, jakby poruszone jego oddechem.

– Jeśli rada nie wesprze mnie w moich próbach ratowania miasta, będę zmuszony zawiesić obrady – obwieścił ostrym tonem.

Przy stole zapadła cisza. Beori rozejrzał się po twarzach pozostałych. Na jego twarzy rosło oburzenie i gniew. w końcu uderzył pięścią w stół, podniósł się i bez słowa skierował do wyjścia. Bilbert i Ashar po chwili poszli jego śladem, wstali i opuścili salę nawet się nie oglądając. Hrabia nie patrzył na nich. Siedział przy stole ze spuszczoną głową.

– Mistrzu Tariku – zwrócił się do gnoma, nie podnosząc na niego wzroku. – Obrady można już chyba uznać za zakończone.

Stary gnom przez chwilę przyglądał się w milczeniu hrabiemu.

– Czy wiesz, Manfredzie, czemu ma służyć prawo? – zapytał, wstając z krzesła.

Wampir spojrzał pytająco na sędziwego inżyniera.

– Prawo powinno chronić mieszkańców i dbać o prawidłowe funkcjonowanie miasta, czyż nie? – Pod siwymi wąsami gnoma wyrósł

lekki uśmiech. – Rozejrzyj się po tej pustej sali Manfredzie i zapytaj sam siebie, komu służy prawo, które wprowadzasz.

Hrabia nie odpowiedział. Patrzył na odchodzącego uczonego, póki ten nie zniknął za drzwiami.

Nowy porządek

Kiedy Magni skończył wyklądać swój plan, Nora nie wyglądała na przekonaną. Odniosła wrażenie, że koncepcja krasnoluda jest mało precyzyjna i opiera się głównie na niepotwierdzonych założeniach. w tej chwili jednak, jak stwierdził Noel, nic lepszego nie mieli.

Wyruszyli z Bernhardem zaraz po śniadaniu. Ludzie zajmowali obszar miasta, w którym dawniej mieściła się dzielnica kupiecka. Aby do niej dotrzeć, trzeba było przejść przez jeden z kilku mostów nad Rzeką Ognia, która dzieliła Czeluść na dwie połowy. Wybrali oczywiście ten najbliższy – Most Bohaterów, nazwany tak na cześć krasnoludzkich wojowników, poległych w zwycięskiej bitwie z orkami na przełęczy Grzmiącego Młota.

Obie balustrady mostu, na całej długości, zdobiły posągi wojowników. Rzeźbiarze nadali krasnoludom takie pozy, jakby wyrwano ich prosto z toczącej się bitwy. Wznosili młoty, topory i tarcze, gotowi do zaciętej walki.

Patrząc na nie Nora zastanawiała się, czy ktoś poza krasnoludami i kronikarzami wiedział, gdzie znajdowała się przełęcz Grzmiącego Młota i o co w ogóle toczyła się w niej bitwa.

Byli już w połowie drogi przez most, kiedy dostrzegli, że przejście na drugim końcu blokuje strzeżona przez gwardzistów barykada. Bernhard natychmiast rozpoznał herby na tunikach ludzi, którzy pilnowali przejścia i zaklął cicho.

– Stać! – krzyknął do strażników młody chłopak, najwyżej dwudziestoletni. Miał na sobie kolczugę z czerwoną tuniką. Zdobiący ją herb przedstawiał zaciśniętą stalową pięść. Na głowie nosił połyskujący kapalin o szerokim rondzie, który wydawał się o wiele za

duży. Przez to opadał na oczy za każdym razem, gdy tylko młody gwardzista poruszył głową.

– Nikt nie ma wstępu do dzielnicy! Rozkaz Wielkiego Inkwizytora!

– Wielkiego kogo? – zapytał zbity z tropu Noel.

– Wielkiego Inkwizytora – podpowiedział szeptem Bernhard. – Oni są z Zakonu Żelaznej Pięści. Fanatycy i łowcy czarownic.

– Zawracajcie i nie róbcie kłopotów! – krzyknął głośno chłopak i uderzył drzewcem halabardy o bruk, żeby podkreślić powagę swoich słów.

Efekt był nieco komiczny, ponieważ hełm znowu osunął mu się na oczy. Gwardzista zaklął cicho i natychmiast go poprawił.

– Słudzy Zakonni! Jam jest Sir Bernhard, syn i dziedzic barona Rafharda Czarnego, pana na wschodnim kwartale! – Bernhard podszedł pewnym krokiem do halabardnika i spojrzał mu prosto w oczy, zadzierając przy tym dumnie brodę. – Jakim prawem bronicie wstępu mnie i moim wasalom? – zapytał i wskazał ręką na swoich towarzyszy.

– Syn barona Rafharda Czarnego? Nie poznałem cię panie! – zawahał się młody zakonnik. – Was oczywiście zakaz nie dotyczy, droga przed wami wolna.

– Czemu wielki Inkwizytor broni wstępu do dzielnicy? – nie ustępował Bernhard.

– To przez tych nieumarłych, Sir... Chodzą po domach, ludzi wyłapują, nagonki robią. My ich do naszej dzielnicy nie wpuścimy! Wielki Inkwizytor zapowiedział, że żaden nieumarły granicy naszych ziem nie przekroczy!

Chłopak stuknął mocno halabardą i hełm znowu opadł mu na oczy, przesłaniając cały świat. Bernhard pokiwał głową i gestem dłoni

dał znak towarzyszom, żeby czym prędzej wyminęli zbudowaną z rupieci barykadę.

– Jak cię zwa, młodzieńcze? – zapytał zakonnik.

– Brat służebny Gwidon z Czwartej Działki. – odparł halabardnik, kiedy poprawił już hełm na głowie.

– Syn rycerza zakonnego, Sir Brandona z Czwartej Działki?

– Znacie mego ojca, panie? – zdziwił się chłopak.

– Tylko przelotnie – odparł Bernhard. – Spotkaliśmy się na procesie Helgi Dunworth, którą Wielki Inkwizytor oskarżał swego czasu o rzucanie uroków na braci zakonnych. Twój ojciec, jak pamiętam, z wielkim zaangażowaniem przekonywał o jej winie.

– Zaiste! – przypomniał sobie chłopak. – Ojciec był jednym z tych, na których wiedźma rzuciła wtedy urok! Miała za to spłonąć, ale baron... Znaczący, twój ojciec Panie, nie dał wiary oskarżeniom i puścił ją wolno!

– Zaiste. – Bernhard pokiwał głową z uśmiechem. – Uroda poczciwej Helgi roztaczała rzeczywiście urok, ale zdecydowanie nie taki, o jaki posądzał ją Inkwizytor.

Młody halabardnik, najwyraźniej nie pojmując, podrapał się po głowie i spojrzał na Bernharda pytającym wzrokiem.

– No nic, mniejsza o to – odchrząknął Bernhard. – Pozdrów proszę Sir Brandona, twego ojca. Jestem pewien, że po tamtym procesie twoja matka znacznie podniosła mu odporność na uroki.

– Tak zrobię! – odparł żwawo młodzieniec.

– Świetnie się tu spisujesz. Wykonuj dalej swoją służbę, młodzieńcze – pochwalił chłopaka Bernhard i ominął barykadę.

– Tak zrobię, Sir! – krzyknął za nim Gwidon, lecz Bernhard i jego świta znikali już za zakrętem.

Jak tylko most i gwardziści zostali z tyłu, drużyna zwolniła nieco kroku. Budynki w tej części miasta przypominały te z dzielnicy krasnoludzkiej, ale były od nich nieco większe, ponieważ dawniej mieściły się w nich składy kupieckie.

– Naprawdę jesteś rycerzem? Synem barona? – zapytała Nora swego towarzysza, gdy przez jakiś czas szli w milczeniu.

– Jasne – odparł jej Bernhard z uśmiechem. – Dziwisz się pewnie, co syn barona robi w Straży Miejskiej?

Gnomka przytaknęła lekko, niepewna czy powinna zadawać podobne pytanie.

– Uwierz mi, tutaj bycie szlachetnie urodzonym to nic takiego. Gdzie nie spluniesz, to trafisz jakiegoś rycerza. Większość z tych, którym po wojnie udało się umknąć przed elfami, była szlachetnie urodzona. Teraz niemal wszyscy są tu ze sobą spokrewnieni i ciężko znaleźć kogokolwiek, kto nie ma w sobie choćby domieszki błękitnej krwi.

Bernhard zamilkł na moment i podrapał swoją brodę w wyraźnym zamyśleniu.

– Jak się nad tym zastanowić... – kontynuował po chwili. – To właśnie dlatego wstąpiłem do Straży. w niej czułem się... wyjątkowy. Rozumiesz co mam na myśli?

Nora doskonale wiedziała, o czym mówi jej towarzysz. Ona sama była jedyną gnomką w Straży. Bernhard, podobnie jak ona, chciał zrobić coś innego niż wszyscy. Pójść drogą, którą sam dla siebie wybrał.

– Cieszę się, że jesteś z nami, Sir Bernhardzie – odpowiedziała mu z uśmiechem.

– Co to za heca z tą całą inkwizycją? – zmienił temat Noel.

– Raczej nie dawałbym wiary w ich dobre intencje – odparł Bernhard z kwaśną miną. – Pewnie ten stary pierdziel, Wielki Inkwizytor, wyniuchał w końcu okazję, by wznieść jeszcze wyżej swój sparciały tyłek w hierarchii społecznej.

– Powinniśmy uważać? – zapytał szeptem Noel, gdy mijał ich patrol uzbrojonych zakonników.

– Lepiej trzymajcie się blisko mnie.

Bernhard poprowadził ich na zatłoczony rynek. w dzielnicy trwał właśnie festyn. Było to wielkie wydarzenie w życiu małej, ludzkiej społeczności, tradycyjnie organizowane z początkiem wiosny każdego roku.

Na rynku rozstawiali wtedy swoje kramy żądni zysku kupcy, a okoliczne cechy wysyłały czeladników, by prezentowali pełne kunsztu wyroby swoich mistrzów. Na placu, w wielkim półkolu, ustawiono kolorowe stragany, wokół których krzątali się mieszczanie.

W powietrzu unosił się smakowity zapach z garkuchni, a pomiędzy zebranych tłumem dawali występy trefnisie i połykacze ognia. w samym centrum placu – co jak zauważył Bernhard, było nowością – stał ustawiony pionowo drewniany pał, którego strzegło kilku zakonników w czerwonych tunikach.

Noel i Nora szybko przekonali się, że widok trola i gnomki przyciąga uwagę zebranego na rynku tłumu. Idąc przez plac słyszeli wokół szepty i widzieli, jak ludzie wytykają ich palcami. Bernhard zdawał się nie zwracać na to uwagi i kroczył z dumnie uniesioną głową. Pozostali podążali za nim jak cienie.

– Nie wyglądają na zbyt przyjacielskich – burknął trol.

– Coś mi się wydaje, że głupoty, które Wielki Inkwizytor papla od lat, w końcu trafiły na podatny grunt – zgodził się z nim cicho

Bernhard.

– Co masz na myśli? – zapytała Nora.

– Kiedy nastaje chaos i ludzie się boją, najłatwiej zapanować nad nimi wskazując palcem winnych. w tym wypadku padło najwyraźniej na każdego, kto nie jest człowiekiem.

– Nie podoba mi się to – skwitował Noel, patrząc na tłum wykrzywionych w pogardzie twarzy.

– Bez obaw, jesteście ze mną, a mnie ludzie znają. Celowo tak stroszę się jak dumny paw. Nikt nie powinien nawet ośmielić się zaczepić syna barona i jego świty.

– Masz jakiś pomysł, gdzie szukać Baelora? – zapytała Nora.

– Wiem, że Brutal odwiedzał tu często swojego przyjaciela. Mieszka tu niedaleko, zaraz przy rynku.

Minęli stoisko z kolorowymi amforami, po brzegi wypełnionymi oliwą i kolejne, otoczone przez dzieci, na którym jakiś kupiec prezentował kolekcję ołowianych rycerzyków. Przechodzili obok straganów płatnerzy, kowali, lalkarzy, jubilerów, szewców, krawców i wielu innych, zanim wreszcie dotarli do końca gwarne placu.

Dom, pod który przyprowadził ich Bernhard, nie wyróżniał się zanadto od innych. Na masywnych drzwiach zawieszono piękną kołatkę w kształcie wilczego łba, trzymającego w paszczy żelazny pierścień.

Rycerz zastukał nią kilka razy.

– Kto tam? – dobiegł głos ze środka.

– Sir Bernhard, syn barona Rafharda Czarnego! – krzyknął strażnik, ale odpowiedziała mu tylko cisza. Przysunął się bliżej drzwi i spróbował ponownie. – Pracujemy dla pańskiego przyjaciela! Proszę nas wpuścić, Sir Bartolomew!

Drzwi uchylły się lekko i wyjrzała zza nich pomarszczona twarz siwobrodego staruszka. Bernhard cofnął się trochę, żeby nie wystraszyć gospodarza.

– Sir Bartolomew, jesteśmy przyjaciółmi kapitana Baelora – powiedział cicho. – My także służymy w Straży Miejskiej.

– Prędko! Wchodźcie! Tam nie jest bezpiecznie! – Staruszek ponaglił ich szybkim machnięciem ręki.

Kiedy weszli, zatrzasnął za nimi drzwi i zasunął rygiel. Większość krasnoludzkich domów była bardzo podobna, bezpośrednio z ulicy wchodziło się wprost do salonu. Ten był urządzone bardzo przytulnie. Na kanapie rozłożone były koce i poduszki. Drewniany stolik okrywał zielony obrus, a regał stojący pod ścianą zastawiono książkami. Uwagę Nory przyciągnęły dwa staromodne samopały zawieszane na jednej ze ścian. Krzyżowały się nad zawieszonym niżej srebrnym rapierem.

– Zamki kapiszonowe. Profilowana dębowa rękojeść. Znacznie wydłużona względem standardowej lufa. Bardzo ciekawe egzemplarze – podsumowała Nora, gdy przyjrzała im się dokładniej.

– Są w mojej rodzinie od pokoleń – Sir Bartolomew podszedł wolnym krokiem do kanapy, na której rozsiadł się wygodnie. – Zwróć uwagę na grawer, młoda damo.

Nora stanęła na palcach, żeby przyrzeć się dokładniej samopałom.

– To wilkołak, herb mojej rodziny – odpowiedział jej starzec. Podniósł ze stolika parującą jeszcze herbatę i zamieszał ją powoli łyżeczką.

– Miał pan aż tylu wilkołaków w rodzinie? – zapytała z zaciekawieniem gnomka.

– Ależ nie! – Zaśmiał się gospodarz. – Moi przodkowie na nie polowali. Wywodzę się z długiej linii królewskich łowczych, młoda damo. Zadaniem mojej rodziny było tropienie i zabijanie likantropów, lub też wilkołaków, jak się ich często określa – wyjaśnił Sir Bartolomew, gdy dostrzegł zakłopotaną minę gnomki.

– Wiem, kim są likantropy, panie Bartolomew, tylko... – zaczęła niepewnie Nora.

– Bernhard, jesteś pewien, że nie pomyliłeś domów? – zapytał Noel.

– Nie obawiajcie się – odparł z uśmiechem Bernhard. – Od wieków nikt już nie poluje na wilkołaki, wampiry i inne stwory.

– Powiedz to Wielkiemu Inkwizytorowi – zachnął się gniewnie Sir Bartolomew i wskazał na drzwi swego domu. – Ten przeklęty Zakon jest na dobrej drodze, żeby wprowadzić nas znowu w czasy ciemnogrodu.

– Więc pan naprawdę przyjaźni się z kapitanem Baelorem? – Nora przysiadła na kanapie obok łowczego.

– Aż tak cię to dziwi, młoda damo? – starzec odpowiedział jej z uśmiechem. – Wiem bardzo dużo o wilkołakach. Moi przodkowie zostawili mi księgi, opisy, opowiadania, relacje z pierwszej ręki...

Bartolomew zamyślił się na chwilę. Nie odrywał wzroku od kubka z herbatą, jakby szukał czegoś we wspomnieniach.

– Tak naprawdę... z Baelorem dogadywałem się chyba lepiej, niż ze swoimi sąsiadami – dodał po chwili zastanowienia.

– Sir Bartolomew, musimy koniecznie znaleźć kapitana. Czy wie pan gdzie on teraz jest? – zapytał Bernhard.

Staruszek odstawił herbatę na stolik i westchnął ciężko.

– Był tu jeszcze niedawno. Po tym, jak uciekł przed aresztowaniem, schronił się u mnie. To było jeszcze zanim Zakon zaczął ten cały cyrk. Przed tymi wszystkimi barykadami i patrolami. – Łowczy zwiesił smutno głowę. – Zatrzymał się u mnie, bo myślał, że będzie tu bezpieczny. i był, przynajmniej przez jakiś czas. Ktoś musiał go zobaczyć i donieść Inkwizytorowi. Straż zakonna przyszła w nocy. Nie mogłem ich powstrzymać. Nie dałem rady.

– Zabrali Brutala? – Noel poczuł, jak przyśpiesza mu tętno – Dokąd? Co z nim zrobili?

– Widzieliście ten pał ustawiony na rynku? – zapytał staruszek. – To właśnie dla niego. Nie wiem, gdzie go teraz trzymają, pewnie w siedzibie Zakonu. – Sir Bartolomew uniósł głowę i spojrzął w oczy Bernharda. – Mają go spalić na rynku. o zmierzchu.

– Spalić? Spalić kapitana Baelora? – Nora była w szoku. – Nie mają prawa tego zrobić! Przecież to jest... To jest...

– Ludzkie – dokończył za nią staruszek, a jego pięści zacisnęły się ze złości. – To cała kwintesencja ludzkiego charakteru, młoda damo. Zabić i zniszczyć wszystko, co jest inne.

– Ale przecież nie mają prawa! – Gnomkę przepełniała złość.

– Zakon jest tu teraz prawem. Inkwizytor uznał, że ludzie powinni rządzić całym miastem. Każdy kto stoi temu na drodze, jest wrogiem. Nikt mu się nie sprzeciwi.

– Nikt? – oburzył się Bernhard. – To się jeszcze okaże!

Rycerz wstał z kanapy i podszedł do drzwi. Uchylił je delikatnie i wyjrzał ostrożnie przez szparę.

– Chyba mam plan – powiedział po chwili, a na jego twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech.

Kiedy zbliżał się już zmierzch, kupcy i rzemieślnicy zaczęli powoli zwijać stragany i chować porozkładane towary. Niektórzy ładowali je na wózki, inni pakowali je do skrzyń lub worków. Tragarze uwijali się i zanosili gotowe pakunki z powrotem do sklepów i cechów. Tymczasem tłum mieszczan zebrał się w centrum rynku, gdzie w odległości kilku metrów od sterzącego pionowo pala, ustawiono prowizoryczny podest z kilku drewnianych skrzyń.

Odziani w czerwone tuniki rycerze zakonni utworzyli kordon w kształcie półkola, który miał powstrzymać tłum przed podejściem zbyt blisko.

Po całym rynku rozchodziły się szepty i nerwowe rozmowy. Mieszczanie z napięciem wyczekiwali zapowiedzianego przez Zakon wydarzenia. Ciężko było rozróżnić panujące w tłumie nastroje. Jedni zdawali się bardzo podekscytowani, inni sprawiali wrażenie złęczonych. Głosy poparcia mieszały się z tymi pełnymi sprzeciwu. w nielicznych przypadkach spory były tak gwałtowne, że dochodziło do nagłych krwotoków z nosa, wypadania zębów, sińców i innych typowych dla dysput politycznych dolegliwości.

Mimo różnic w poglądach, wszystkich zebranych coś jednak łączyło. Byli ciekawi. To czego mieli być świadkami, miało wpłynąć na dalsze losy miasta. Chcieli przy tym być. Patrzeć i uczestniczyć w tworzeniu historii.

Unoszący się nad placem gwar ucichł nagle, gdy odezwał się dzwon obwieszczający nadejście nocy.

Twarze zwróciły się w stronę wylotu ulicy. Nadchodzący pochód otwierał sam Wielki Inkwizytor. Miał na sobie długą, czerwoną szatę, zdobioną na brzegach złotymi haftami i wyszytym na piersi symbolem zaciśniętej stalowej pięści.

Chociaż człowiek ten dobiegał już prawie do siedemdziesiątki, tego dnia wyglądał na przepelnionego wigorem. Szedł wyprostowany, lekkim krokiem i zadzierał do góry brodę. Jego głowę okrywała szpiczasta mitra, której barwy idealnie komponowały się z resztą czerwono-złotego ubioru.

Tuż za nim kroczyli dwaj templariusze, jego osobista gwardia. Ich paradne zbroje ozdobione złotymi grawerunkami i błyszczały w świetle lamp. Barwne pióropusze na hełmach falowały przy każdym kroku.

Pochód przeszedł wzdłuż linii zebranych mieszczan i zatoczył półkole wokół ustawionego na środku pala. Głębiej w tłumie można było usłyszeć ciche szepty, ale ludzie stojący bliżej nie śmieli się odezwać.

Inkwizytor zatrzymał się tuż pod podestem i zaklął w duchu. Skrzynie były za wysokie, by dało się swobodnie po nich wejść.

Banda niekompetentnych idiotów!

Podwinął sięgającą ziemi szatę i zaczął wspinać się nieporadnie na podest. Nie był już młody, więc musiał pomóc sobie rękoma.

Kilka osób w tłumie zaśmiało się głośno, jednak karcące spojrzenia braci zakonnych natychmiast przywróciły porządek.

Kiedy Inkwizytor stanął już na szczycie, wyciągnął dłonie w stronę tłumu i na całym rynku zapanowała kompletna cisza.

– Wielu spośród was nie obchodzi los tego miasta – przemówił karcącym tonem. – Nie macie nic przeciwko temu, by rządziły nami bestie. BESTIE! – krzyknął gniewnie, a z kącika jego ust pociekło trochę śliny. – Wampiry, orki, gobliny, wilkołaki, krasnoludy... – wyliczał powoli, po każdym słowie robiąc krótką przerwę.

Jego srogi wzrok wędrował po twarzach zebranych na placu ludzi.

– Bestie, z którymi walczyli przez wieki nasi ojcowie! Potwory, które mordowały naszych przodków! Monstra, którym dobrowolnie oddaliśmy panowanie nad miastem! Nie obchodziło was to, choć od lat ostrzegałem, jakie będą konsekwencje! Teraz patrzcie do czego doprowadziliście! – Wyciągnął rękę i wskazał widoczny w oddali dach królewskiego pałacu.

– Odmieńcy walczą ze sobą o władzę! Nieumarli przejmują kontrolę nad miastem! Chodzą po naszych ulicach! Wchodzą do naszych domów!

Część ludzi skuliła się pod spojrzeniem inkwizytora, zupełnie jakby zwracał się bezpośrednio do nich i odczytywał winę wprost z ich twarzy.

– Mówią, że chcą zaprowadzić porządek. Ich porządek! – Starzec przemawiał z coraz większą pasją i stojący bliżej ludzie mogli dostrzec, jak jego lewa brew podskakuje w niekontrolowanym tiku.

– Pora położyć temu kres! Pora pokazać, że ludzie są panami swego losu! Nie będziemy dłużej marionetkami! Nadszedł nasz czas! Nasza szansa! – krzyknął i wzniósł w górę zaciśniętą pięść.

Wszyscy rycerze i bracia zakonnicy natychmiast poszli jego śladem. w tłumie zebranych na placu również pojawiło się sporo wzniesionych pięści.

Wielki Inkwizytor rozglądał się z zadowoleniem. Jego usta rozciągnęły się w ledwie zauważalnym uśmiechu. Po chwili jednak znowu wybuchł kolejną porcją gniewu.

– Miasto jest w chaosie! Potrzebuje silnej i sprawiedliwej ręki! Razem położymy kres tyranii i samowoli nieumarłego! Razem

przywrócimy w mieście porządek! Jednak tym razem, to będzie nasz porządek! – krzyknął i zrobił przerwę, by nabrać głęboko powietrza. Po pełnej napięcia chwili wyciągnął pojednawczo dłonie w stronę tłumu.

– Bracia i siostry... Dobrzy i praworzadni ludzie... Musimy się zjednoczyć! Musimy być silni! Jak palce jednej dłoni! Jeśli ma zapanować nowy ład, to musimy stworzyć go wspólnie!

Widział przytakujące mu głowy i gorliwe spojrzenia, wpatrujące się w niego z oddaniem. Kilka zaciśniętych pięści wciąż wznosiło się w tłumie. Poczł się silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

– Zadajecie sobie pytanie, jak tego dokonamy? Jak ulecymy miasto z zarazy, która je toczy? Odpowiem wam! Ogniem sprawiedliwości i karzącym mieczem!

Wskazał wyjście uliczki, którą przed chwilą wszedł na rynek. Zakonnicy właśnie wprowadzali tamtędy związanego kapitana Baelora.

– Oto zdradziecka bestia, która zaprowadziła chaos w mieście! Potwór, który zapragnął władzy! Wilkołak, który naraził nas wszystkich na zgubę! Wdarł się do naszej dzielnicy i ściągnął na nas gniew nieumarłych!

Palec wskazujący Inkwizytora podążał w ślad za prowadzonym więźniem. Baelor miał związane z tyłu ręce. Był ranny i utykał, zostawiając za sobą na bruku krople krwi. Pysk okręcono mu ciasno skórzanym rzemieniem, przypominającym psi kaganiec. Przystanął na chwilę, by rozejrzeć się po zebranym wokół tłumie, ale bracia zakonni zaczęli popędzać go halabardami.

– Teraz zostanie osądzony! – grzmiał Inkwizytor. – Teraz jego zbrodnie zostaną ukarane! Będzie pierwszym, którego dotknie nasz osąd! Ogień sprawiedliwości pochłonie go i wymaże z naszej pamięci!

Tłum patrzył beczynnie, jak zakonnicy przywiązują Bealora do pala. Niektóre głowy potakiwały, gdy ukryty pod kapturem mężczyzna zaczął polewać jego futro oliwą. Inni odwracali wzrok lub cofali się dyskretnie do tyłu. Większość jednak stała i biernie obserwowała.

– Patrzcie bracia i siostry! Patrzcie uważnie! Ten ogień będzie pierwszym, na naszej drodze do wielkości! Rozpalimy światło, które rozproszy mrok sprzed naszych oczu! Ten płomień będzie symbolem...
– przemowa Inkwizytora urwała się nagle, gdy na placu rozbrzmiał głośny huk wystrzału.

Ludzie instynktownie skulili się ze strachu i zaczęli rozglądać dookoła, nie wiedząc co się dzieje. Kilka osób wyciągało ręce. Wskazywali postać na dachu pobliskiego budynku.

Sir Bartolomew stał przy samej krawędzi, tak by wszyscy na placu dobrze go widzieli. w dłoni trzymał wycelowany w górę samopał, z którego lufy unosiła się cienka smużka dymu.

Dmuchał teatralnie w wylot lufy, żeby rozwiać siwy obłoczek. Kiedy był już pewien, że skupił uwagę wszystkich zebranych, wetknął broń za pas, gdzie trzymał drugi samopał.

– Znacie mnie wszyscy! – krzyknął donośnie. – Jestem Sir Bartolomew! Królewski łowczy! Jak mój ojciec i jego ojcowie przed nim! Jeśli jest tu ktoś, kto ma prawo osądzić tego wilkołaka, to jestem to właśnie ja!

W tłumie odezwały się szmery i rozmowy. Wielki Inkwizytor dostrzegł, że część zebranych osób zaczęła przytakiwać słowom łowczego. Poczuli nagle, jak narasta w nim wściekłość.

– Nie potrzebny nam królewski łowczy! – wrzasnął. – Nie polujemy na wilkołaka! Już go schwytaliśmy! Ludzie mają prawo go osądzić!

– Osądzić? – zwrócił się do tłumu Bartolomew. – Co to za sąd, w którym więzień ma knebel na ustach? Orzekliście winę, nawet go nie wysłuchując! Gdzie w tym nowy porządek? Gdzie sprawiedliwość?

– To dzika bestia! – protestował Inkwizytor. – Żądna krwi i władzy! Gdyby nie ten kaganiec, rzuciłby się na nas z zębami!

– Jedyłą żądną krwi i władzy bestią jesteś ty, Inkwizytorze! – krzyknął ostro Sir Bartolomew i wskazał palcem stojącego na podwyższeniu zakonnika. – Mówisz o zaprowadzeniu ładu w mieście, a podburzasz ludzi do zamieszek! Nawołujesz do obalenia tyrana, a sam chcesz zająć jego miejsce!

– Kłamstwa! – wrzasnął inkwizytor do tłumu. – Ten człowiek sprzymierzył się z bestiami! Chce byśmy dalej byli ich niewolnikami!

– Niewolnikami? – zapytał drwiąco Bartolomew. – Czyimi znowu niewolnikami jesteśmy? Krasnoludów, które nas ocaliły i otworzyły przed nami bramy swego miasta? Niziołków, które uprawiają dla nas żywność? Jaszczuroludzi, oczyszczających dla nas pitną wodę z jeziora? Mieszkamy tu wszyscy już od setek lat!

Lewa brew pulsowała na twarzy Inkwizytora, jakby miała zaraz eksplodować. Zaczął schodzić z podestu, ale z gniewu i roztargnienia pospieszył się za bardzo. Przydeptał koniec szaty i spadł z ostatniego stopnia, przewracając się na ziemię. Część zebranych ludzi parsknęła śmiechem.

– Władza powinna należeć do ludzi, nie do potworów! – wrzasnął, kiedy już podniósł się na nogi.

Podszedł bliżej budynku, z którego dachu przemawiał Sir Bartolomew i zwrócił się do tłumu.

– Czy jesteście ślepi? Możemy osiągnąć wielkość! Odbudować imperium, przed którym drżały inne rasy! – krzyczał przepełniony

złością.

– i wszystko, co musimy zrobić, to uczynić cię imperatorem? – zakpił z niego łowczy. – Spójrzcie na niego, ludzie! To nie bestie burzą ład i porządek w mieście! w tym mieście nie ma żadnych bestii! To nasi sąsiedzi, z którymi żyjemy w zgodzie od stuleci! Jedyłą osobą, która chce burzyć ład, jest ten stary piernik, któremu zachciało się władzy!

Przywódcą Zakonu omiół wzrokiem tłum. Widział po twarzach zebranych, że większość ludzi zgadzała się z łowczym. Stracił ich. Jego ręce zaczęły się trząść od wzbierającego gniewu.

– Dosyć! – krzyknął do swoich gwardzistów. – Brać go! Zabić zdrajcę!

Ubrani w czerwone płaszcze zakonnicy podbiegli pod dom łowczego i zaczęli wyważać drzwi.

– Przegrałeś, stary pierdzielu! – krzyknął drwiąco Sir Bartolomew.

– Doprawdy? – Na twarzy Inkwizytora wyrósł złowrogi uśmiech. – Spalić wilkołaka! – wrzasnął i odwrócił się w stronę słupa.

Baelora już tam jednak nie było. Na ziemi leżeli nieprzytomni bracia zakonnicy, którzy jeszcze chwilę temu pilnowali skrupowanego więźnia. Sir Bartolomew zaśmiał się i wycofał, po chwili znikając z widoku.

– Zdrada! Zdrada! – krzyczał Inkwizytor i miotał wściekle pięściami.

Tłum śmiał się głośno, nie bacząc już na uzbrojonych gwardzistów. Bracia zakonnicy wciąż napierali na drzwi domu łowczego i próbowali je wyważyć.

– Na co czekacie? Znaleźć więźnia! – rozkazał Inkwizytor. – Znaleźć go i...

– Nieumarli! – nagły krzyk przebił się przez gwar. – Nieumarli nadchodzą! – Brat służebny Gwidon z Czwartej Działki wbiegł zdyszany na środek placu.

Nie miał ze sobą halabardy ani hełmu. Musiał pędzić co sił, bo pot zalewał mu czoło i skronie.

– Nieumarli nadchodzą! – wydusił z siebie, kiedy udało mu się złapać oddech. – Przerwali barykadę!

Inkwizytor i zebrani dookoła ludzie zamarli w osłupieniu.

Makita patrzyła w oczy starca, którego właśnie zabiła. Resztki sił właśnie opuszczały jego ciało. Ulatniały się razem z krwią, która obficie lała się z rozciętego gardła. Gdy upadł, wyjęła mu z ręki naładowany samopał. Nie zdążył do niej wystrzelić.

Zaledwie chwilę temu, gdy się tu zakradała, człowiek ten przemawiał z dachu swojego domu do zgromadzonego na placu tłumu. Zatrzymała się kilka kroków od niego i czekała. Dopiero, gdy skończył i zaczął iść w stronę drabiny, zaatakowała. Staruszek zdążył wprawdzie wyciągnąć nabitą broń, ale był zbyt wolny. Unieruchomiła mu nadgarstek, a drugą ręką cięła ząbkowanym ostrzem po gardle.

Odeszła od broczącego krwią trupa i wyjrzała przez krawędź dachu. Tłum zaczął się rozpierzchać, ludzie wpadali na siebie w panice. Nadchodzili słudzy hrabiego. Gwardziści w czerwonych płaszczach próbowali przedostać się do Mostu Bohaterów.

Makita zmrużyła oczy. Szukała w tym chaosie osoby, którą zgodnie z planem miała zabić. Nie było to łatwe w takiej sytuacji, ale jej elfi wzrok jeszcze nigdy jej nie zawiódł. Dostrzegła swój cel

dopiero, gdy docierał już do wyjścia z rynku. Nie był jednak sam, towarzyszył mu jakiś rycerz. Przepychali się razem w stronę alejki.

Elfka ruszyła za nimi. Przeskakiwała z dachu na dach. Żebra wciąż jej dokuczały, ale nie na tyle, by nie zdołała dogonić swojej zwierzyny. Przeskoczyła na kolejny budynek i wyjrzała ponownie na ulicę.

Tak jak się spodziewała, udało jej się wyprzedzić uciekinierów. Byli już jednak w alejce i zbliżali się z każdą chwilą.

Świetnie – pomyślała. – Tutaj nikt was nie usłyszy. Nikt wam nie przyjdzie z pomocą.

Poprawiła ułożenie zdobycznego samopału, który wetknęła sobie za pas. Zacisnęła kilka razy dłonie na rękojeściach noży i przykucnęła tuż przy krawędzi, gotowa do skoku. Jej ofiary zatrzymały się niespodziewanie, gdy zobaczyły kogoś po drugiej stronie alejki. Makita także spojrzała w tamtą stronę i natychmiast jej usta rozszerzyły się w uśmiechu.

– Zdrajca! – krzyknął Wielki Inkwizytor.

Był zlany potem i oddychał z trudem. Musiał oprzeć się o ścianę, dać swojemu ciału chwilę wytchnienia. Ledwo zdołał przebrnąć przez ogarnięty paniką tłum. Ludzie potrącali go i odpychali. Raz nawet przewrócił się i omal nie został stratowany. w jego wieku taki wysiłek był już ponad siły i gdyby nie pomoc templariusza, który ruszył mu na odsiecz, mógłby w ogóle nie dotrzeć do alejki.

– Zdrajca! – krzyknął raz jeszcze do stojącego na drugim końcu alei Bernharda, który wraz z Noelem prowadził pod ramię ранego Baelora.

– Zabij go! – wysyczał do eskortującego go zakonnika. – Zabij ich wszystkich!

Ubrany w paradną zbroję płytową templariusz przytaknął posłusznie. Odgarnął na plecy swój czerwony płaszcz i dobył miecza. Wykonał ostrzem zamaszysty młyniec i ruszył w stronę zbiegów.

Bernhard spojrzął na swojego kapitana. Baelor krwawił i utykał, o ucieczce nie mogło być mowy. Do głowy przychodziło mu tylko jedno rozwiązanie.

– Uciekajcie – powiedział do Noela. – Zatrzymam ich jak długo zdołam.

Trol chciał go powstrzymać, ale nie zdążył. Bernhard puścił kapitana i chwycił rękojeść świetlistego miecza, który Noel miał przy pasie. Wyszarpnął go i z krzykiem rzucił się do ataku na templariusza.

Zakonnik zatrzymał się i czekał na szarżującego przeciwnika. Jego ostrze było wzniesione i gotowe do sparowania ciosu. Wykorzystując impet natarcia, Bernhard wyprowadził mocne cięcie znad głowy, jednak templariusz był na to gotowy. Trzymanym oburącz mieczem odbił na bok świetlistą klingę strażnika. Natychmiast skontrował płasko, zakreślając ostrzem półkole.

Bernhard cofnął się w ostatniej chwili i uniknął zabójczego ciosu, który rozciąłby mu pierś. Wiedział, że to nie będzie łatwa walka. Rycerz zakonny miał na sobie pełną, płytową zbroję, która dawała o wiele lepszą ochronę niż kolczuga, którą nosił strażnik. Przez to był jednak o wiele wolniejszy.

Bernhard musiał znaleźć sposób, by to wykorzystać.

Templariusz wysunął się do przodu, by wyprowadzić mocne pchnięcie. Naparł całym ciałem i gdyby trafił, przebiłby strażnika na wylot. Ten jednak uchylił się i zabójczy cios przeszedł tuż obok.

Dostrzegł w tym swoją szansę i zareagował natychmiast. Odepchnął zakonnika barkiem, pozbawiając go równowagi. Templariusz musiał ratować się przed upadkiem. Na chwilę opuścił gardę.

Bernhard to wykorzystał. Zebrał w sobie całą siłę i wyprowadził cios od góry. Klinga zakreśliła świetlisty tor w powietrzu i trafiła dokładnie tam, gdzie celował strażnik. Ześlizgnęła się jednak po przyłbicy hełmu i cały impet ciosu, zamiast na głowie, skupił się na prawym barku zakonnika.

Ostrze nie przebiło wprawdzie zbroi, ale templariusz i tak odczuł ten cios. Wydał z siebie głośne jęknięcie i opadł kolano. Miecz wysunął mu się z dłoni i upadł na bruk. Bernhard podszedł do rannego wroga. Chwycił za kolorowy pióropuszczyk i silnym ruchem zerwał hełm z jego głowy. Księżycowa stal oświetliła twarz młodego chłopaka, który krył się pod zakonną zbroją. Twarz miał zlaną potem, ale w jego oczach płonęła nienawiść. Nie mógł mieć więcej, niż dwadzieścia lat.

Młody szczeniak, który uwierzył w brednie starego głupca – pomyślał Bernhard.

Mimo, że templariusz próbował go przed chwilą zabić, strażnik nie potrafił odebrać mu życia. Wpatrywał się w młode lico, na którym nie zagościł jeszcze nawet pierwszy zarost. Zawahał się i opuścił miecz, a wtedy pięść chłopaka uderzyła go prosto w podbrzusze.

Cios był tak silny, że strażnik zgiął się w pół. Zatoczył się kilka kroków do tyłu i upadł jak długi na ziemię. Minęła chwila, nim zaczął dochodzić do siebie. Templariusz wykorzystał ten czas i szedł już z gotową do ciosu bronią.

Makita skoczyła z dachu wprost na plecy Wielkiego Inkwizytora. Odległość nie była duża, a przynajmniej nie dla niej. Starzec upadł z krzykiem pod jej ciężarem. Ostrza noży zatopiły się w jego ciele, a na chodniku momentalnie zaczęła wyrastać kałuża krwi. Elfka podniosła się powoli.

Odziany w paradną zbroję templariusz odwrócił się natychmiast, zaalarmowany krzykiem swojego mistrza. Drugi, leżący na ziemi mężczyzna wykorzystał tę okazję. Poderwał się i świetliste ostrze w jego dłoni przecięło powietrze, a chwilę później alejkę wypełnił zapach spalenizny. Zakonnik osunął się na bruk i już więcej nie poruszył.

Makita wprawnym ruchem odwinęła strzęp zielonej tkaniny, którym zakrywała twarz. Uśmiechnęła się szeroko na widok księżycowej stali.

– Kim jesteś? Czemu go zabiłaś? – zapytał Bernhard i wskazał mieczem ciało Inkwizytora.

Elfka nie odpowiedziała. Oceniała sytuację. Wiedziała, że człowiek jest zmęczony po walce. Oddychał ciężko, a czoło miał mokre od wysiłku. Jednak nie umknął jej uwadze sposób, w jaki poruszał trzymaną w dłoni bronią. Badał jej ciężar, poprawiał chwyt, mierzył siły. Miał doświadczenie w walce, a Makita nie chciała przeciągać potyczki. Musiała się śpieszyć, jeśli miała dogonić trola i zaspokoić żądzę zemsty. Upuściła noże na ziemię. Tak jak przewidziała, człowiek się tego nie spodziewał. Opuścił ostrze miecza, a jego postawa się rozluźniła.

– Dlaczego mi pomogłaś? – zapytał.

Zabójczyni parsknęła.

– Kto powiedział, że ci pomogłam?

Szybkim ruchem sięgnęła za plecy po samopał. Zanim Bernhard zrozumiał, co zamierza elfka, w alejce rozległ się huk, a jego ciałem targnął wstrząs. Zobaczył błysk, a potem dym. Dopiero, gdy przed sobą ujrzał skalne sklepienie, dotarło do niego, że upadł. w piersi czuł rozrywający ból, a pod plecami rozlewające się ciepło.

Makita odrzuciła samopał i podeszła do umierającego strażnika. Podniosła jego miecz i poczuła niepohamowaną radość. Księżycowa stal znowu była w jej dłoni. Nie obejrzała się więcej na Bernharda. Ruszyła w pogoń za trolem, nie zważając na ból w żebrach. Jej umysł zaślepiało pragnienie zemsty.

Powstanie

Brutał wydawał się Noelowi coraz cięższy. Na początku, kapitan próbował jeszcze iść o własnych siłach, ale teraz zwisał bezwładnie na ramieniu trola. Jedynie od czasu do czasu powłóczył łapami.

To było dziwne doświadczenie. Noel znał Brutala od lat. Kapitan zawsze był ucieleśnieniem siły. Jednym warknięciem potrafił przywołać do porządku cały posterunek. Widok go w takim stanie wydawał się w jakiś sposób nienaturalny.

Miejsce ustalonego spotkania było już blisko, tuż za rogiem ulicy. Nora czekała na nich. Przyprowadziła dwukołowy wózek, który zwędziła jednemu z kupców na rynku.

– Noel! – Ruszyła biegiem, żeby pomóc partnerowi.

– Spokojnie, mała. Dam radę – uspokoił ją trol.

Położyli Brutala na wózku i nakryli go derką, która leżała na dnie. Noel otarł spocone czoło i uśmiechnął się blado do Nory.

– Gdzie Bernhard? – zapytała.

– Mieliśmy problem, Bernhard został z tyłu – odparł z zawahaniem.

Nora widziała w jego oczach, że nie wszystko poszło zgodnie z planem.

– a co z Sir Bartolomew? – zapytał Noel.

– Miał tu być zaraz po mnie. Nie wiem, co się z nim stało.

– No to tyle, jeśli chodzi o niezawodny plan.

– Nie chcę wam przeszkadzać... – dobiegł ich osłabiony głos kapitana. –... ale chyba najwyższy czas się stąd wynosić.

– Racja. – Noel chwycił za dyszel wózka.

Ruszyli w stronę Mostu Kupieckiego, który był znacznie mniejszy i mniej okazały niż ten, którym dostali się do dzielnicy. Tu również napotkali na barykadę, ale nikt jej nie pilnował. Zdołali jakoś przejechać wózkiem pomiędzy kamienną balustradą, a blokującą drogę przeszkodą. w połowie drogi zatrzymali się na chwilę, by spojrzeć na widoczny w oddali Most Bohaterów.

Gwardziści w czerwonych płaszczach zgromadzili się wokół barykady. Próbowali odeprzeć pochód czarnych zbroi, które zalewały cały most.

Sługi hrabiego pancernymi pięściami uderzały o tarcze zakonników, desperacko próbujących utrzymać się na pozycji. Ludzie odpowiadali ciosami halabard i mieczy.

Nieumarłych było jednak zbyt wielu.

Zakonnicy ustąpili w końcu pod naporem czarnej fali, która przelała się przez most i wkroczyła do dzielnicy.

– Muszą być ich setki... – powiedział Noel. – Nie miałem pojęcia, że hrabia dysponuje taką armią...

– Myślisz, że zdołamy ich powstrzymać? – zapytała Nora.

Noel nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

– Ruszajmy – powiedział w końcu i pociągnął wózek.

Kiedy przekroczyli Rzekę Ognia, znaleźli się z powrotem w dzielnicy krasnoludzkiej. Dokładnie przed nimi, ponad dachami budynków, górował pałac królewski.

– Jest i gniazdo żmij – mruknął trol.

– Musimy przedostać się do sierżanta Magniego – przypomniała Nora.

– i tak właśnie zrobimy. Niedługo się z nimi spotkamy. Tędy, za mną.

Noel skręcił w jedną z alejek przy moście. Drewniane koła wózka poskrzypywały cicho. Starali się nie zbliżyć do pałacu. Domyślali się, że będzie silnie strzeżony przez sługi hrabiego. Tę część dzielnicy zamieszkiwali głównie urzędnicy i osoby blisko związane z władzami. Ulice były puste. Nawet mimo późnej pory, było to dosyć dziwne.

– Strasznie tu cicho – zauważyła Nora.

– Może słyszeli, co dzieje się w dzielnicy obok? Wystraszył ich przemarsz nieumarłych? – zgadywał Noel.

– Może... – odparła bez przekonania Nora.

Mijali kolejne domy, zbliżając się powoli do siedziby Straży Miejskiej. Zaczęli słyszeć dziwne odgłosy, krzyki i brzęk uderzającej o siebie stali.

– Mam złe przeczucia... – powiedział trol i przyspieszył.

Kiedy dotarli do skrzyżowania przed posterunkiem zobaczyli, że ulica wiodąca w stronę pałacu zamieniła się w pole bitwy. Krasnoludów były dziesiątki. Część z nich miała na sobie ciężkie pancerze i tarcze. Ich topory i młoty uderzały, gniotły i miażdżyły czarne zbroje. z dachów pobliskich budynków odzywały się krasnoludzkie kusze i prochowe samopały. z sąsiedniej uliczki wyłoniła się kolejna grupa krasnoludów, ciągnących za sobą działą organowe.

– Hej wy! – krzyknął do nich Noel. – Gdzie znajdę sierżanta Magniego?

– Hem? Ach, jest tam! – krzyknął jeden z brodaczy i wskazał budynek Straży.

Noel dostrzegł na tarasie sylwetkę Magniego. Obok krasnoluda stała też grupa innych osób.

– Zaczekaj tu – powiedział do Nory. – Zostań z Brutalem. Ja dowiem się, co się dzieje.

Nora zajrzała pod derkę na wozie. Kapitan był nieprzytomny. Oddychał przez otwarty pysk, z którego zwisał bezwładnie język. Deski pod nim były przesiąknięte krwią.

– Magni! – krzyknął Noel, gdy pokonał schody posterunku.

Dopiero teraz zobaczył z kim krasnolud stał na tarasie. Byli tu strażnicy z ekipy sierżanta – Oru, Fuller, a nawet mały skrzat Tizzi. Trol rozpoznawał też kilku miejskich radnych. Bilbert Proutfoot prowadził ożywioną rozmowę z Mistrzem Tarikiem z Gnomiej Akademii Technicznej. Otyły kapłan Ashar sprzeczał się zawzięcie z Gulgorem, hersztem orczej hordy. Nieco z boku trzymała się Andeith – smukła driada o bujnych, zielonych włosach, która była opiekunką Uroczyśka. Pomiędzy nimi krzątała się także redaktorka *Dziennika Czeluści*, która skrzętnie notowała wydarzenia.

– Co jest grane, Magni? Mieliście na nas zaczekać!

– Sytuacja się zmieniła – odparł sierżant i uściśnął mocno dłoń trola. – Dobrze cię widzieć, Noel. Jak tylko czarni ruszyli na ludzi, zaczęliśmy zgodnie z planem przebijać się w stronę pałacu. Na początku szło nieźle, ale nieumarli wciąż napływali. Angus ustrzelił chyba z piętnastu, nim oberwał w głowę. Musieliśmy się wycofać, żeby odciągnąć go gdzieś na tyły. Sytuacja zaczęła wyglądać naprawdę kiepsko, gdy nagle zjawiała się odsiecz. – Magni wskazał kciukiem na stojące obok zgromadzenie. – Nie wiem, co ich ugryzło, ale cholernie dobrze, że przyszli z pomocą. Przez chwilę myślałem, że to już koniec, ale teraz... – Magni obejrzał się w stronę pola bitwy. – Ruszamy na pałac ze wszystkich stron.

Noel podszedł do balustrady i rzucił okiem na walczących. Czarnych było całe mrowie, ale krasnoludzcy tarczownicy posuwali się

naprzód, wspierani przez ostrzał z dachów i świeżo przybyłe działo organowe.

Od zachodu na plac przed pałacem wdzierały się orki, którym asystowało także dwóch olbrzymów. Ślad ich przemarszu znaczyły całe sterty porozrzucanych czarnych pancerzy. Na wschodzie nacierali jaszczuroludzie i mieszkańcy Uroczyńska, osłaniany przez driadzie łuczniczki. Choć sług hrabiego wciąż było bardzo wielu, powstańcy stopniowo posuwali się naprzód.

– Chyba dajecie im niezły wycisk.

Noel odwrócił się do stojącego obok sierżanta.

– Żebyś wiedział! Takiej bitki to wampir jeszcze na pewno nie uświadczył! – Zaśmiał się krasnolud. – a wam jak poszło? Gdzie mała, Brutal i Bernhard?

Trol westchnął. Nie wiedział, jak powiedzieć Magniemu o tym, co się stało. Postanowił, że najlepiej będzie oznajmić mu to wprost.

– Nora i Brutal czekają przy schodach. Kapitan jest nieprzytomny. Trochę oberwał...

– Zajmiemy się nim natychmiast – wtrącił Magni i wydał krótki rozkaz stojącemu w pobliżu niziołkowi. – Rozstawiliśmy tu w pobliżu lazaret.

– To nie są jeszcze najgorsze wieści... Bernhard został z tyłu, żeby nas osłaniać. Nie mam pojęcia, czy wyszedł z tego cało.

Trol położył dłoń na ramieniu krasnoluda. Magni spuścił wzrok i westchnął ciężko.

– Cóż... Dobry był z niego chłop – odezwał się po chwili, a w jego głosie dało się wyczuć wyraźny smutek.

Sierżant pociągnął nosem i spojrzał na resztę swojej drużyny. Przysłuchiwali się rozmowie. Oru wyglądał na wściekłego, za to Fuller

musiał wytrzeć rękawem ciekący nos.

– Na co czekacie? Na ciasteczka z mlekiem? – ryknął na nich krasnolud. – Łapać za broń! Ruszamy złoić kilka czarnych tyłków!

Chłopcy Magniego spojrzeli na swojego dowódcę. Jego gniewna mina wskazywała, że wcale nie żartuje. Natychmiast odzyskali wigor. Chwycili za broń, gotowi ruszyć do boju.

– Leć po małą – zwrócił się Magni do Noela. – Dorwiemy tego wampira.

Trol przytaknął i zbiegł po schodach. Grupa niziołków zabierała już wózek z nieprzytomnym Baelorem.

– Co się dzieje? – krzyknęła Nora.

– Całe miasto stanęło na głowie. Wszyscy idą szturmem na pałac – odparł pokonując ostatnie stopnie.

– Dobrze, a my co robimy? – zapytała niepewnie.

– My spróbujemy dostać się do pałacu inną drogą.

Makita przyczała się tuż za rogiem budynku. Obserwowała trola i gnomkę. Dyskutowali przez chwilę, po czym pobiegli do jednego z krasnoludzkich domostw.

Elfka знаła to miejsce.

Nie tym razem – pomyślała, a na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

Odczekała chwilę i wyszła ze swojej kryjówki. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy byli zbyt zajęci walką, która toczyła się na końcu ulicy. Podeszła do budynku i zajrzała przez okno. w środku było ciemno, ale dostrzegła szafę stojącą w salonie. Rozglądała się przez chwilę w poszukiwaniu dwójki, ale nie dostrzegała ich nigdzie w mieszkaniu.

Musieli już zejść. – Uśmiechnęła się, gdy w jej głowie zaczął kiełkować plan. – *Świetnie. Zabiję ich, a potem wykonam ostatnie zadanie.*

Weszła do środka przez uchylone drzwi. w salonie nikogo nie było, tak jak się spodziewała. Podeszła do szafy i otworzyła ją szeroko. Wieko na dnie było uniesione. Odślaniało prowadzący w głąb otwór. Przesunęła dłonią po zawieszanej u pasa pochwie. Chciała upewnić się, że księżycowe ostrze jest u jej boku. Przysiadła przy krawędzi otworu i po chwili zniknęła pod ziemią.

Nie miała ze sobą żadnej lampy. Nie potrzebowała jej. Czuła się lepiej w ciemnościach. Światło zdradzałoby tylko jej obecność. Mogła polegać na swoim elfim wzroku. Nie widziała tak dobrze, jak w ciągu dnia, ale i tak zdecydowanie lepiej, niż większość innych ras.

Rozejrzała się powoli, ale nie dostrzegła nic podejrzanego.

Oni przecież nie mogą iść po ciemku – uświadomiła sobie nagle.

Zamarła w ciszy i nasłuchiwała. z północnej strony tunelu docierały jakieś dźwięki. Odgłosy kroków i szepty odbijały się echem od skalnych ścian. Ruszyła w ich kierunku. Mimo bystrych oczu, zdarzało jej się czasem potknąć o leżący na ziemi kamień, albo wystający kawałek skały.

Tęskniła za księżycem, przy którego świetle nauczyła się polować. Brakowało jej widoku nieba i szelestu trawy pod stopami. Chciała znowu skakać po drzewach. Miała już dość podziemi. Koniec jej misji był już blisko. Jeszcze tylko jedno zadanie i uwolni się od tego miejsca. Uratuje swój klan.

Musiała zwolnić, żeby pewniej stawiać stopy i nie spłoszyć swojej zwierzyny. Tym razem nie mogła popełnić błędu.

Powstańcy wkraczali już na plac przed pałacem. Magni odbił tarczą cios żelaznej pięści i zamachnął się młotem. Strącił hełm jednemu z czarnych. z wnętrza pustej zbroi uniosła się błękitna mgiełka, która zaraz rozwiała się w powietrzu. Pusta zbroja runęła na ziemię, rozsypując się na kawałki. Za nią jednak nadciągały kolejne zastępy sług hrabiego.

Magni splunął i zaklął szpetnie.

– Dalej, naprzód! – krzyknął do stojących w szeregu tarczowników.

Coś huknęło i nad ich głowami przeleciał grad kul z działa organowego, który rozbił na kawałki całą gromadę nieumarłych.

Mur krasnoludzkich tarcz ruszył naprzód, łomocząc młotami i toporami wszystko, co stało mu na drodze.

Po ich lewej stronie zaczęły fruwać fragmenty czarnych pancerzy. To olbrzymy wdzierały się na plac przed pałacem. Ciosy ich pięści i kopniaki posyłały nieumarłych w powietrze, rozbijały ich i miażdżyły na drobne kawałeczki. Gdzieś z prawej strony zaczęły świstać strzały driad. Wybuchła kula ognia, rzucona przez ifrita z Uroczyńska.

Stojący obok Magniego krasnolud wypadł z szeregu, kiedy jeden z czarnych wyrwał mu z ręki tarczę. Kolejny cios nieumarłego rozbił nos wojownika i powalił go na ziemię.

Stojący z tyłu brodacze natychmiast odciągnęli w tył ранnego. Kolejny tarczownik zajął jego miejsce.

Magni uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że pałac jest coraz bliżej. Rąbnął kolejny raz swoim młotem i oderwał ramię od czarnej zbroi. Blacha upadła z brzękiem na ziemię. Musiał stawiać ostrożnie stopy, by nie potknąć się o zalegające pod nogami żelastwo.

Działo organowe wstrzymało ostrzał. To mogło oznaczać tylko jedno – szturmujące oddziały zbliżały się do siebie. Załoga bała się, że postrzeli swoich.

Jakby na potwierdzenie tej teorii, Magni dostrzegł wysokiego drzewca z Uroczyśka, który gałęziastymi rękoma młócił szeregi sług hrabiego, zaledwie kilka metrów przed nim. Od zachodu docierały orczy ryki i nawoływania.

Schody prowadzące do pałacu były już blisko. Prawie udało im się zdobyć plac. Chociaż walka wciąż wrzała, z wielu gardeł zaczęły dobywać się radosne okrzyki zwycięstwa.

Z powodu panującej wrzawy trwało chwilę, zanim do uszu walczących przebiły się ostrzegawcze nawoływania. z czasem jednak było ich coraz więcej i kolejni powstańcy zaczęli oglądać się za siebie.

Po pobjowisku, na którym jeszcze chwilę temu toczyły się walki, snuły się opary niebieskiej mgły. Dziwny i nienaturalny obłok sączył się wokół rannych. Wił się niczym wąż po zalegającej stercie żelastwa. w końcu mgła zaczęła wpełzać między walczących.

Zanim się zorientowali, brodzili w niej po kolana, nie widząc nawet bruku pod stopami. Skryta pod mgłą ziemia zaczęła się poruszać, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

Krasnoludy zbiły się w krąg, zwały swoje tarcze. Magni rozglądał się, gotów na każdą niespodziankę, jaką szykował im hrabia.

– Uważajcie, chłopcy! – krzyknął. – Jeśli wampir myśli, że nas tym wystraszy, to jest w wielkim błędzie! Pokażemy mu krasnoludzkiego ducha walki!

Krasnoludy zawtórowały sierżantowi bojowym okrzykiem.

Coś zaczęło szurać po bruku. Dotykało ich nóg. We mgle przemykało coraz więcej cieni. Dostrzegli w końcu, że to fragmenty

porozbijanych pancerzy. Poszczególne kawałki łączyły się ze sobą i tworzyły coraz większe fragmenty – nogi, ręce, korpusy.

Magni w końcu zrozumiał, co się dzieje.

– Bogowie... – wymamrotał cicho. – Oni składają się do kupy! Trzymać szyk! – krzyknął do swojej drużyny.

Zewsząd zaczęły docierać wrzaski. Sługi hrabiego wstawały z ziemi. Najpierw było ich zaledwie kilka, ale po chwili już dziesiątki, setki, cała armia. Orki próbowały dalej walczyć, ale były otoczone ze wszystkich stron i ich ryki zaczęły szybko cichnąć.

Olbrzymy zaczęły cofać się w stronę środka placu. Jeden z nich upadł i natychmiast zniknął pod falą czarnych zbroi. Stworów z uroczyska i jaszczuroludzi nie było nigdzie widać.

Strzały nie świstały już w powietrzu, działa organowe milczało.

Krąg sług hrabiego zacieśniał się wokół odciętej grupy tarczowników Magniego.

– Co teraz, sierżancie? – zapytał stojący obok Fuller, tuląc do piersi swoją krótką rohatynę.

– Teraz... – mruknął niechętnie krasnolud. – Mamy przesrane.

Makita precyzyjnie przycisnęła się obok skalnego występu. Daleko z przodu zobaczyła światło lampy. Podłoże w tym miejscu było w miarę równe, więc mogła przyspieszyć.

Pamiętała ten odcinek jaskiń. Pokonywała go już kilka razy. Korytarz zaraz skęci i zbliży się do Rzeki Ognia. Płynąca magma zagłuszy jej kroki, więc nie musi się już skradać.

Uszła jeszcze kilkadziesiąt metrów, gdy korytarz skęcił, tak jak przewidywała. Jaskinie przed nią zalewał blask rozgrzanej magmy.

Trol i gnomka szli przed siebie, zupełnie nieświadomi faktu, że są śledzeni.

Elfka domyślała się, że dwójka strażników jest w tej części jaskiń po raz pierwszy. Nie mogli wiedzieć, gdzie znajduje się przejście do pałacu. Zmierzali jednak w dobrym kierunku.

Zacisnęła dłoń na pochwie z mieczem i przyspieszyła.

Przeskakiwała nad kamieniami, które zalegały na chodniku. z lewej strony miała skalną ścianę, z prawej – wypełnioną ogniem przepaść. Nie bała się i nie zważała już na nic. Zaślepiła ją wściekłość i pragnienie zemsty.

W biegu wyszarpnęła miecz i odrzuciła pochwę.

Od strażników dzieliło ją już tylko kilka metrów. Wzniósła ostrze do ataku i wydała z siebie pełen furii okrzyk.

Zaalarmowany Noel obejrzał się przez ramię. Zdębiał na chwilę, kiedy zobaczył pędzącą na niego elfkę. Zaczął cofać się w popłochu, gdy spostrzegł uniesiony do ataku miecz.

Świetliste ostrze błysnęło w powietrzu. Minęło trola zaledwie o włos, bo ten potknął się i przewrócił. Zaczął koziółkować w dół po wąskim chodniku. Starał się zatrzymać, wyciągał ręce, zapierał się nogami. Wiedział, że musi spowolnić swój upadek, nim dotrze do krawędzi ścieżki, za którą czekał ogień.

Makita nie pobiegła za Noelem, odwróciła się w stronę gnomki. Drugi raz nie chciała popełnić błędu. Nie zlekceważy małej strażniczki. Pochyliła się i cięła płasko, prosto w szyję.

Nora uchyliła się przed świetlistym mieczem. Straciła tylko kilka rudych loków z czubka głowy. w powietrzu, poza wonią siarki, rozniósł się też zapach palonych włosów.

Elfka zamachnęła się ponownie, ale ostrze zaplątało się w płaszcz uciekającej gnomki.

Noel zdołał wyhamować nad samą krawędzią urwiska. Podniósł się i zerknął na płynącą w dole magmę.

Było blisko – pomyślał z ulgą.

Nora biegła w jego stronę po wąskim chodniku. Elfka była tuż za nią. Tylko dzięki dużej różnicy wzrostu i pochyłej powierzchni, zabójczyni miała problem z wyprowadzeniem zabójczego ciosu.

Trol ruszył na ratunek partnerce. Jego ciało zaczęło pokrywać się rogowym pancerzem, który Noel umiał wytworzyć w ciągu kilku sekund.

Nora dogoniła go i przebiegła między nogami partnera.

Zabójczyni nawet nie zwolniła biegu. Odbiła się stopami i przeskoczyła nad głową trola. Jeszcze w locie cięła mieczem, ale ostrze ześlizgnęło się po pancerzu na jego ramionach i wykrzesало snopy iskier. Wylądowała płynnie na ugiętych nogach.

Od razu musiała wykonać unik, bo trol zdołał się szybko obrócić i uderzył zamasyście. Skalny chodnik zadrżał pod siłą jego ciosu. Ze ścian i sufitu oderwały się drobne kamyczki.

– Tym razem nie będziesz miał tyle szczęścia – wysyczała groźnie elfka.

Nora zatrzymała się kilka metrów od nich. Serce łomotało jej w piersi. Wiedziała, co powinna zrobić. Sięgnęła pod płaszcz, po swoją Iskierkę. Skoro ta metoda podziałała poprzednim razem, powinna sprawdzić się i teraz.

Makita nie zamierzała dać się podejść. Śledziła ruchy gnomki kątem oka. Wywinęła się w piruecie przed kolejnym ciosem trola i cięła ukośnie, od lewej.

Nora nie dość szybko cofnęła rękę. Ostrze przejechało z sykiem po ciele i rozcięło skórę wzdłuż przedramienia. Gnomka poczuła niesamowity, piekący ból i przyprawiający o mdłości zapach spalenizny.

Zabójczynie wymierzyła sztych miecza w pierś przerażonej strażniczki. z pełnym okrucieństwa rykiem wyprowadziła mocne pchnięcie.

Noel rzucił się w ostatniej chwili i osłonił partnerkę własnym ciałem. Księżycowa stal zsunęła się po rogowej skorupie na jego plecach.

– Uciekaj! – krzyknął do Nory.

Strach i ból ją paraliżowały, ale zdecydowany głos partnera przywołał gnomkę do porządku. Zaczęła biec w górę chodnika. Noel odwrócił się gwałtownie i wziął szeroki zamach.

Stojąca za nim elfka przykucnęła i uniknęła ciosu. Dostrzegła okazję i zaatakowała błyskawicznie. Jej miecz uderzył od dołu i rozciął skórę pod ramieniem trola. Ostrze zasyczało w kontakcie z ciałem.

Noel wrzasnął z bólu. Zamarkował cios ranną ręką, a kiedy elfka uchyliła się, kopnął ją prosto w żebra.

Impet uderzenia odepchnął Makitę w dół chodnika. Stłuczone żebra odezwały się potwornym bólem. Zsunęła się kilka metrów po pochyłym podłożu. Zaciskała zęby i mocno trzymała miecz. Nie chciała stracić go ponownie. Kiedy się podnosiła, bolesne ukłucie niemal zgięło ją w pół. Zwalczyła jednak ten odruch. Nie mogła odsłonić swojej słabości przed przeciwnikiem.

Noel czuł się coraz słabszy. Zmęczenie i rana odbierały mu siły. Prawie nie mógł ruszać ręką, a po jego boku lała się krew. Cieszył się, że udało mu się trafić elfkę, ale zdawał sobie sprawę, że sytuacja nie

wygląda dobrze. Nie zdoła jej pokonać w takim stanie. Do głowy przychodziło mu tylko jedno, desperackie rozwiązanie.

Kiedy zabójczyni zaczęła się zbliżać, z całej siły uderzył w ścianę jaskini. Skała zadrżała, a na ich głowy posypały się kamienie.

Noel uderzał raz za razem, obsypując coraz więcej gruzu. Ze sklepienia oderwał się w końcu spory głaz. Uderzył w chodnik i cała jaskinia zadrżała. Zaczęły spadać kolejne fragmenty skał.

Makita cofała się zdezorientowana. Musiała zakrywać głowę i twarz, by chronić się przed ostrymi odłamkami. w końcu ściana ustąpiła po kolejnym ciosie trola. Odłamany fragment zwałił się na ścieżkę. Ciężar był zbyt duży i chodnik nie wytrzymał. Jego część runęła wprost do rzeki lawy.

Nora nie widziała nic przez pył, który wypełnił nagle jaskinię. Zakryła rękawem usta i nos, ale i tak musiała odkaszlnąć kilka razy. Na języku czuła drobne ziarenka. Próbowwała coś dojrzeć przez zmrużone oczy, ale chmura była zbyt gęsta. Odczekała chwilę, która wydawała jej się całą wiecznością. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że jej partner mógł zginąć.

– Noel... – spróbowała krzyknąć, ale duszący pył jej na to nie pozwolił.

Znowu zaczęła kaszleć.

Kiedy chmura zaczęła się rozrzedzać, dostrzegła jakiś ruch.

Noel żył. Próbował wygrzebać się spod rumowiska, które przygniotło mu nogi. Po policzkach Nory spłynęły łzy.

– Noel! – krzyknęła.

Podbiegła do partnera. Trol próbował się wydostać przy pomocy zdrowej ręki. Kasłał głośno, przyduszony pyłem. Wokół jego ramienia

zbierała się cieknąca krew. Gnomka zaczęła rozgarniać przygniatające go kamienie.

– Nie! Nie podchodź... Elfka... – spróbował ją ostrzec, ale przez kaszel słowa ugrzęzły mu w gardle.

Nora rozejrzała się dookoła. Tuż za rumowiskiem chodnik zawalił się i zostawił po sobie szeroką na co najmniej trzy metry wyrwę. Na jej przeciwnym brzegu także zalegał gruz. Po zabójczyni nie było śladu.

– Proszę się poddać, sierżancie! – krzyknął hrabia z tarasu na schodach wiodących do pałacu.

Magni i jego drużyna byli otoczeni. Dalsza walka zdawała się nie mieć sensu.

– To już koniec, chłopcy – powiedział z rezygnacją krasnolud do swoich wojowników.

Odrzucił młot i tarczę, a pozostali poszli niechętnie jego śladem. Zza ściany czarnych pancerzy także rozbrzmiały dźwięki broni rzucanej na chodnik. Szturmujący plac powstańcy stracili nadzieję na zwycięstwo.

– Wywołaliście rewoltę w mieście! – zagrzmiął hrabia. – Czy zdajecie sobie sprawę, do czego doprowadziliście?

– My? Do czego „my” doprowadziliśmy? – krzyknął oburzony krasnolud. – To ty chciałeś przejąć władzę!

– Moi słudzy mieli bronić porządku! To wy, strażnicy, chcieliście dokonać przewrotu! – odparł wściekły hrabia.

– Kłamstwa! – krzyknęła jedna z pojmanych driad.

Hrabia obejrzał się w jej stronę.

– Twoja czarna magia wtargnęła do Uroczyska! – krzyczała oskarżycielsko. – Pozbyłeś się naszego druida, a potem to samo chciałeś zrobić ze strażnikami!

– Brednie! Nic nie wiem o zaginięciu waszego druida! – bronił się Manfred.

– Aresztowaliście mojego kuzyna! – wyrwało się z gardła jakiegoś niziołka. – i syna starego Hofmera! Porwaliście ich w biały dzień!

– Złodzieje, którzy okradali stragany na targu – odparł surowo przewodniczący.

– Twój zielony rycerz zabił herszta Morro! To też umiesz wytłumaczyć, hrabio? – zapytał Gulgor, największy spośród orków.

Oczy Manfreda zapłonęły błękitną poświatą.

– Takiego wała! – krzyknął Magni i rękoma pokazał hrabiemu bardzo obraźliwy, krasnoludzki gest.

Pojawiły się kolejne oskarżycielskie krzyki, ale zagłuszyło je nagłe dudnienie. Ziemia zaczęła drgać. Wszyscy rozglądali się zdezorientowani. We wschodniej części miasta zabiły dzwony.

Manfred von Richtenstein nie mógł uwierzyć w to, czego właśnie był świadkiem. z pałacowego tarasu widział wyraźnie powiewające ponad dachami budynków sztandary. Rycerze pędzili konno od strony Mostu Bohaterów. Ich kolorowe pióropusze falowały, a opuszczone kopie wbijały się niczym klin w nieumarłą armię.

Opancerzone konie tratowały czarne sługi. Przecinały ich kolejne szeregi jak nożyce tnące papier. Minęła zaledwie chwila, gdy pośród łomotu rozbijanych pancerzy, rycerze Zakonu Żelaznej Pięści wpadli na plac i ruszyli dalej, prosto w stronę pałacu. Powstańcy, na początku

zdezorientowani, chwycili za broń i z nowym zapalem rzucili się do walki.

Manfred był wściekły.

Niebieska poświata ogarnęła jego ciało. Uniósł w górę ręce, by skupić całą swoją moc. Był gotów zmiażdżyć wszystkich awanturników. Miał już dość zaślepienia i impertynencji tej bandy głupców. Zebrał cały swój gniew, gdy nagle jego pierś przebiło z sykiem świetliste ostrze.

Makita wyszarpnęła gwałtownie miecz, który wbiła w plecy przewodniczącego. Księżycowa stal przeszła serce wampira. Zostawiła za sobą wypaloną ranę, która nie miała prawa się zagoić.

Zabójczyni nie była pewna, czy taki cios zabije nieumarłego. Jej wspólnik zapewniał, że będzie to wystarczające, a jak dotąd zawsze miał rację. Teraz, kiedy zobaczyła, jak hrabia osuwa się na ziemię, wiedziała już, że nie mylił się i w tej sprawie. Przykucnęła prędko, by nie zostać dostrzeżona i wycofała się do pałacu.

Na placu powstało zamieszanie. Nieumarłe sługi zamieniły się nagle w zwykłe, puste zbroje. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki fragmenty czarnych pancerzy zaczęły odpadać i z chrzęstem uderzać o bruk.

Tarczownicy Magniego nadal stali zbici w obronny krąg, gotowi na kolejne niespodzianki. Orki i jaszczuroludzie rozglądali się zdziwieni, a rycerze z powiewającymi sztandarami wciąż pędzili przed siebie, torując drogę dla podążających z tyłu pieszych gwardzistów.

Wielkość ma znaczenie

Noel starał się zdrową ręką uciskać mocno ranę. Jako trol regenerował się wprawdzie szybko, ale duży ubytek krwi był niebezpieczny nawet dla niego, a w dodatku bardzo go osłabiał.

Ostrze miecza wypaliło częściowo tkanki i chociaż piekący ból i smród spalonej skóry były ciężkie do zniesienia, spowolniło to upływ krwi.

Mimo odniesionej rany, próbował zebrać myśli i ustalić, co powinien robić dalej. Walka z bólem, osłabienie po walce i żar bijący od Rzeki Ognia tego nie ułatwiały.

Zajęło chwilę, nim zdołał usiąść. z cichym jękiem wsparł się plecami o ścianę.

Nora zdjęła swój zniszczony płaszcz i oderwała od niego szeroki pas materiału. Zaczęła owijać go nieporadnie jedną ręką wokół rannego przedramienia, po którym przejechało ostrze z księżycowej stali. Ból był nieznośny i chociaż zaciskała zęby z całych sił, mimowolnie z jej gardła wyrwał się przepełniony bólem jęk. z trudem zawiązała węzeł na prowizorycznym opatrunku.

Oderwała jeszcze jeden długi pas tkaniny, żeby zawiązać go na krwawiącym ramieniu partnera.

– Co teraz? – zapytała, owijając rękę trola kolejnymi warstwami błękitnego materiału.

Noel przyglądał się w milczeniu umorusanej od pyłu twarzy partnerki. Dostrzegał jej zmęczenie i z trudem ukrywany ból. Widział też ogromną determinację w oczach małej gnomki i wiedział, że jego towarzyszka nie podda się, jeśli tylko powie jej co mają dalej robić.

Problem w tym, że nie wiedział. Cały jego ułożony naprędcie plan rozsypał się po ataku elfki i zerwaniu chodnika.

Otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nie był w stanie wydusić słowa. Opuścił wzrok, a broda opadła mu na pierś.

Nora zorientowała się po jego minie, że trola ogarnia zwątpienie. Nie mogła jednak na to pozwolić. Nie po tym wszystkim, co przeszli. Dotarli przecież już tak daleko. Chwyciła partnera za ramiona i potrząsnęła nim tak mocno, jak tylko mogła.

– Weź się w garść, Noel! – krzyknęła, nie zważając na rozrywający ból w przedramieniu – Musimy coś zrobić!

– Na przykład co? – zapytał poirytowany. – Co mielibyśmy zrobić, mała? Chodnik jest zerwany, nie ma przejścia, a na górze szaleje bitwa. Powiedz mi, co jeszcze możemy zrobić?

Nora puściła go i rozejrzała się dookoła. Mogli zawrócić, ale tak straciliby tylko czas, a sądząc po dystansie, który dotąd przebyli, wejście do pałacu nie mogło być już daleko.

Poczuła nagle, jak narasta w niej z każdą chwilą irytacja. Wszystko co zrobili i czego dokonali nie może pójść na marne. Nie w takiej chwili, kiedy byli już tak blisko. Zacisnęła mocno pięści i kopnęła z całej siły leżący na ziemi kamyk. Przeleciał nad wyrwą i odbił się z hukiem od zalegającego po drugiej stronie rumowiska. Wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, przyszedł jej do głowy szalony pomysł.

– Przerzuć mnie – powiedziała.

Jej mózg pracował w tej chwili na najwyższych obrotach i analizował każdy szczegół planu, który właśnie układał się w jej w głowie.

– Że co słucham? – zapytał partner, nagle przytomniejąc. – Chyba dzwoni mi jeszcze w uszach. Czy ty powiedziałaś, żebym tobą rzucił?

Zamrugał kilka razy z niedowierzaniem.

– Dobrze słyszałeś – odparła Nora i odwróciła się w jego stronę.
– z twoją pomocą dam radę przeskoczyć nad tą wyrwą. Pójdę do pałacu, a ty w tym czasie wrócisz do Magniego i pomożesz pozostałym na górze – Zrzuciła sobie na plecy to, co jeszcze zostało z jej płaszcza.

– Kompletnie oszalałaś? Przecież to jakieś wariactwo!

– To się może udać. – Nora podeszła do niego. – Odwrócę uwagę hrabiego. Po drugiej stronie chodnika leży Iskierka, widzę ją z tego brzegu. Może z jej pomocą uda mi się go obezwładnić, tak jak wcześniej elfkę...

– a jeśli wampira nie da się w ten sposób obezwładnić? – przerwał jej partner. – Jeśli twoja Iskierka się zepsuła, albo elfka przeżyła i jest już razem z hrabią w pałacu? Pomyślałaś o tym?

Noel podniósł się z trudem.

– Wtedy przynajmniej spróbuję – odparła z determinacją Nora. – Mam i tak większe szanse, niż zostając tutaj i nie robiąc nic.

Trol przez chwilę stał nad gnomką i spoglądał z góry w jej oczy. Po wyrazie jej twarzy poznawał, że jego partnerka podjęła już decyzję i nie odpuści. Westchnął więc tylko i przeniósł wzrok na ziejącą w chodniku wyrwę.

– Mam nadzieję, że dobrze to przemyślałaś – mruknął.

– Zaufaj mi – odparła strażniczka i podeszła do skraju przepaści.

Spojrzała w dół, wprost na płynącą w dole ognistą rzekę. Poczowała żar na twarzy i odruchowo przełknęła ślinę. Noel stanął tuż za nią

i poruszył kilka razy zranioną ręką, żeby wyczuć na ile może nią operować.

– Gotowa? Jeszcze masz szansę, żeby się z tego wycofać.

– Zaczynamy – odparła bez wahania gnomka.

Odwróciła się do niego i wyciągnęła w górę ręce. Trol uniósł ją i ustawił pewniej stopy, by dobrze balansować ciałem podczas rzutu.

– Na trzy! – krzyknął. – Raz... dwa... trzy!

Wygiął tułów i jednocześnie wyprostował gwałtownie ramiona, wyrzucając małą gnomkę w powietrze. Nora z trudem zwalczyła pokusę, by zamknąć oczy, gdy przelatywała nad ognistą przepaścią. Wiedziała jednak, że jeśli to zrobi, rozbije się o skały po drugiej stronie.

Opadła wprost na rumowisko i krzyknęła z bólu, gdy uderzyła ciałem o kamienie. Natychmiast wczepiła się palcami, żeby nie stoczyć się po gruzie prosto w przepaść. Zranione mieczem przedramię zapiekło ją mocno, a niebieski materiał opatrunku momentalnie nasiąknął krwią. Podniosła się ostrożnie i potarła obite kolana. Jedno z nich było rozcięte, ale na szczęście niezbyt głęboko.

– Wszystko w porządku? – usłyszała głos partnera.

– Nic mi nie jest!

Obróciła się i krzyknęła do niego. Noel odetchnął z ulgą.

– Uważaj na poluzowane kamienie!

Nora pokiwała głową i zeszła ostrożnie z rumowiska. Od razu dostrzegła leżącą na ziemi Iskierkę. Obejrzała ją dokładnie ze wszystkich stron i nacisnęła guzik. Urządzenie zabrzęczało cicho.

Na szczęście się nie uszkodziła.

Uśmiechnęła się i przytroczyła wynalazek do pasa.

– Mam ją! – krzyknęła do Noela. – Wciąż działa!

– Świetna robota! – usłyszała jego głos. – Spotkamy się na górze!
Uważaj na siebie!

– Ty też, Noel! – odpowiedziała głośno.

Stała przez chwilę i obserwowała, jak jej partner podąża w górę chodnika, by po chwili zniknąć w ciemnościach jaskini. Pierwszy raz, odkąd go poznała, była zdana wyłącznie na siebie i czuła niepokój. Była jednak zdeterminowana i wiedziała, co ma zrobić. Wzięła głęboki wdech i ruszyła ścieżką wzdłuż Rzeki Ognia.

– Trzymać szyk, chłopcy! – wrzasnął Magni i w tej samej chwili tarcze wojowników zwały się w żelazny mur, za którym schroniła się odcięta grupa krasnoludów.

Prosto na nich pędzili konni rycerze. Chociaż nieumarłe sługi hrabiego rozpadły się na kawałki, zakonnicy wciąż szarżowali przez plac. Sztandary powiewały dumnie, opancerzone rumaki kopytami o bruk, a ostre szpice kopii były gotowe do zadania ciosu.

– Tylko spokojnie! – wrzasnął sierżant. – Przetrzymamy ich!

Kiedy wydawało się już, że za chwilę krasnoludy zostaną stratowane przez konnice, nagle przed klinem szarżujących rumaków eksplodowała kula ognia. Wybuch zostawił po sobie ścianę płomieni.

Rycerze próbowali zatrzymać rozpedzone konie, ale impet natarcia był już zbyt wielki. Ci z tyłu zaczęli wpadać na tych z przodu. Doszło do kotłowaniny. Niektórzy nie zdołali utrzymać się w siodłach i pospadali na bruk. Spłoszone zwierzęta rżały dziko. Przez chrzęst metalowych pancerzy dało się słyszeć rozpaczliwe nawoływania i krzyki rannych, których tratowały końskie kopyta.

Magni spojrzał w lewo i zobaczył, że stoi tam kilka driad z Urocyska. Mierzyły w ludzi z napiętych łuków. Towarzyszący im

ifrit inkantował już kolejne zaklęcie, a w jego wzniesionych dłoniach rósł następny ognisty pocisk.

Piechurzy zakonni wysforowali się do przodu i zasłonili pawężami rozbite rycerstwo, które z trudem próbowało się przegrupować. Atak rozpoczęły orki, prowadzone przez biegnącego na przdzie herszta Gulgora.

Mur zakonnych pawęży nastroszył się grotami włóczni. Orków to jednak nie wystraszyło. z ich gardeł wyrwały się wojenne okrzyki. Kiedy pierwsza fala zielonoskórych uderzyła na ludzkie szeregi, na placu zawrzała śmiertelna walka.

Błyskały ostrza mieczy i toporów. Groty włóczni napierały i cofały się, całe umorusane we krwi. Wrzaski rannych tonęły pośród brzęku stali i głośnych ryków.

Konrad Olderlecht, do niedawna jeszcze zwykły templariusz, a obecnie Wielki Mistrz Zakonny, dochodził do siebie po gwałtownym upadku z konia. Dzięki pomocy jednego z giermków zdołał podnieść się z ziemi. Zdjął z głowy i odrzucił zgniecioną przyłbicę. Wciąż jeszcze oszołomiony, wyszarpnął miecz z pochwy.

– Gdzie mój koń, do wszystkich diabłów? – ryknął na młodego giermka, którego ramię służyło mu za wsparcie.

Po chwili dostrzegł jednak, że jego rumak leży bez ruchu nieopodal.

– Nie stój tak, głupcze! – Odepchnął od siebie chłopaka. – Przyrowadź mi nowego konia!

Giermek posłusznie ruszył w zgiełk bitwy. Przywódca zakonu rozejrzał się dookoła, żeby ocenić sytuację. Walka wrzała już na dobre. Orki napierały bez litości, ale szereg włóczników utrzymywał się na

pozycji. Część rycerstwa była już z powrotem na koniach i formowała szyk.

Giermek podprowadził za uzdę karego ogiera w kropierzu, a Konrad dosiadł go pośpiesznie.

– Za mną! – ryknął ponad wrzawą do swoich rycerzy.

Ruszyli galopem na wschodnią flankę. Powitała ich ognista kula, rzucona przez ifrita, której towarzyszył deszcz strzał wypuszczonych przez driady. Chociaż kilku rycerzy spadło z koni, a część odniosła poważne rany, to tym razem nawet płomienie nie zdołały całkowicie zatrzymać natarcia. Opancerzone rumaki wpadły na jaszczuroludzi i mieszkańców Urocyska, tratując kopytami lub nadziewając na ostrza kopii wielu spośród nich.

– Stać, do cholery! – krzyczał rozpaczliwie Magni, przepychając się przez mur swoich tarczowników. – Co wy wszyscy wyprawiacie, na brody przodków?

Nikt go jednak nie słuchał. Bruk spływał krwią, a nad kurzawą walczących unosiły się krzyki, szczęk stali i dym płomieni. Kiedy wydawało się, że nic już nie zdoła powstrzymać tego szaleństwa, placem targnął nagle potężny wstrząs.

Magni prawie przewrócił się na ziemię i zaklął paskudnie. Nie tylko jego zaskoczyło nagłe tąpnięcie. Kiedy rozejrzał się po placu zobaczył, że co najmniej połowa walczących próbowała się właśnie podnieść na nogi.

Wtedy ziemia znowu zadrżała. Jeżeli ktokolwiek jeszcze walczył, to w tej chwili przestał. Każdy rozglądał się zdezorientowany. Sierżant spróbował odszukać wzrokiem ifrita, podejrzewając, że to sprawka jego czarów, ale ognistego czarodzieja nie było nigdzie widać, a na placu nie wyrosły nowe płomienie.

– Co do diaska? – krzyknął krasnolud, gdy kamienne płytki, którymi wybrukowany był plac, ponownie zadrżały pod jego stopami.

– Co to za sztuczki? – warknął herszt orków.

Kolejne tąpnięcia były coraz silniejsze.

– Tam! Patrzcie tam! – krzyknął ktoś spośród zakonnych piechurów.

Wszystkie głowy zaczęły kolejno obracać się w stronę jednej z dróg prowadzących na plac. Głuche dudnienie rozchodziło się echem. Skalne miasto drżało i trzęsło się, gdy po jego ulicy stąpały tytany.

Wszyscy zaniemówili.

Jeźdźcy zaczęli zsiadać z koni, bo zwierzęta płoszyły się pod wpływem drgającego gruntu. Próbowali je uspokajać, ale przerażone rumaki wierzgały i wyrywały się, część pogalopowała przez wąskie uliczki.

Magni i jego wojownicy stali w osłupieniu i przyglądali się maszerującym kolosom. Tytany szły miarowo, a ich oczy wypełniał złowrogi, czerwony blask. Kiedy wkroczyły na pobojuwisko przed pałacem, zebrani zaczęli rozpierzchać się, by uniknąć stratowania. Część uciekała w sąsiednie uliczki, pozostali cofali się w stronę środka placu i obserwowali z narastającym niepokojem, jak krasnoludzkie kolosy okrążają ich i zamykają powoli w coraz ciaśniejszym półkolu.

– Sierzancie! – usłyszał Magni gdzieś pośród tłoczących się zbrojnych.

Obejrzał się i spostrzegł przeciskającego się przez tłum kapitana Baelora.

– Brutal! – uradował się krasnolud. – w samą porę!

Wilkołak miał świeże, czerwone od krwi opatrunki na rękach i nogach. Rany wyczerpały go potwornie, a ból przeszywał ciało aż do

kości. Kapitan starał się jednak tego po sobie nie pokazywać. Pozostali strażnicy z oddziału sierżanta powitali wiwatami swojego dowódcę.

– Cisza! – Baelor machnął na nich kudłatą łapą. – Gdzie hrabia?

Magni dopiero teraz uświadomił sobie, że wampir przepadł gdzieś bez śladu.

Blask, który rzucała płynąca w dole magma powoli zanikał. Uczepiony skalnej ściany chodnik, który biegł nad ognistą przepaścią kończył się w tym miejscu. Przed sobą Nora widziała tylko ziejącą mrokiem pieczarę.

Dam radę – powtarzała sobie. – *Muszę dać radę!*

Jeszcze raz sprawdziła, czy ma przy sobie Iskierkę. Zacisnęła mocno pięści i weszła do jaskini.

Korytarz odbijał powoli w lewo i oddalał się od Rzeki Ognia. Ruszyła przodem i już po chwili ze wszystkich stron ogarnęła ją ciemność.

Szła bardzo powoli i macała dokładnie ścianę, żeby nie przegapić wejścia do pałacu. Miała nadzieję, że podobnie jak wcześniej trafi na wydrążone w kamieniu stopnie. Spróbowała przyśpieszyć, ale co chwilę potykała się o wystające z chodnika nierówności, więc szybko porzuciła ten pomysł.

Po kilku minutach, które dłużyły się jej teraz jak godziny, jej ręka trafiła na podłużne wyżłobienie. Omal nie przeoczyła go w ciemnościach. Zatrzymała się tylko dlatego, że poczuła pod palcami coś mokrego.

Kilka razy roztarła substancję w palcach, a potem powąchała ją ostrożnie. w całych podziemiach dominował dosyć silny zapach siarki,

ale mimo to zdołała wyczuć metaliczny zapach, który natychmiast rozpoznała.

Krew – pomyślała. – Noel musiał ją zranić.

Obmacała w ciemnościach fragment ściany i rozpoznała wyciosane w równych odstępach wyżłobienia.

Schody! Te muszą prowadzić do pałacu – ta myśl sprawiła, że na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Zaczęła wspinać się powoli po wyciętych w skale stopniach. Postanowiła nie spieszyć się i nie ryzykować upadku. Zdawała sobie sprawę, że goni ją czas, bo na górze szaleje bitwa i jeśli czegoś nie zrobi, wielu jej przyjaciół i mieszkańców miasta może zginąć. Gdyby jednak spadła, nie zdołałaby pomóc nikomu.

Opierała ostrożnie dłonie i stopy w wyżłobieniach, część z nich była śliska od krwi. Elfka musiała być bardziej ranna, niż Nora na początku sądziła. Po kilku metrach wyczuła w końcu ręką drewnianą klapę, taką samą, jaką dostali się wcześniej do domu Angusa.

Uniosła jej wieko i wdrapała się na górę. Pomieszczenie było nieduże i tonęło w półmroku. Docierało do niego tylko trochę światła z korytarza. Nora potrzebowała chwili, by ustalić, że znalazła się w więziennej celi. Podeszła powoli do kraty i z początku poczuła panikę, ale na szczęście była otwarta.

Obejrzała się za siebie i zobaczyła, że otwór, którym dostała się z podziemi, zamaskowany był pod drewnianym siennikiem. Wyszła na korytarz, starając się zachowywać jak najciszej. Poza rozrzuconymi resztkami słomy był pusty. Jedynym źródłem światła była pochodnia zawieszona przy schodach. Gnomka położyła dłoń na Iskierce i ruszyła w tamtą stronę.

Przypominała sobie, że słyszała już kiedyś o więziennych celach w królewskim pałacu. Nigdy wcześniej nie widziała ich na własne oczy, ale w Gnomiej Akademii Technicznej miała zajęcia z historii miasta. Wciąż pamiętała, że dawniej krasnoludzcy władcy wtrącali zdrajców i buntowników do lochów pod pałacem.

Cele były jednak od dawna puste. Przetrzywanie więźniów w takim miejscu było mało praktyczne. Jedynymi mieszkańcami lochów były teraz myszy i pająki.

Nora nie wiedziała jeszcze, jak poradzi sobie z powstrzymaniem hrabiego, ale samo dostanie się do pałacu rozpało w niej nadzieję. Wreszcie coś poszło zgodnie z planem. Przynajmniej częściowo.

Korytarz zaprowadził ją do wąskich schodów, które skręcały po kilku stopniach. Płomień pochodni drgał nieregularnie, dogasał.

Musi palić się już od jakiegoś czasu – oceniła Nora.

Wychyliła się, żeby sprawdzić, czy nikt nie pilnuje wyjścia. Na schodach nie było jednak nikogo. Kończyły się zamkniętymi drzwiami.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła w ich kierunku.

Makita szła przez salę audiencyjną pałacu. Odgłos jej kroków na kamiennej posadzce odbijał się echem od ścian i zawieszzonego wysoko sufitu, przerywając panującą w ogromnym holu ciszę.

Mijała kolejne podtrzymujące strop kolumny, zerkając z ukosa na ozdabiające je płaskorzeźby brodatych krasnoludów.

Przeszła obok podłużnego kamiennego stołu, przy którym zwykła zasiadać rada. Przejechała dłonią po oparciu najwyższego krzesła i mimowolnie uśmiechnęła się na wspomnienie swojego miecza przeszywającego serce przewodniczącego.

Uśmiech jednak szybko zgasł z jej ust, gdy poczuła rozrywający ból, promieniujący z odniesionej rany. Zatrzymała się u stóp stojącego na podwyższeniu tronu i skierowała wzrok na siedzącą w nim, niedużą postać.

– w mieście panuje chaos, tak jak tego chciałeś – powiedziała spokojnie.

Z rozcięcia nad uchem spływała jej po włosach krew. Rany na ramieniu i dłoni także broczyły posoką.

– No jasne, że panuje chaos – prychnął zasiadający na tronie goblin.

Jego głowę zdobiła niezwykła, mechaniczna korona. Składała się z segmentów, które stale przemieszczały się i przestawiały względem siebie, zupełnie jak kawałki puzzli próbujące dopasować się w całość.

Usta goblina wykrzywiły się w paskudnym uśmiechu. Nie uszło jego uwagi, że Makita spogląda drapieżnym wzrokiem na koronę.

– Taki był przecież mój plan, zabójczyni! – powiedział z nieukrywaną dumą. – Miasto tonie we krwi i chaosie. i to ja doprowadziłem je do upadku!

– Sam? – zapytała drwiąco elfka. – Nic byś nie zrobił bez mojej pomocy, Snag. Niczego byś sam nie osiągnął, a teraz daj mi moją zapłatę!

Elfka podeszła nieco bliżej i zacisnęła dłoń na rękojeści miecza, gotowa użyć go w każdej chwili. Nie spuszczała oczu z goblina, który bez cienia strachu odwzajemniał jej spojrzenie.

– Byłaś tylko narzędziem w moich rękach. Niczym więcej. Wypełniłaś jednak swoją rolę. Chcesz tytany? Stoją przed pałacem, możesz je sobie wziąć.

Makita zmrużyła oczy. Wsunęła częściowo ostrze z pochwy, by móc szybciej dobyć broni, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Snag zaśmiał się widząc jej wahanie. Podniósł się z tronu i zaczął schodzić po kamiennych stopniach. z jego ust nie znikał złośliwy uśmiech, odsłaniający rząd ostrych jak szpile zębów.

– Chyba nie mogę cię winić, za ten brak zaufania – zwrócił się do niej. – Nie musisz się jednak bać. Gdybym chciał twojej śmierci, nic by cię nie uratowało.

– Nie bądź taki pewny siebie, goblinie – wysyczała przez zęby elfka.

– Chodź za mną – odparł Snag, zupełnie ignorując jej pogróżki.

Ruszył przez kamienny hol pałacu. Zabójczyni była przygotowana na ewentualne niespodzianki, jakie mógł przygotować dla niej podstępny goblin. Poczekała, aż wyprzedzi ją o kilka kroków i dopiero wtedy podążyła za nim.

Snag nie oglądał się do tyłu i nie odzywał. Przeszli przez korytarz, na którego końcu stały zamknięte wrota. Makita nie spuszczała oka z korony. Jej elementy nieustannie zmieniały położenie, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Widok ten był niemal hipnotyzujący, ale elfka nie traciła czujności.

Im bliżej byli wrót, tym głośniejsze stawały się dźwięki dobiegające z zewnątrz. Chrząst metalu, wrzaski i przekrzykiwania.

Snag popchnął jedno z masywnych skrzydeł. Ustąpiło bez najmniejszego oporu, jakby zupełnie nic nie ważyło. Wyszedł na taras i spojrzał przez balustradę na stłoczonych w dole, zdezorientowanych i ogarniętych strachem powstańców. Zbici w wielką gromadę tuż pod pałacowymi schodami, byli otoczeni z trzech stron przez stojące w szerokim półkolu tytany.

Oczy golemów wypełniał żar, który przywodził na myśl rozgrzaną do czerwoności magmę, wypływającą z wnętrza góry.

– Oto armia, na którą czekałaś, elfko.

– Nie igraj ze mną, Snag.

Makita zbliżyła się do niego powoli, cały czas zaciskając dłoń na rękojeści miecza. Goblin parsknął. Zdjął koronę z głowy i podał ją elfce. Metalowe części obręczy zastygły w bezruchu, zupełnie jakby ukryty wewnątrz mechanizm nagle się zatrzymał.

Makita poczuła, jak jej tętno przyspiesza, ale wciąż zachowywała ostrożność. Była gotowa w każdej chwili zaatakować, jeśli jej wspólnik spróbuje jakiejś sztuczki. Gdy tylko dotknęła korony, po jej skórze rozeszło się przyjemne ciepło. Promieniowało od dziwnego metalu. Zacisnęła na nim mocno dłoń.

Nareszcie – pomyślała, a jej usta rozszerzyły się w uśmiechu – Ocalę mój lud. z pomocą tytanów, Nocni Łowcy rozgromią pozostałe elfie klany. Zdrajca Nefariel padnie na kolana, a jego poplecznicy rozpierzchną się po świecie, jak liście targane wiatrem!

– Niesamowite uczucie, prawda? – Snag wyszczerzył drapieźnie zęby. – Tak wielka władza, zaklęta w tak niewielkim przedmiocie. Gdyby krasnoludy zdążyły na czas, wojna mogłaby skończyć się inaczej. Załóż koronę, a tytany usłyszą twe myśli i posłuchają rozkazów.

Makita spojrzała na niego podejrzliwie.

– Dlaczego mi pomagasz? – zapytała. – Dlaczego zaproponowałeś pomoc mojemu klanowi? Nigdy mi tego nie zdradziłeś. Dlaczego tak bardzo zależało ci, żeby to miasto opanował chaos?

– Dlaczego chaos? – Snag spojrział przez balustradę na zgromadzony na placu tłum. – Chaos to jedyna droga do wielkości. Popatrz tylko na nich, zabójczyni. – Wskazał zbitych ciasno powstańców. – Zobacz jak niewiele wystarczyło, by mieszkańcy tej nory rzucili się sobie do gardeł. Zapomnieli już, czemu mordowali się wzajemnie i toczyli wojny przez całe stulecia. Ja tylko sprawiłem, że sobie o tym przypomnieli.

– Tak bardzo ich wszystkich nienawidzisz? – Zrozumiała nagle Makita.

– Nienawidzę? – Parsknął. – Myślisz, że zrobiłem to wszystko z powodu nienawiści? Tak jak ciebie przepęlnia nienawiść za śmierć siostry?

– Nie mów o mojej siostrze, goblinie! – syknęła Makita. – Zostanie pomszczona! i to już wkrótce.

– o tak, zostanie pomszczona... – zasyczał Snag. – Idź i prowadź swoją wojnę.

Makita cofnęła się o kilka kroków, nie spuszczając goblina z oczu. Wsunęła koronę na srebrzyste włosy i natychmiast poczuła euforię. Mechaniczne elementy zaczęły się poruszać. Żar rozchodził się po całym ciele elfki, przenikał kończyny i wypełniał wnętrze.

Myśli Makity zaczęły krążyć wokół tytanów. w jakiś niewytłumaczalny sposób wyczuwała ich obecność. Nawet nie patrząc na nie wiedziała, że są blisko i oczekują na rozkazy. Ogarnęło ją nagle dziwne, irracjonalne uczucie potęgi, którego nie umiała wytłumaczyć. Nigdy nie spotkała się z czymś podobnym.

Pomszczę moją siostrę – przyrzekła sobie. – Pomszczę wszystkich. Idę po ciebie, Nefarielu.

Chciało jej się śmiać. Była pewna, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki. Spojrzała na plac i powoli ruszyła po stopniach, ku czekającym na jej rozkazy kolosom.

– Dopełnię swojej części umowy, Snag. Pokażę temu robactwu prawdziwą potęgę tytanów.

Goblin spojrział na nią i wyszczerzył ostre zęby.

– Idź, elfko. Idź i wypełnij swoje przeznaczenie.

Snag patrzył z góry na zebrany tłum i oddalającą się zabójczynię. Byli jak pionki, które najwyższy czas pozdejmować z planszy. Gobliny długo musiały czekać na swoją szansę. Teraz poprowadzi je do zwycięstwa. Wojna się skończyła? Brednie! Nawet elfy zmieniły się w słabeuszy, niewiele lepszych od ludzi, orków czy krasnoludów. Wkrótce wymordują się wzajemnie i światem zawładną gobliny. Dopiero wtedy wojna naprawdę dobiegnie końca.

Nie czekał, aż elfka rozprawi się z powstańcami. Był pewien, że ta zgraja niedobitków i tak nie ma szans z tytanami. Odwrócił się i ruszył powoli w stronę wrót. Nie kryjąc zadowolenia przekroczył próg pałacu.

Jak tylko drzwi zaczęły się za nim zamykać, jakaś nieznana siła poraziła każdy nerw i każdy mięsień jego ciała. Błyskawicznie wygiął się do tyłu, niezdolny kontrolować własnych ruchów. Runął jak kłoda na kamienną posadzkę.

– Znowu się widzimy, Snag – powitała go Nora i wysunęła się z cienia. – Słyszałam każde słowo twojej rozmowy. Pora, żebyś ze wszystkiego się wytłumaczył.

Starcie tytanów

– Na brody przodków! Co tu się dzieje, do jasnego licha? – próbował przekrzyczeć tłum Magni.

Jego sękata dłoń zacisnęła się mocniej na drzewcu krasnoludzkiego topora.

– Bądźcie gotowi do walki! – wydał głośny rozkaz Brutal. – Sierzancie! Otoczcie plac kordonem! Herszcie! Niech twoi wojownicy wzmocnią pozycję mieszkańców Urocyska!

– To moja horda! – warknął Gulgor, przepychając się przez ciżbę w stronę kapitana. – Kim ty jesteś, by wydawać rozkazy orkom?

– Nie czas na to! – odparł ostro wilkołak. – Ktokolwiek za tym stoi, raczej nie ma przyjaznych intencji!

– Słuszna uwaga, kapitanie – Ich spór przerwał ostry jak lód, kobiecy głos – Już za chwilę przekonacie się, że tytany nie przybyły tu bez powodu.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się w stronę pałacowych schodów. Elfka schodziła powoli, dostojnie.

Większość mieszkańców miasta nigdy nie widziała nikogo z jej gatunku. Elfy były niczym istoty z bajki, znane jedynie z ksiąg i opowieści o dawnych czasach. Tym większe było zdumienie, gdy Makita stanęła tuż przed nimi.

– Elfka? – ryknął osłupiały herszt. – Elfka tutaj? w Czeluści? Co to za sztuczki?

– To jej sprawka! – Magni przepchnął się do przodu i wymierzył w Makitę ostrze topora. – To ta chuderlaczka zwała na nas te wszystkie kłopoty!

Elfka zaśmiała się, rozbawiona gniewem krasnoluda. Wiedziała, że tak jak reszta zebranych na placu, jest całkowicie bezsilny wobec jej nowej armii. Może kląć, wściekać się i wymachiwać toporem, ale jego los, podobnie jak los miasta, był już przypieczętowany.

– Tak, to ja spowodowałam to wszystko! – odparła rozkładając szeroko ręce. – To ja poszczułam was na siebie, niczym wściekłe i bezrozumne psy. Zamieniłam wasze żalosne społeczeństwo w nieokrzesaną bandę. Pozbyłam się waszych przywódców, Straży Miejskiej i tego przeklętego wampira. Sprawiałam, że miasto ogarnął chaos. Teraz zaś, sprowadziłam tu tytany, by dokończyły dzieła i zabiły was wszystkich.

– Twoje niedoczekanie, wiedźmo! – dobiegł głos z oddali.

Mistrz Konrad zamknął przyłbicę hełmu i wziął miecz od giermka. Tuż za jego plecami szykowali się do szarży pozostali rycerze.

– Komu honor i dzielnica miła, za mną! – krzyknął do nich.

Zakręcił nad głową mieczem, dając swoim ludziom znak do szarży. Spięty ostrogami wierzchowiec ruszył galopem w stronę elfki. Rycerze z bojowym okrzykiem podążyli za swoim mistrzem.

Zabójczyni uśmiechnęła się tylko. Chociaż pędził na nią klin ciężkozbrojnej jazdy, nie zlekła się i nie ustąpiła nawet na krok. Tętent galopujących koni sprawił, że grunt drżał pod jej stopami.

Pozostali powstańcy zaczęli cofać się w obawie, że dostaną się pod końskie kopyta. Nie odwracali jednak głów i przyglądali się w milczeniu widowisku.

– Zabić wiedźmę! – wrzasnął Konrad, a rycerstwo zawtórowało mu chórem.

Ich krzyki urwały się jednak nagle, gdy potężna dłoń jednego z tytanów jednym machnięciem zmiotła przywódcę zakonu z siodła.

Zaskoczeni rycerze zaczęli wstrzymywać rozpędzone konie. Patrzyli bezradnie i w osłupieniu, jak ciało mistrza uderza z impetem o bruk kilkanaście metrów dalej.

Oczy tytana zaświeciły się tak, jakby buzował w ich wnętrzu wulkaniczny ogień. Jeden z kolosów podszedł do zrzuconego jeźdźca i uniósł pięść, by zadać ostateczny cios.

Kilku rycerzy spięło konie i ruszyło mistrzowi z pomocą, ale kolejny tytan stanął im na drodze. Zanim zdążyli zareagować, uderzył z potworną siłą i wgniótł ich w chodnik. Pozostali zakonnicy zaczęli cofać się, strwożeni tym widokiem.

Konrad z ogromnym wysiłkiem zdołał obrócić się na plecy. Nie był w stanie się podnieść, jego ciało było pogruchotane. Spróbował krzyknąć, powiedzieć coś, ale z jego ust wydobyła się tylko krew.

Patrzył bezsilnie na powoli unoszącą się nad nim ogromną rękę. Zrozumiał, że to już koniec. Zamknął oczy, by godnie przyjąć objęcia śmierci. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał, było głośne huknięcie.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył stojącego nad nim trola, którego całe ciało pokrywała rogowa skorupa.

– Na co czekacie? – wrzasnął Noel, z trudem powstrzymując stalową pięść tytana. – Zabierzcie stąd tego rycerzyka!

Mięśnie na ciele trola drżały z wysiłku, a jego kolana powoli uginały się pod naciskiem olbrzymiego kolosa. Teraz na własnej skórze poczuł, jak niewyobrażalną wręcz siłą dysponował zbudowany przez krasnoludy tytan.

Magni i jego chłopcy bez wahania ruszyli powalonemu zakonnikowi z pomocą. Po drodze krasnolud obrzucił stojącą

nieopodal elfkę pogardliwym spojrzeniem. w duchu przysięgał sobie, że odpłaci tej miłośniczce drzew za wszystkich poległych dziś braci. Razem z Fulerem i Oru, chwycili zakutego w ciężką zbroję mistrza zakonu za nogi i zaczęli wlec go po bruku w głąb placu.

– Żwawo chłopcy! – ponaglał sierżant. – Cięższego żelastwa to już chyba nie mógł włożyć, paniczyk zapchlony!

Makita wybornie się bawiła. Nie przypuszczała nawet, że władza okaże się tak podniecająca. w dodatku nareszcie miała okazję pozbyć się tego przeklętego trola. Nigdy więcej nie pokrzyżuje już jej planów. Za chwilę zginie na jej oczach i to w wyjątkowo spektakularny sposób.

Tytanie, wykończ tego trola! – rozkazała. – Zabij go! Zgnieć na miazgę!

Oczy golema zaświeciły ognistym blaskiem. Stalowa pięść z coraz większą siłą przygniatała Noela do ziemi.

Nogi trola w końcu ugięły się i opadł na kolano. Jego napięte do granic możliwości mięśnie nie dawały już rady i wiedział, że nie wytrzyma już długo.

Kiedy sądził już, że zbliża się koniec, niespodziewanie nacisk ręki tytana zelżał. Zaskoczony Noel obejrzał się na boki i zobaczył stojącego obok kapitana. z drugiej strony stał herszt orczej hordy. Obaj napierali ze wszystkich sił, powstrzymując rękę kolosa.

– Co wy wyprawiacie? – krzyknął Noel. – Pogięło was? Wiejcie stąd natychmiast!

– Zamknij się i pchaj! – ryknął na niego Gulgor.

Potężny ork napał na metal z jeszcze większą determinacją.

Pchnęli jednocześnie, wkładając w to wszystkie siły, jakie im pozostały. Pięść tytana zaczęła się unosić. Stal drgała i trzeszczała,

a ukryty pod pancerzem mechanizm skrzypiał. z oczu ogromnej maszyny buchnęły płomienie.

Zabij! Zniszcz ich! – miotła rozkazy owładnięta furią elfka. – *Tytanie! Przestań się z nimi bawić! Wykończ tę trójkę!*

Krasnoludzki golem ustąpił nagle i cofnął rękę.

Noel i reszta szybko zdali sobie jednak sprawę, że maszyna nie zamierza się poddać. Tytan uniósł nad głowę obie pięści i zamachnął się z całą mocą. Jego ręce zatrzymały się w połowie drogi, gdy niespodziewanie w stalowy korpus uderzyła kula ognia. Siła wybuchu była na tyle duża, że zachwiała kolosem i zmusiła go, by cofnął się o krok.

Zanim tytan zdołał odzyskać równowagę, wpadł na niego z impetem jeden z olbrzymów. Wykorzystał sytuację i naparł barkiem na niewiele większą od siebie krasnoludzką maszynę, obalając ją z łomotem na ziemię.

Skała pod nogami elfki zadrgała. Na placu podniósł się triumfujący okrzyk, dobiegający z setek gardeł. Poczują, jak narasta w niej wściekłość.

Tytany! Zabijcie ich wszystkich! – wydała rozkaz. – *Zniszczcie to miasto!*

– Jak uruchomiłeś tytany? – Nora mierzyła w Snaga Iskierką, gotowa użyć jej w każdej chwili. – Skąd masz koronę kontrolującą tytany?

Goblin nie był w stanie podnieść się z ziemi, jego mięśnie skurczyły się i dopiero zaczynało uchodzić z nich napięcie. Uniósł wzrok na gnomkę i wyszczerzył zęby.

– Przeklęta, wścibska gnomka! – syknął zjadliwie. – Ostatni raz wtrącasz się w moje plany! Nic już nie może powstrzymać biegu wydarzeń! Słyszysz? Nic!

– Nie próbuj się wyzłośliwiać, podstępny goblinie. Odpowiedz na pytanie, albo jeszcze raz posmakujesz mojej Iskierki!

– Czyżbym wyczuwał zazdrość? – Snag uśmiechnął się paskudnie. – w końcu wy, gnomy, przez dekady próbowaliście poznać sekret krasnoludzkich golemów.

– Znam wystarczająco dobrze poziom waszej techniki, by wiedzieć, że nie rozgryzłeś tego sekretu sam. Przyznaj się lepiej od razu, komu go wykradłeś!

– Myślisz, że kradzież w czymkolwiek mi uwłacza? Liczą się tylko wyniki. Wszystko środki są dozwolone, jeśli prowadzą do wygrania wojny. Chcesz wiedzieć, jak poznałem sekret tytanów? To i tak już nic nie zmieni. Przegraliście. Przez całe stulecia układaliśmy plan przejęcia władzy. Już od czasów wielkiej wojny. Gdy tylko wrota miasta otworzyły się przed uchodźcami, moi przodkowie uprowadzili krasnoludzkiego inżyniera i wykradli notatki z jego warsztatu.

– Więc to wasza sprawka! Zaginięcie Thofnira, Kowala Dusz! Krasnoluda, który nadzorował budowę tytanów. Skoro jednak znacie ich tajemnice od tak dawna, to czemu...

– Czemu dopiero teraz? – Snag przesunął językiem po rzędzie ostrych zębów. – Czekaliśmy na odpowiednią okazję, a ta właśnie się nadarzyła. Elfy toczą wojnę między sobą, klany się podzieliły. Skontaktowaliśmy się z jednym z nich. Dobiliśmy targu.

– Odpowiednia okazja? Czy nie rozumiesz, że wojna się skończyła? Cały twój plan to mrzonka. Nie ma już z kim i o co walczyć. To miasto jest domem nas wszystkich. Innego nie będzie.

– Głupia! – parsknął goblin. – Choćby świat obrócił się w gruzy, to gobliny będą nim rządzić! Czekaliśmy wieki, by znowu uderzyć! Najpierw upadnie Czeluść, potem elfie klany powyrzynają się wzajemnie. Gdy będą o krok od zagłady, odbiorę im kontrolę nad tytanami i pozbędę się tego, co z nich zostanie!

– Myślisz, że zdołałeś wszystkich przechytrzyć, ale mylisz się, Snag! Wszyscy dowiedzą się o tym, co zrobiłeś!

– Doprawdy? – Zarechotał goblin.

– Żebyś wiedział!

Nora wcisnęła czerwony przycisk Iskierki, ale nic się nie wydarzyło. Ładunek musiał zupełnie się wyczerpać. Śmiech Snaga odbił się echem od ścian kamiennego holu, a chwilę później cały korytarz zadrżał i z sufitu posypał się pył.

– To chyba twoi przyjaciele – powiedział goblin z nieukrywaną radością – Zdaje się, że mają kłopoty.

Nora spojrzała niepewnie na kamienne wrota. Cały pałac drżał, a z zewnątrz dochodził łomot. Nie miała pojęcia, co się dzieje, ale przeczucia miała najgorsze.

– Myślisz, że wszystko tak dobrze zaplanowałeś? – Nora poczuła, jak od zbierającego się w niej gniewu drżą jej ręce. – Że wszystko masz pod kontrolą?

– Wciąż w to wątpisz?

– Powiedz mi w takim razie, co ja tu robię? Czemu wiesz się teraz na ziemi? Próbowaleś zabić mnie i mojego partnera, a jednak stoję tu teraz przed tobą.

Paskudny uśmiech w jednej chwili znikł z twarzy Snaga.

– Jesteś podłym, zapatrzonym w siebie zarozumiałcem! i dlatego przegrasz, goblinie.

Podłoga znowu zatrzęsała się i na płaszcz Nory posypał się szary pył. Obejrzała się z lękiem na wrota pałacu. Zdawała sobie sprawę, że musi zacząć działać, jeśli chce ratować przyjaciół. Natychmiast podjęła decyzję.

– Jeszcze cię dopadniemy, Snag! – krzyknęła w biegu – Jeśli moim przyjaciołom stanie się krzywda, zapłacisz za to!

Z rozpędu pchnęła jedno ze skrzydeł kamiennych drzwi.

Na placu wrzało. Krzyki niosły się po całej dzielnicy. Wszędzie leżały porzucane fragmenty pancerzy, mnóstwo broni i ciała. Wiele ciał.

Mieszkańców ogarnęła panika. Uciekali, potracali się, przepychali, walczyli o życie.

Krasnoludzkie tytany niszczyły miasto. Kruszyły kolejnymi uderzeniami kamienne domy i bez wahania zabijały każdego, kto tylko znalazł się w ich zasięgu.

Część powstańców stawiała wciąż opór. Gdzieś w oddali rozgrzmiał huk działa organowego. Znacznie bliżej eksplodowała kula ognia. Jeden z drzewców oplótł gałęziami głowę tytana i prawie go przewrócił, ale kolejny kolos mu w tym przeszkodził.

Szczekało żelazo, zgrzytała stal, ranni wołali o pomoc.

Nora próbowała wypatrzeć swoich przyjaciół z tarasu, ale w panującym zamieszaniu było to niemożliwe. Jej uwagę przykuło coś innego. Jakiś ryk, bardzo blisko. Obróciła głowę i zobaczyła orka zmierzającego w stronę schodów. w dłoniach trzymał ogromny młot, którym zamierzał się do ciosu.

Poznała go. To był Oru z oddziału sierżanta Magniego. Po chwili wiedziała już także, dlaczego zmierzał właśnie w tę stronę.

Elfka wspierała się o balustradę na jednym ze stopni, mniej więcej w połowie schodów. Obserwowała siejące zniszczenie tytany, ogarniętych paniką mieszkańców i stawiające opór resztki obrońców.

Nie myślała o krwi którą przelała, by osiągnąć swój cel. Smakowała sukces i uśmiechała się triumfalnie. Biegnącego w jej stronę orka spostrzegła dosyć wcześnie. Wpadł na schody i mijał kolejne trupy, takich samych jak on śmiazków, którzy próbowali ją powstrzymać.

Westchnęła i odsunęła się od balustrady. Wyszła mu na spotkanie. w dłoni trzymała gotowy do walki miecz. Ork wzniosł do góry młot. Zbliżał się, ale biegł coraz wolniej pod górę. Widziała ślinę kapiącą mu z pyska i bijący z oczu gniew.

Pierwszy cios był potężny, ale młot rozbił tylko o schody. Makita uniknęła ataku z łatwością. Kolejny atak kosztował orka życie.

Oru wziął szeroki zamach i głowica jego młota skruszyła w pył fragment balustrady. Makita uskoczyła i cięła poprzecznie w odsłonięte ciało. Zielona skóra na szyi orka zasyczała, gdy przeszło przez nią księżycowe ostrze. Oru upadł, a jego głowa potoczyła się po stopniach.

Makita zaczęła wsuwać klingę do pochwy, gdy nagle coś z impetem pchnęło ją do przodu. Zaczęła koziołkować po kamiennych stopniach. Miecz wypadł jej z ręki. Coś ostrego rozcięło dłoń.

Nim zdołała się zatrzymać, uderzyła bokiem głowy w barierkę i rana znowu zaczęła krwawić. Półprzytomnie chwyciła za poręcz. Zajęło jej to chwilę, ale wstała powoli.

Nie miała pojęcia, co się właściwie stało. Strużki krwi zaczęły ściekać jej po twarzy. Dostrzegła swój miecz obok jednego z trupów. Leżał na stopniach, zaledwie kilka metrów wyżej. Ruszyła w jego kierunku, wspierając się na barierce.

Nora syknęła z bólu, gdy stanęła na prawej kostce. Upadek był długi i cała się poobijała. Podejrzewała, że musiała coś sobie zwichnąć lub naciągnąć. w dodatku prowizoryczny opatrunek, który założyła sobie w podziemiach, znowu zaczął nasiąkać krwią.

Muszę wytrzymać, spróbować ustać prosto na nogach przynajmniej jeszcze przez chwilę – powtarzała sobie w myślach.

Kiedy spadała, omal nie wypuściła korony z ręki. Wiedziała jednak, że drugiej takiej szansy może już nie mieć. Plan był ryzykowny, ale postawiła wszystko na tę jedną kartę. Szybko dostrzegła gramolącą się w górę schodów elfkę. Przynajmniej wiedziała już, że zabójczyni także nie wyszła z tego upadku bez szwanku.

– Hej, ty! – krzyknęła i uniosła nad głowę koronę. – Chyba coś zgubiłaś!

Makita obejrzała się za siebie zdeorientowana.

– To... Ty! – syknęła ze złością. – Ty! Mała, parszywa gnomka!

– Też się cieszę, że cię widzę! – Nora wsunęła sobie koronę na rude włosy.

– Ty... – Oczy elfki rozszerzyły się, a zęby zacisnęły ze złości. – Ostatni raz wchodzisz mi w drogę! – wykrzyczała z furją. – Zabiję cię, ty mała zarazo! Uduszę własnymi rękoma!

Zapomniała o mieczu, o mieście i o tytanach. Teraz liczyło się tylko zabicie małej strażniczki, która kolejny raz wtrąca się w jej plany i w dodatku wciąż uparcie nie chce umrzeć.

Otarła rękawem krew zalewającą czoło. Ruszyła biegiem w stronę gnomki. z jej gardła wyrwał się wściekły ryk. Nora natychmiast rzuciła się do ucieczki. Obie zbiegały po kilka stopni na raz, przeskakując nad ciałami.

Makita szybko spostrzegła, że gnomka utyka coraz bardziej na prawą nogę. Umiała rozpoznać ranną ofiarę, gdy na nią polowała. Była coraz bliżej, jeszcze tylko kilka sekund i ją dopadnie. Przeskoczyła nad ciałem jakiegoś rycerza, któremu niedawno przejechała ostrzem po twarzy.

Zalany krwią nieboszczyk poruszył się nieoczekiwanie. Nie był tak martwy, jak elfka przypuszczała. Chwycił ją za kostkę. Makita nie zdążyła nawet krzyknąć.

Straciła równowagę i potoczyła się po ostatnich stopniach. Zatrzymała się dopiero na leżącym przy schodach trupie. Wstała nieporadnie na klęczki. z jej czoła kapały krople krwi. Spojrzała spode łba w stronę miasta i zobaczyła plecy uciekającej gnomki. Podniosła włócznię, która jeszcze niedawno należała do nieboszczyka i poderwała się do pościgu.

Noel wyteżył resztki sił. Był zmęczony i ranny. Udało mu się unieść odłamany fragment kamiennej ściany na tyle, by zakleszczony pod nim człowiek zdołał się oswobodzić.

Na całym placu słyhać było krzyki, wybuchy. Gdzie nie spojrzeć leżały ciała i płynęła krew. Tytany obracały powoli dzielnicę w ruinę, ziemia drżała, gdy niepowstrzymane uderzały raz za razem swoimi stalowymi pięściami.

Powoli docierało do trola, że dalsza walka jest daremna. Ze wszystkich, którzy próbowali stawić opór, pozostały już jedynie niedobitki. Pozostali uciekli, bądź rozpierzchli się, żeby ratować własną skórę. Ci, którzy pozostali, walczyli już ostatkami sił. Mogło udać im się spowolnić tytany, ale nie dadzą rady ich pokonać.

Jedyne, co Noel mógł jeszcze zrobić, to spróbować odnaleźć swoją partnerkę.

Uskoczył w ostatniej chwili, unikając zmiżdżenia przez walącą się resztę budynku. Po człowieku, którego uratował, nie było już śladu. Umknął gdzieś, albo został pogrzebany, tego trol nie wiedział.

Otarł z twarzy pył i zaczął iść w stronę pałacu. Roztrącał nogami porozbijane resztki pancerzy i porzuconą broń. Starał się omijać ciała. Nie dawał sobie wielkich nadziei na odnalezienie partnerki. w całym tym chaosie ciężko było odnaleźć kogokolwiek.

Z ponurych myśli wybudził go nagły impuls. Gdzieś w pobliżu usłyszał wołanie o pomoc. Po placu przebiegły spłoszone konie bez jeźdźców. Odprowadził je wzrokiem i wtedy, w oddali, zobaczył niebieski płaszcz.

Nora? Czy to możliwe? – w jego umyśle pojawiła się iskierka nadziei, do której szybko dołączył również lęk, gdy zobaczył, kto podąża za jego partnerką.

Zaczął biec mimo zmęczenia. Były może sto pięćdziesiąt, dwieście metrów od niego. Sapał ciężko, dyszał, ale biegł, bo elfka była coraz bliżej.

Z każdym metrem było mu coraz ciężiej. Widział już wyraźnie, że Nora utyka. Miał niewiele czasu, jeśli chciał jej pomóc.

– Nora! – krzyknął tak głośno, jak tylko był w stanie, ale rumor na placu był zbyt wielki, by mogła go usłyszeć.

Nie patrzył już na walające się pod nogami żelastwo, które kaleczyło mu stopy, nie zwracał uwagi na ciała. Biegł najszybciej, jak mógł. Po chwili wiedział już, że nie zdąży. Elfka doganiała jego partnerkę, była tuż za nią. Mierzyła włócznią w jej plecy.

Noel skoczył, rzucił się z krzykiem na zabójczynię. To jedyne, co mógł zrobić.

Spóźnił się o jedno uderzenie serca. Odepchnął elfkę z całej siły, ale ta zdążyła dźgnąć gnomkę ostrzem prosto w plecy. Obie upadły i nie poruszały się.

– Nora! – krzyknął desperacko trol.

Uklęknął przy drobnym ciele partnerki. Obrócił ją na plecy i spojrzał w zamknięte oczy. Po policzku spłynęła mu łza, zostawiając ślad na zabrudzonej pyłem twarzy. – Nora...

Wystarczyła jedna kropla, jedna łza, która spadła na jej czoło, by gnomka otworzyła oczy. Zamrugła niewyraźnie i jęknęła cicho, jakby budziła się z bardzo długiego snu.

– Ty żyjesz, mała! – krzyknął rozradowany trol.

– Noel? – wyjąkała skołowana.

– Elfka dźgnęła cię włócznią. Nie ruszaj się, znajdę coś i zatamujemy krwawienie.

– Nic mi nie jest, Noel – Nora pokręciła głową. – Mój pas. Musiała trafić w pas.

– Więc... Nic ci nie jest?

– Tego bym nie powiedziała... – skrzywiła się, gdy jej lędźwie przeszył ostry ból. – Będę miała niezłego siniaka.

– Za chwilę będziesz miała coś znacznie więcej! – dobiegł ich znajomy, rozwścieczony głos.

Makita podniosła się z ziemi i wsparła o drzewce włóczni. w jej dzikim wzroku pałała chęć mordy.

– Mogłam się spodziewać i ciebie, trolu – syknęła przez zęby. – To co? Do trzech razy sztuka? – Zacisnęła mocniej dłonie na gładkim drzewcu i wymierzyła ostrze w jego pierś.

Noel wstał z kolan, zacisnął pięści i zaatakował. Oboje byli ranni i wycieńczeni. Miał tylko nadzieję, że elfka bardziej.

Uderzył z rozpędu wzniesioną pięścią, ale zabójczyni bez trudu wywinęła się w półobrocie i uniknęła jego ataku. Chociaż cała była we krwi, wciąż poruszała się zwinnie. Noel uderzał, a ona okrążała go, robiła skłony, piruety, przeskakiwała nad jego niezdarnymi ciosami. Po każdej jego nieudanej próbie wyprowadzała kontratak, a ostrze jej włóczni krzesło iskry na rogowym pancerzu.

Nora przyglądała się ich walce i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że gdzieś już to widziała.

Mój sen... – przypomniała sobie nagle. – Sen, który śnił mi się tamtego dnia w gospodzie. Noel walczył z elfką, a dookoła nas stały... Tytany!

Z początku nie wiedziała, co się dzieje. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że rumor, huk i wstrząsy nagle ustały.

Noel i elfka wciąż toczyli zażarty bój, ale w mieście zrobiło się dziwnie cicho.

Tytany, które jeszcze chwile temu obracały budynki w gruz, zatrzymały się w jednej chwili i wszystkie, jak na komendę, odwróciły w stronę Nory.

– Co się stało? – zadała sobie pytanie gnomka. – Czy ja to zrobiłam?

Z rozmyślań wyrwał ją krzyk Noela.

Obejrzała się i dostrzegła, że część twarzy jej partnera zalana jest krwią. Trol mimo to ciągle walczył, nie dawał elfce nawet chwili wytchnienia. Oboje tracili szybko siły, ale zabójczyni wciąż zwinnie mu się wymykała i kasała go włócznią.

Makita walczyła zawzięcie.

Trol był potężny, ale powolny i osłabiony, a każdy jej cios odbierał mu stopniowo siły. Teraz, gdy celnym pchnięciem pozbawiła go lewego oka, była już pewna, że tym razem go zabije.

Zaszarżował w jej stronę. Spróbował ją pochwycić w mocarne ramiona. Zmiażdżyć w uścisku. Wykorzystała to, że z jednej strony był zupełnie ślepy.

Zwinnym obrotem usunęła mu się z drogi, a gdy mijał ją w rozpędzie, cięła go włócznią po zgięciu kolana.

Trol runął jak długi na bruk. Nim odwrócił się na plecy, Makita stała już obok, mierząc grotem prosto w jego gardło. Patrzyła z uśmiechem na jego zalaną krwią twarz.

– Wygląda na to, że to była nasza ostatnia wspólna walka, trolu.

– Jeszcze możesz się zdziwić, ślicznotko.

Na ustach Noela wyrósł zagadkowy uśmiech. Makita zawahała się, ale zbyt późno zrozumiała, że coś jest nie w porządku. Gdy odwróciła głowę, zobaczyła zamykającą się nad nią ogromną dłoń tytana.

W jedności siła

Odbudowa dzielnicy szła pełną parą. Na ulicach panował taki ruch, jakiego nie widziano tu wieków. Plac przed pałacem można było porównać do ogromnego terenu budowy. Wszędzie słychać było uderzenia młota, stukot dłuta i nawoływania ciężko pracujących robotników.

Wozy nieustannie dostarczały potrzebnych materiałów – głównie kamiennego budulca, oraz drewna z Uroczyńska potrzebnego do konstrukcji rusztowań. Tragarze uwijali się z zarzuconymi na plecy pakunkami, albo donosili brakujące narzędzia i wiadra z zaprawą.

Całe zespoły ochotników dawały z siebie wszystko, żeby uprzątnąć zniszczenia, jakie pozostawiły po sobie tytany. Praca szła powoli, ale z każdym dniem jej efekty były widoczne gołym okiem.

Po poboju nie było już właściwie śladu. Większość gruzu i zalegającego pod nogami złomu została wyniesiona. Ciała poległych pochowano z należyty szacunkiem. Minęły niespełna dwa tygodnie, które Nora spędziła w niziołkowym lazarecie, a zniszczona część miasta zaczynała przypominać już dawną dzielnicę.

Ciężko było jej uwierzyć w to, z jakim zapałem mieszkańcy wzięli się za odbudowę. z tarasu przed posterunkiem Straży mogła dokładniej przyjrzeć się ludziom, orkom, krasnoludom i przedstawicielom wielu innych ras, pracującym ramię w ramię nad naprawieniem tego, co zostało zniszczone.

Każdy chciał mieć udział w odbudowie Czeluści. Każdy chciał dać coś od siebie miastu. Mogło wydawać się nawet, że spory i urazy, które dzieliły mieszkańców, zostały nareszcie zapomniane

i wybaczone. Nawet jeśli nie było to prawdą, to taki stan utrzymywał się przynajmniej chwilowo.

Nora obserwowała panujący na ulicach harmider i nagle naszała ją myśl, że musiała w jednym przyznać Snagowi rację. Łatwo przyszło mu skłócić całe miasto i naszczuć mieszkańców przeciwko sobie. Potrzeba było znacznie więcej, by ich razem zjednoczyć.

– Już czas, maleńka – usłyszała głos Magniego tuż za swoimi plecami.

– Tak jest, sierżancie – odwróciła się i poprawiła odznakę przypiętą do nowiutkiego, niebieskiego płaszcza.

Krasnolud uśmiechnął się i poprowadził ją do drzwi posterunku, których pilnował pochrapujący cicho, wsparty o włócznie kabrys.

– Jakim cudem on może spać w takim hałasie? – zapytała Nora i obrzuciła wartownika karcącym spojrzeniem.

– Przecież możesz go o to zapytać, jak już się obudzi – odparł rubasznie sierżant.

Przeszli przez drzwi wprost na główny korytarz. Mijali kolejne pomieszczenia, odprowadzani wzrokiem stojących w przejściach strażników.

Nora czuła się nieswojo będąc w centrum uwagi. w dodatku większość mijanych osób salutowała jej.

Drzwi do gabinetu kapitana były otwarte. Stał przy nich Lasti, który powitał ich uśmiechem, a następnie skinieniem głowy zaprosił do środka.

Nora ucieszyła się widząc Baelora takiego, jakim pamiętała go z ich pierwszego spotkania – dumnie wyprostowanego, z pagonami na ramionach i ściągniętymi lekko wargami, spod których wystawały ostre kły.

Nie czuła już strachu przed postawnym i pokrytym sierścią dowódcą. Miała nawet wrażenie, że kapitan też ucieszył się, gdy ją zobaczył. Przynajmniej wyobrażała sobie, że grymas, który zagościł na jego pysku to sposób, w jaki okazują radość wilkołaki.

Dopiero po chwili dostrzegła także stojącego obok Noela i poczuła, jak ogarnia ją niepohamowana fala radości. Trol po długiej kuracji pod opieką niziołków wyglądał, jakby doszedł już do siebie. Część odniesionych ran nie zostawiła nawet śladu. Inne szybko się zagoiły, ale zostały po nich blizny. Lewe oko, które w ostatnim pojedynku dosięgła włócznia elfki, zasłaniała mu czarna przepaska.

– Noel! – krzyknęła rozradowana Nora.

Podbiegła do partnera i objęła mocno jego nogi.

– Też się cieszę, że cię widzę. – Trol położył jej dłoń na ramieniu i uśmiechnął się szczerze uradowany, że znowu ją widzi.

– Ekhem! – chrząknął Magni, by zwrócić na siebie ich uwagę. – Później się wyściskacie, kochani. Najpierw załatwmy formalności. Nie każmy dłużej czekać tym wszystkim ważniakom.

Dopiero wtedy Nora uświadomiła sobie, że w gabinecie Baelora jest więcej osób. Wokół jego masywnego biurka zebrała się cała rada miejska: krasnolud Beori, niziołek Bilbert, kapłan jaszczuroludzi Ashar, Tarik z Gnomiej Akademii Technicznej, herszt Gulgor, mistrz Konrad, oraz zielonowłosa driada Andeith.

Większe zdziwienie wzbudziła jednak u Nory postać zasiadająca w fotelu kapitana. Hrabia Manfred spoglądał na nią spokojnie spod lekko zmarszczonych brwi.

– Pan... Pan Przewodniczący? Jak... Jak to możliwe? – gnomka nie umiała ukryć zaskoczenia.

– Jak to możliwe, że wciąż żyję? – odparł spokojnym, monotonnym głosem hrabia. – Żadne ostrze nie może zabić wampira. Nawet takie, które wykonano z księżycowej stali. Cios w serce na jakiś czas odebrał mi siły, ale... Przynajmniej miałem czas, by dobrze przemyśleć ostatnie wydarzenia.

– Czy to znaczy, że wszyscy jesteśmy aresztowani?

Nora spojrzała niepewnie na kapitana.

– Aresztowani? – zdumiał się przewodniczący. – Nie, strażniczko. Wręcz przeciwnie. To, co przez ostatnie tygodnie przytrafiło się temu miastu, zmusiło mnie do innego spojrzenia na Straż Miejską, naszą społeczność i kulturowe podziały. Ktoś mądry powiedział mi niedawno, że prawo powinno chronić mieszkańców i dbać o prawidłowe funkcjonowanie miasta. – Manfred spojrzał na mistrza Tarika i zabębnił paznokciami o blat biurka. – Teraz rozumiem już, że granica między dbaniem o porządek, a niszczeniem go, jest czasem bardzo cienka.

– Więc... Co teraz będzie? – zapytała gnomka.

– Musimy znowu nauczyć się żyć razem i w zgodzie pod jedną górą. Szkody zostaną naprawione. Strażnicy znowu wyruszą pilnować naszych ulic. Tytany zostały przetransportowane do krasnoludzkich kuźni i tam pozostaną. Są zbyt niebezpieczne, by powierzyć komukolwiek władzę nad nimi. Elfka, którą schwytaliście, siedzi w lochu, a jej współnika szuka całe miasto.

– Snag jest nadal niebezpieczny. Powinniśmy przyłączyć się do poszukiwań. w końcu już raz udało nam się dorwać tego gościa – wtrącił się Noel.

– Wy dwoje macie na razie ważniejsze zadanie. – Hrabia Manfred podniósł się z fotela i wyszedł zza biurka. – Jesteście chodzącym

przykładem tego, co można osiągnąć uporem, współpracą i oddaniem większej sprawie. Jesteście bohaterami, a właśnie bohaterów potrzeba nam najbardziej w tym trudnym czasie. Po tym, jak ocaliliście nasze miasto, do służby w Straży miejskiej zgłosiły się dziesiątki ochotników. Rada jest jednomyślna co do tego, że musimy wykorzystać tę falę popularności, by zespoić jeszcze bardziej naszą podzieloną społeczność. Dlatego potrzebujemy was na ulicach, gdzie będziecie świecić przykładem, jak na bohaterów przystało.

– Mam wrażenie, że odrobinę wyolbrzymiacie to nasze bohaterstwo – w głosie Noela słychać było wyraźne powątpiewanie. – Nie sądzę, żeby więcej niż kilkanaście osób wiedziało o całym naszym udziale w tej całej sprawie.

Hrabia Manfred uśmiechnął się delikatnie, co na jego bladej, wampirzej twarzy wyglądało przerażająco. Bez słowa podniósł leżącą na biurku zwiniętą gazetę i wręczył ją Noelowi.

– Nie szukaj daleko, jesteście na pierwszej stronie! – odezwał się basowy głos, należący do Beoriego.

Krasnolud pogładził z dumą długą, sięgającą niemal ziemi brodę.

Pod wielkim nagłówkiem *Dziennika Czeluści* widniało czarno-białe zdjęcie, na którym uchwycono moment, gdy on i jego partnerka krępowali nieprzytomną elfkę.

Noel nie miał pojęcia, jak wykonano to zdjęcie. Nie przypominał sobie, żeby był tam ktoś jeszcze. z drugiej strony, tyle się wtedy działo, że nie zwracał uwagi na otoczenie. Tuż pod spodem można było przeczytać napisany dużą czcionką tytuł: *Bohaterscy strażnicy ratują miasto!*

Noel przejrzał pobieżnie treść artykułu, w którym opisano cały spisek uknutą przez gnoma i elfkę – porwanie krasnoludzkiego

inżyniera, odkrycie sposobu na kontrolę tytanów, kradzież i podłożenie prochu pod pałacem, zamordowanie goblina Ziggerta, zielonego rycerza i kilku radnych, oraz próbę zniszczenia miasta i wszczęcia wojny. Trol zwrócił uwagę, że artykuł nie mówił ani słowem o podziemiach, które rozciągały się pod Czeluścią.

– Tego się raczej nie spodziewałem – podsumował, gdy oddawał gazetę hrabiemu.

– Mało kto spodziewał się, że wypadki obiorą taki kierunek. Kapitanie, chyba już czas? – Przewodniczący zwrócił się do Brutala.

Baelor podszedł do biurka i otworzył leżące na nim nieduże pudełko, z którego wyjął dwa błyszczące, połączane medale, zawieszane na kolorowych wstęgach.

– Inspektorze Noel...

– Inspektorze? Czy za tym awansem idzie też podwyżka? – zapytał żartobliwie trol, oglądając nową błyskotkę.

Kapitan zupełnie go zignorował i podszedł do małej gnomki.

– Starsza funkcjonariuszka Nora Tinkerton...

Brutal schylił się i zawiesił medal na szyi małej strażniczki.

– Starsza funkcjonariuszko? Naprawdę? – Nora spojrzała na medal z zachwytem i nieukrywana dumą.

– Sierżancie Magni... – Brutal skrzyżował ręce na ramionach.

– Chyba zabrakło wam jednego medalu? – zauważył krasnolud i oparł dłonie pod bokami.

– Rada Miejska puści w niepamięć twój udział w wybuchu powstania. Możesz zebrać nowy oddział i wracać do obowiązków, jak tylko będzie to możliwe.

– Pff – burknął pod wąsem krasnolud. – Zupełne zero wdzięczności!

Kapitan spojrział na niego spode łba.

– Bez was trojga, miasto by przepadło. Nigdy tego nie zapomnimy – usłyszeli melodyjny głos radnej Andeith.

– Przyznaje, że waszych czynów nie powstydzilby się żaden pasowany rycerz – oznajmił Konrad.

– Ani wojownik hordy – dodał natychmiast od siebie Gulgor.

– Teraz już nie żał mi, że Akademia utraciła tak zdolnego pracownika wydziałowego.

Mistrz Tarik podszedł do Nory i z uśmiechem poklepał ją po ramieniu.

– No, wystarczy już – warknął Brutal do swoich podkomendnych.

– Wyleżeliście się w lazarecie. Czas wracać do roboty. Jest dużo do zrobienia.

– Chodź, mała. – Noel puścił oczko do swojej partnerki. – Czas znowu ruszyć w miasto.

Wyszli przed posterunek akurat w chwili, gdy w Czeluści zaczynał zapadać zmierzch. Na ulicach nie robiło się jednak ani trochę luźniej. Praca trwała nieustannie. Jedni robotnicy udawali się na odpoczynek, a następni zajmowali ich miejsce i zaczęli kolejną zmianę. Na czas trwania robót zrezygnowano z gaszenia świateł po zmroku.

Nora schowała swój medal pod płaszcz i upewniła się, że Iskierkę ma zawieszoną przy pasie. Noel podrapał się przez przepaskę na oku.

– Nie przyzwyczailem się jeszcze do niej – powiedział, widząc zatroskaną minę partnerki.

Nora ujęła go za palec ręki.

– Hej, hej! Tylko bez sentymentów. To draństwo po prostu strasznie swędzi.

Gnomka uśmiechnęła się i pokręciła lekko głową.

– Myślisz, że gdzieś tam czeka na nas coś do roboty? Teraz, gdy w mieście jest tak spokojnie? – zapytała.

– Spokojnie? Żartujesz? Ledwie wczoraj w nowym kamieniołomie coś pożarło trzech robotników.

– Wygląda, jak sprawa w sam raz dla bohaterów.

– Tak, ale najpierw odzyskam odznakę i oddam to świecełko jego właścicielowi. – Noel potrząsnął zawieszonym u pasa ostrzem z księżycowej stali. – Wolę pozbyć się tego draństwa jak najszybciej. Bycie dłużnikiem kartelu to żadna przyjemność.

– To na co czekamy?

Nora zaczęła schodzić w dół po schodach. Noel uśmiechnął się i ruszył za nią, prosto na zatłoczone uliczki Czułości.

Gęstą ciemność rozpraszał jedynie płomień kołyszącej się na boki lampy. Na skalnych ścianach przesuwiał się niewyraźny cień, a ciszę przerywały odgłosy kroków.

Mimo nierównego podłoża, ubrany w ciemnoszary kombinezon goblin zdawał się w ogóle nie patrzeć pod nogi. Parł do przodu, jakby znał drogę na pamięć.

Skręcił za najbliższym załomem korytarza i wszedł do szerokiej, kamiennej sali.

Podszedł do jednej ze ścian, pod którą stał drewniany, pokryty pyłem stół i postawił na nim lampę. Nie dawała dużo światła, ale w jej blasku można było zobaczyć porozrzucone na blacie narzędzia i zwinięte w rulony schematy.

Goblin spojrzał na nie i jego usta wykrzywił ponury grymas.

Jednym gniewnym ruchem zrzucił wszystko ze stołu na podłogę. Po jaskini rozszedł się echem brzęk spadających narzędzi.

– Nie wszystko poszło tak, jak to sobie zaplanowałeś? – odezwał się głos ukryty w cieniu.

Snag odwrócił się natychmiast, zaskoczony obecnością intruza. Zmrużył oczy, ale tamta część pomieszczenia tonęła w zupełnych ciemnościach.

– Szkoda. Mogło się udać.

Tajemniczy głos wydawał się goblinowi dziwnie znajomy. Snag próbował przypomnieć sobie, do kogo należał.

– Popełniłeś jednak błąd. Źle dobrałeś sojuszników.

W mroku, zaledwie kilka metrów od goblina, rozjarzył się nagle koniec zapalonego cygara.

– Ty? – syknął przez zęby Snag, gdy nagle rozpoznał nieproszonego gościa. – Przyznaję, zaskoczyłeś mnie.

– Zdaje się, że ostatnimi czasy dosyć łatwo cię zaskoczyć.

Z cienia dobiegł ochrypły rechot.

– Jeśli sądzisz, że to już koniec, to jesteś skończonym głupcem! – wrzasnął Snag. – Jak mnie znalazłeś? Odpowiedz!

Ciemność rozerwał nagły błysk i ogłuszający huk. Gdy wszystko ucichło, dwugłowy ogr wyszedł powoli z cienia. z lufy jego Piekłomiota wydobywała się leniwie smużka dymu, a w powietrzu zapachniało prochem.

Podszedł do jednego ze stołów, omijając po drodze kałużę krwi. Podniósł z ziemi jeden z pergaminów i rozwinął go w powietrzu. Przedstawiał on plan budowy mechanicznej korony.

– Zawsze znajduję to, czego szukam. – Strutman uśmiechnął się przebiegle, a Crocht wypuścił z cygara obłok siwego dymu.